



*mój maty*  
**Drobiazgi**

**GIGI ANDERS**



# Anders Gigi

## Mój mały drobiazg

**Mężczyźni przychodzą i odchodzą, ale ja wciąż mam mój mały, różowy płaszczyk.**

**Łącząc w sobie szczyptę Coco Chanel, mnóstwo Carrie Bradshaw i delikatną domieszkę Maureen Dowd, ta szczerą i zabawną relacją autorstwa Gigi Anders odkrywa jej obsesję na punkcie ubrań i mężczyzn. Od bajecznego i nieosiągalnego różowego płaszczyka (niezbędnego, aby uwieść zagorzałego związkofoba), do pary niezwykle przekonujących majteczek w kolorze brzoskwini (prezentu od czarującego doktora), Gigi Anders relacjonuje swą obsesję na punkcie ubrań i mężczyzn, poprzez serię doskonale namalowanych obrazów. Te zabawne i błyskotliwe historie stanowią swoistą kronikę dziesięciu klasycznych, wyjątkowych przedmiotów (począwszy od ubrań, a skończywszy na przyborach do makijażu) i związanych z nimi osobliwych, trudnych do usidlenia mężczyzn, oraz wysiłków by zdobyć zarówno jedno, jak i drugie.**



Mężczyźni przychodzą i odchodzą,  
a ja wciąż mam mój mały, różowy płaszczyk.  
O życiu i miłości, czyli tajniki mojej garderoby.

Gigi Anders

## Nota od autora

Uwielbiam dobrze się ubrać. Lubię idealnie skrojone kostiumy. Spodnium, garsonki i kostiumy kąpielowe. Pisząc tę książkę, nie chciałam jednak, aby ktokolwiek wytoczył mi proces o zniesławienie. Dlatego, choć jest to literatura faktu, znajdziecie w niej wyłącznie cztery prawdziwe, męskie imiona. Aby chronić prywatność innych ludzi, zmieniłam bądź też pominęłam pewne istotne fakty.

G.A.

Dla Billy'ego.  
Za to, że nigdy nie mówił mi,  
czego nie powinnam nakładać  
i z kim nie powinnam sypiać.  
Dziękuję Ci i kockam Cię.

## Rozdział 1

### Mały Różowy Płaszczyk

Pojawił się nagle, w drugą niedzielę marca roku 2003. Uderzył mnie niczym *coup defoudre*, niczym francuska błyskawica. Tyle że ta pochodziła z Ameryki. Przeglądając dołączony do „New York Timesa” dodatek „Sunday Styles”, jak porażona wpatrywałam się w fotografię modelki ubranej w krótki, różowy płaszczyk od GaPa. Nie jakiś tam krótki, różowy płaszczyk. Nie. To byłoby zbyt plebejskie. MÓJ krótki, różowy płaszczyk był najśłodszy, najbardziej perfekcyjny i należał do kategorii „muszę cię mieć w tej chwili. W przeciwnym razie umrę samotna i nieszczęśliwa”. Właśnie tak. Taki był. I został mi przeznaczony w ten deszczowy dzień.

Mężczyźni również mnie fascynują, ale nie tak jak ubrania czy dodatki. Choć może to wszystko jest ze sobą nierozzerwalnie powiązane. Nawet powiedzenie „ubrania i dodatki”, hmm... brzmi tak pospolicie i banalnie. Czy jakikolwiek pocałunek, kwiat czy nawet orgazm, choć w połowie może się równać z nagłą chęcią odnalezienia Idealnego, Różowego Płaszczyka? Mam na myśli najwspanialszy płaszczyk na świecie. Płaszczyk, który przykuwa spojrzenia i wzbudza w ludziach niepohamowane żądze.

Płaszczyk, który ochroni cię przed zimnem. Tak ulotny, że kiedy już go masz, jest ci nie tylko lepiej. Czujesz się spełniona, odmieniona, jak gdybyś w końcu dotarła do sedna swego najlepszego „ja”.

Wiecie, o czym mówię? Naturalnie, że wiecie. To coś, co napawa was strachem na samą myśl, że jeśli tego dnia „Times” w ogóle by się nie ukazał, przegapiłybyście to. Straciłybyście tę jedyną, niepowtarzalną okazję na krótki, różowy płaszczyk. (Zabawnie jest straszyć się takimi refleksyjnymi „a co jeśli”. Oczywiście dopiero wówczas, gdy upolujecie już ową przeklętą rzecz i macie świadomość, że nikt nigdy wam jej nie odbierze).

Oto więc był. Prosty. Skrojony na kształt litery A. Ukryte guziczki. Jaskrawy, choć niezbyt jaskraworóżowy. Stonowany, ale nie do tego stopnia, aby można było przejść obok niego obojętnie. Dziewczęcy róż. Róż w kolorze gumy Double Bubble. W stylu Daisy Buchanan. Niczym skłębione na tle wieczornego nieba chmury. Brunetka na zdjęciu nosiła pod płaszczykiem biały, męski, bawełniany podkoszulek z długim rękawem, zatknięty za znoszone, delikatnie spłowiałe, niebieskie dzinsy. W tym miejscu zdjęcie zostało ucięte, więc przez chwilę zastanawiałam się nad kwestią butów. Nie trwało to jednak długo. Musiałam zadzwonić i zamówić to cacko z dostawą do domu, abym dalej mogła żyć w swoim bezmiarze zauroczenia i fantazji. Był to kryjący się za impulsem podtekst; to, co od zawsze mieszka w jego pełnym nadziei i piękna bijącym sercu: Miłość.

Kręgowiec, z którym łączyła mnie wówczas zwierzęca miłość, będzie musiał się ze mną ożenić, kiedy tylko zobaczy mnie w moim krótkim, różowym płaszczku.

Będzie musiał. Nie będzie miał wyjścia. Płaszczek był zbyt piękny i słodki. Prawie niewinny. Dziewczęcy, ale nie frywolny. Jednym słowem, naprawdę świetny. Zastanawiałam się, jak bardzo będę się wyróżniać w tłumie nudnych beży i kraciastych Burberrys; niczym samotny, różowy kwiat na pustyni.

Obmyśliłam już moją *idée fixe*. Krótki podkoszulek z kimonowymi rękawkami, biały, obszyty koronką biustonosz (tak aby można go było zauważyć; oczywiście prawie przypadkowo), czarne, obcisłe bawełniane spodnie, czarne skórzane baletki z lakierowaną cholewką. Idealnie ogolone i opalone nogi. Dla pewności Chanel N°19 - w końcu była przecież prawie wiosna. Kąciki oczu podkreślone (na francuską modłę) czarnym ołówkiem i tony czarnego tuszu naniesionego z taką precyzją, że nie było mowy, aby się rozmazał czy pokruszył. Uwielbiam taki wygląd. Delikatna, różowa szminka i może odrobina różowego błyszczycy. Coś podobnego do „Orgasm” Narsa, ale bardziej różowego i treściwego. Do tego śnieżnobiałe, perłowe kolczyki w kształcie żółędzi ze srebrnymi haczykami, zegarek z czarnym paskiem i srebrno-białym cyferblatem, a także zaprojektowana dla Tarjay przez Isaaca Mizrahi czarna, skórzana torebka ze srebrnym zamkiem.

Na koniec - niczym przybranie wieńczące ślubny tort - krótki, różowy płaszczek. Zestaw przypominający nieco galicyjską chłopczycę, który będę nosiła z dumą nawet za dwadzieścia lat. W tym właśnie tkwi cały sekret. Zawsze zadawaj sobie pytanie: „Jak żenująco byłoby zobaczyć siebie w takim stroju - powiedzmy - po menopauzie?”.

Gotowe.



Po czteroletnim okresie spotkań, burzliwych rozstań i powrotów, Dinozaur - który był w końcu dwadzieścia lat starszy ode mnie - wciąż nie mógł się zdecydować. W pewnym momencie, trwającym mniej więcej trzy, cztery minuty, byliśmy nawet zaręczeni, jednak narzeczony zerwał. Kiedy to zrobił, myślałam, że moje życie dobiegło końca. Popadłam w adekwatny do sytuacji nastrój rodem z „Madame Butterfly” - zresztą zawsze byłam odrobinę dramatyczna. Wiązało się to z nieszczęśliwą miłością rodem z dwudziestego pierwszego wieku, rozgrywającą się na starym materacu, który -- niezależnie od tego, jak wiele razy go trzepałam czy przewracałam - powoli zamieniał się w hamak. Kładłam się na nim i uzbrojona po uszy paliłam Parliamenty i opychałam się karmelowymi lodami od Bena i Jerryego.

Na swój pokrętny sposób, to właśnie jest najzabawniejsze. Kiedy zostajesz porzucona, jesz to, na co masz ochotę i ile chcesz. Powoli zamieniasz się w rozczulającego się nad sobą flejtucha, który ma ochotę pożegnać się z zafajdanym życiem. To tak, jak gdybyś dostała tymczasową przepustkę zwalniającą cię z dorosłego życia i jego obowiązków, zwalniającą od poczucia winy. Jedyne, co musisz zrobić, to naprawdę cierpieć i robić to wyjątkowo dobrze.

Jednak wówczas - i to jest w tym wszystkim najgorsze - ci, którzy cię porzucili, mogą się opamiętać i wrócić w najbardziej nieodpowiednim momencie. Tak przynajmniej zrobił Dinozaur. Powrócił po tym, jak przybrałam

na wadze czternaście funtów<sup>1</sup>, moja twarz stała się nalana, a ja sama wyglądałam niczym samotna, zrozpaczona wiedźma. Mimo iż jedyną rzeczą, w jaką mogłam się wbić, były czarne spodnie do jogi (najlepsze to J. Crew i Old Navy), byłam z tego powodu naprawdę szczęśliwa. Kiedy szalejesz z miłości i zostajesz przez nią zgnieciona, robisz wszystko, aby ponownie stanąć na nogi tak szybko, jak to tylko możliwe. W takiej sytuacji może tu pomóc tylko mężczyzna, którego kochasz. Tak więc ze łzami w oczach i ogromną wdzięcznością przyjął Dinozaura z powrotem. Ból i obżarstwo z udziałem Bena i Jerry'ego poszły w odstawkę. Choć może tylko chwilowo zeszyły do podziemia. W każdym razie odzyskałam swą miłość i triumfalnie powróciłam do dżinsów w rozmiarze 8.

Razem z Dinozaurem radowaliśmy się sobą na moim zdezelowanym materacu. Następnie zjedliśmy moje rewelacyjne, sezamowe kluski. Nie jest to żadna metafora. Robię najlepsze na świecie sezamowe kluski. Jeden z poprzedników Dinozaura, pochodzący z Brooklynu czterdziestolatek, który za nic na świecie nie chciał opuścić swojej mamusi (z tego właśnie powodu jest już dziś moim eks), zjadł ich kiedyś tak dużo naraz, że kolejne dwadzieścia cztery godziny spędził zamknięty w mojej toalecie, wydając naprawdę przerażające dźwięki i zapachy. Wzięłam to za rodzaj swoistego komplementu.

Praktyczna wskazówka brzmi: to, co czyni przepis wystarczająco dobrym, by doprowadzić kogoś do nudności, jest w istocie tym samym sekretem, którego używa

<sup>1</sup> Funt to ok. 453 g.

się do osiągnięcia idealnego odcienia czerwonej pomadki. Trzeba zmieszać ze sobą przynajmniej dwa składniki. W kwestii klusek (Żydom i Włochom pozostawmy udoskonalanie dań azjatyckich) były to: *Co ugotować, kiedy sądzisz, że w domu nie ma nic do jedzenia* autorstwa Artura Schwartza oraz *Nowe podstawy gotowania* Julee Rosso i Sheili Lukins. Jeśli chodzi o Dinozaura i postklu-skowy deser, osiągnęliśmy kompromis, jedząc kokosowy sorbet okraszony dużą ilością świeżych truskawek. Osobiście nienawidzę zdrowych deserów (nie wiem nawet, jakie znaczenie ma ten oksymoroniczny bełkot), ale Dinozaur zawsze starał się jeść „lekko”. Przynajmniej kokos nie służył nam obojgu. Gdyby zamiast roku 2003 był już rok 2005, Ben & Jerry z pewnością wynaleźliby pożywienie dla wapniaków - słodkie, kremowe lody z kawałkami czekoladowych ciastek, krówki w kształcie dinozaurów i lody o smaku karmelowym. Jestem pewna, że wówczas udałoby mi się przekonać do nich mojego wybranka, przez co oboje byłibyśmy bardziej spełnieni, a nasz związek przetrwałby całą wieczność.

To jednak nie było nam pisane, ponieważ kilka tygodni później Dinozaur mnie opuścił. Następnie wrócił. Potem znowu odszedł. Rozumiecie teraz istotę moich sercowych problemów? Mój wielbiciel był niczym miłująca futbol Lucy, podczas gdy ja byłam jak Charlie Brown. Ale nikt nie jest idealny. Kiedy narysujecie jego krzywą uczenia się, wyjdzie na jaw, że gad, z którym byłam związana, posiadał wszystkie odpowiednie cechy. Między okresami głupoty był nawet dość bystry, w chwilach, gdy nie był czymś nadmiernie pochłonięty wydawał się seksowny,

jeśli nie zapomniał, bywał również wrażliwy i uprzejmy, troskliwy (chyba że coś odwróciło jego uwagę) i hojny, kiedy w grę wchodziły naprawdę drogie prezenty. Rankiem przynosił mi kawę Starbucks i bajgle. Czasem, ot tak, przysyłał mi róże od Marthy Stewart. Był miły dla Lilly - mojej kotki - nawet po tym, jak zwymiotowała do jego zamszowych butów. (Stając w obronie Lilly, mogę tylko powiedzieć, że akurat wtedy nie miał ich na nogach). Nie był fanatykiem sportu. Uwielbiał chodzić do muzeów i lubił Joni Mitchell. Ilu równie uczciwych mężczyzn poznałyście w swoim życiu?

A zatem czekałam niczym sklep, na którym dawno już powinna zawisnąć tabliczka z napisem „Zamykamy”. W końcu chodziło tu o cztery lata. Z reguły mężczyznom, których lubię, daję czas do namysłu. Nie było zatem sensu wyrzucać Dinosauria razem z przedpotopową kąpielą, prawda? Zamiast tego dałam mu czas na romantyczne przemyślenia bądź też inne sprawy, z którymi musiał się uporać. W stosunkach z dinozaurami należy uzbroić się w wyjątkową cierpliwość. Uderzone w ogon potrzebują bowiem dwóch tygodni, aby wiadomość dotarła do głowy. Jak widać, nie od razu zbudowano Park Jurajski.

Wracając do mnie. Chyba naprawdę muszę kochać wszelkie wyzwania - romantyczne, kulinarne i krawieckie. Rozmyślałam nad tym, co biedny, nieżyjący JFK powiedział na temat lotu na księżyc: „Decydujemy się na niego nie dlatego, że jest łatwy, ale dlatego, że jest trudny”. Święta prawda, Jack. Wyzwania są po to, aby je podejmować. Tak jest ciekawiej. Poza tym, jestem strzelcem, a więc najbardziej radosnym i pełnym nadziei

znakiem zodiaku. JFK był bliźniakiem. To równie dobry znak i prawie tak energiczny jak mój.

Dla odmiany Dinozaur był panną. Na samą myśl o tym przeszywają mnie dreszcze. Ciemność. Oczywiście nie tak przerażająca, jak ta, która cechuje skorpiony, ale jednak. Był typowym dinozaurem-panną. Lubił się zamartwiać. Na początku nie stanowiło to problemu. Przecież istnieje powiedzenie, że przeciwieństwa się przyciągają. On mnie dołował, ja podnosiłam go na duchu. Ale z biegiem czasu (czy wspomniałam już, że były to cztery lata?) Dinozaur stał się powolny. Naprawdę powolny. Zbyt powolny. Tak powolny, że nie był w stanie tego zrozumieć. Mówiąc „tego”, nie mam na myśli mojego uroku osobistego - ten rozumiał świetnie - ale moich predyspozycji, aby stać się jego narzeczoną. Dlaczego? Dlaczego tak się dzieje, że to, co przyciąga mężczyzn, zarazem trzyma ich od nas w bezpiecznej odległości? Nigdy nie byłam w stanie tego pojąć. Z natury nie jestem agresywna. Ale czasami, kiedy pomyślę sobie, ile pieniędzy wydałam na „Stylowe Śluby” i „Przyjęcia” autorstwa Marthy Stewart, mam ochotę złapać Dinozaura i potrząsać nim bez końca.

W czym tkwił problem? W dzielącej nas różnicy wieku? Nie dla mnie. Mnie zawsze pociągali starsi mężczyźni. Przecież w końcu ktoś musi ich kochać. Ten - podobnie jak ja - był Żydem. Właściwie był nim w mniejszym stopniu niż ja. On i jego była żona - gojka, zawsze mieli w domu choinkę, na którą ja nigdy bym się nie zgodziła, podobnie jak na czarną szminkę.

- Nigdy nie byłaś zamężna i nigdy się nie rozwiodłaś -mawiał Dinozaur po jednym lub dwóch Manhattanach.

*Manhattan.* Czy można sobie wyobrazić bardziej gejowskiego drinka? Wystarczy spojrzeć na zdobiące go małeńkie wisienki z gatunku Marasa. W każdym razie, był to koronny argument Dinozaura. Nie byłam członkinią Klubu, dlatego nie mogłam do niego wstąpić.

- Nie wiesz, jak to jest - ciągnął.

- Do czego zmierzasz? - pytałam.

- Do tego, że nie wiesz, jak to jest - powtarzał, odgryzając wisienkę od szypułki.

*Nie wiesz, jak to jest, kochanie. Nie wiesz, jak to jest. Kochać kogoś, kochać kogoś, tak jak ja kocham ciebie.* Dzięki wam Bee Gees. Jednak mój związek nie do końca okazał się być piosenką miłosną, jak wyobrażałam to sobie na początku.

Dinozaur jęczał: „Być może zawsze będę już nieuleczalnym singlem”. Słuchając go, przypuszczałam, że przeczytał to w starym, dobrym „Cosmopolitan” w poczekalni swego psychoanalityka. *Nieuleczalny Singiel.* Proszę. Przecież to nie choroba! Jednak doświadczony dziennikarz w wieku zbliżonym do Dinozaura - spotkaliśmy się na konferencji dziennikarskiej, kiedy byłam jeszcze reporterką - nie używa podobnych stwierdzeń. No, chyba że trącą one sarkazmem. Może więc mój prehistoryczny chłopak starał się brzmieć jak hipster.

Mój terapeuta - Manny - trzyma w swej poczekalni wyłącznie „National Geographic”. Można tam znaleźć historie o nagich piersiach i okresie kredy - dwóch ulubionych tematach Dinozaura. Wracając jednak do miłości, Manny nazwał Dinozaura „skrajnie ambiwalentnym”. Jak zapewne się domyślacie, nie była to wiadomość, którą chciałam usłyszeć.

- Chcesz powiedzieć, że czas już uwolnić Dino? - spytałam. )

- W morzu jest wiele innych ryb - odparł Manny.

- Ale mój Dinozaur to taki ni pies, ni wydra. Naturalnie są również dinozaury morskie. Cóż... przynajmniej były.

- Dobrze, w takim razie przy następnej okazji wypróbuj jakiegoś ssaka.

Przy następnej okazji? Czy on żartował? Te cztery lata kompletnie mnie wykończyły. Nie chciałam ssaka. Chciałam naprawić mojego gada. *W Stylu Marthy Stewart*. Wiedziałam już, o co chodzi. Pracuj nad tym, co już posiadasz. Ułóż wieniec ze skamieniałości. Zbuduj mobile<sup>2</sup> z jaja dinozaura. Ułóż dekorację z jego łusek. Cokolwiek.

Nalałam sobie dietetycznej coli TaB (różowa puszka, dała mi nową nadzieję) i weszłam na stronę GaPa. Płaszczyk już tam był. Nazwali go Macintosh, ale był dostępny jedynie w kolorach „antycznej bieli”, piaskowym i czarnym. Nie, nie i jeszcze raz nie. Zadzwoiłam na 1-800-GAP-STYLE. Mój różowy płaszczyk był już wyprzedany! O nieee! Chwilę później pomyślałam jednak, że wszystkie te zachłanne lalunie z północnego wschodu, które nie zadzwoniły na bezpłatny numer GaPa, będą zapewne próbowały obdzwonić wszystkie pojedyncze sklepy na

<sup>2</sup> Mobile to lekka, ruchoma rzeźba abstrakcyjna skonstruowana z drucików, blaszek, kulek, prętów itp., zwykle wisząca, wprawiana w ruch mechanicznie lub przez naturalny prąd powietrza.

północnym wschodzie. Brakowało im jednak mojego zapachu. Myliłam się. Różowy płaszczyk był już wyprzedany w całym New Jersey, podobnie jak w Nowym Jorku i wszystkich sklepach GaPa w Connecticut. Właśnie tak. Zadzwoiłam do każdego sklepu GaPa w każdym z tych stanów. Mimo to zamierzałam pobić te paniusie ich własną bronią. Cholera, nikt nie był w stanie odwieść mnie od małżeństwa, zatem opracowałam nową strategię. Dalej dzwoiłam do każdego stanu, tym razem jednak zaczęłam od końca alfabetu. Na pierwszy ogień poszło więc Wyoming, w którym znajduje się wyłącznie jeden sklep GaPa. Nie śmieście się. W życiu nigdy nic nie wiadomo.

- Chodzi pani o ten mityczny, różowy płaszczyk? - spytała moja rozmówczyni. - Słyszałam o nim, ale nigdy go nie dostaliśmy. Myślę, że Wyoming nie jest najlepszym miejscem dla różowych płaszczy.

Później, dla świętego spokoju zadzwoniłam do Północnej Karoliny. Wiem, wiem, złamałam zasadę alfabetycznego porządku. Kiedyś jednak tam mieszkałam. Dwadzieścia dziewięć sklepów GaPa i wciąż nic. Jedna kobieta nawet mnie wyśmiała. „Ten różowutki płaszczyk? Ależ skarbie, nigdzie go teraz nie znajdziesz!”

*Oto moja misja. Będę tropiła różowy płaszczyk bez względu na to, jak beznadziejna była moja sytuacja, bez względu na to, jak daleko...*

Wróciłam zatem do alfabetycznej strategii. W Wisconsin jest dziewiętnaście sklepów GaPa, jednak szczęście uśmiechnęło się do mnie już przy pierwszym telefonie, gdzieś do miasta zwanego Greendale. Czyżby moje nierealne marzenie stało się nagle realne?



- Ależ mamy! - rzekła nłłoda kobieta. - Mamy na stanie ostatnią sztukę w rozmiarze M. Boże, pani to ma szczęście. Te płaszczyki po prostu wymiotło ze sklepu.

Wygrzebałam zmalretowaną kartę Visa i sfinalizowałyśmy transakcję na moje wyśnione, kremoworóżowe cacko. Maggie Prescott byłaby ze mnie dumna. Była przecież apodyktyczną dyktatorką mody w pochodzącym z 1957 roku filmie „Zabawna buzia”, wzorowaną na Dianie Vreeland (która to powiedziała: „Różowy jest odpowiednikiem hinduskiego granatu”). To Maggie Prescott śpiewała „Myśl na różowo”!: *Czerwony umarł, niebieski jest skończony, zielony jest nieprzyzwoity, a brązowy to temat tabu... Różowy dla kobiet, które czerpią radość z życia.*

Ja czerpię radość z życia, Maggie. Mnóstwo radości. Czerpię jej tyle, że mój utajony gen ciułacza - HNA, nie DNA - zaczyna szwankować. Być może potrzebuję więcej niż jednego różowego płaszczyka? Co, jeśli okaże się, że rozmiar M jest za mały? Albo jeśli nieszczęśliwym trafem coś na siebie wyleję i desperacko będę potrzebowała wsparcia? Z pewnością nie mogłam go otrzymać u GaPa w Madison w stanie Wisconsin, jednak Nancy - kierowniczka sklepu - obiecała przeprowadzić zakrojone na szeroką skalę poszukiwania i oddzwonić do mnie rankiem. Mimo szczerych chęci nie mogłam jej jednak zaufać.

- Przysięgam, że zadzwonię - powiedziała. - To naprawdę śliczny płaszczyk i chcę, żebyś go miała.

- Oczywiście, że przysięgasz - odparłam. - Ale czy w ogóle cię to obchodzi, Nancy?

- Ależ tak! - wykrzyknęła. - Przysięgam, że mnie to obchodzi!

Obdzwoniwszy pozostałe siedemnaście GaPów w Wisconsin, przerzuciłam się na cztery sklepy w zachodniej Wirginii. W każdym zostałam wyśmiana. Jeden ze sprzedawców w Barboursville oznajmił kpiarsko:

- Rozpakowywałem je tydzień albo dwa temu i patrząc na nie, pomyślałem: „Kto, do cholery, kupi te różowe szkaradztwa w stylu Pepto-Bismol<sup>3</sup>”?

- To NIE jest żaden Pepto-Bismol - odparłam, nie wiedząc nawet, o czym mówię.

- Trzy dni później - ciągnął mój rozmówca - już ich nie było. Dostawaliśmy telefony z Connecticut z błaganiami, żebyśmy przesłali im jakikolwiek rozmiar. Wydaje mi się, że mam tu gdzieś jeszcze sztukę w rozmiarze XS.

Czy ten facet drwił sobie ze mnie? Przecież ten rozmiar byłby za mały nawet dla mojej czterokilogramowej, bulimicznej kotki Lilly.

W końcu upolowałam rozmiar L w Bellingham w stanie Waszyngton. To jasne. Mówimy przecież o miejscu nieopodal Seattle, krainy deszczu, samobójców i płaszczy. Myśląc o tym, otworzyłam kolejną puszkę TaB, aby uczić i zaplanować przyjazd moich różowych gości. Była 00:30. Od rozpoczęcia misji upłynęło już sześć i pół godziny. Byłam tak pobudzona osobistym zwycięstwem, że zadzwoniłam do Joan, mojej przyjaciółki z Manhattanu, żeby jej o wszystkim opowiedzieć.

- Byłaś ostatnio na eBay'u? - spytała.

- Nie, dlaczego pytasz?

<sup>3</sup> Różowy syrop, tabletki i pastylki stosowane w przypadku dolegliwości żołądkowych.

- Powiedziałaś różowy Macintosh od GaPa, tak? Na aukcji są trzydzieści dwa takie płaszczyki za cenę 150\$.

- Co?!? Nie wierzę! To jakaś szajka przeklętych, płasz-czykowych koników! Kto wpadł na taki pomysł?

- Co cię to obchodzi? - odparła Joan. - Ty masz już swój i ciesz się z tego. On naprawdę jest słodziutki. Ciekawe, jak wygląda na kimś? Może mogłabym go kiedyś założyć.

Czy ona przypadkiem czegoś nie insynuuje? - pomyślałam i w obawie, że za chwilę wpadnie na kolejny absurdalny pomysł, szybko się rozłączyłam.

Rankiem Nancy faktycznie do mnie zadzwoniła. Byłam - wiercie mi lub nie - oszołomiona.

- Znalazłam! - usłyszałam w słuchawce podszyty dumą, piskliwy głos. - Właśnie wysyłam do ciebie wielką paczkę. W Chicago na Michigan Avenue mieli absolutnie ostatnią sztukę. Obdzwoniłam chyba ze trzydzieści sklepów.

Nie miałam serca powiedzieć jej, że tak naprawdę znalazłam już rozmiar L w Bellingham. Tak więc ustaliłyśmy warunki płatności i oto w drodze była już kolejna przesyłka. Coś się jednak działo i zjawisko to znacznie przerastało mnie i moje trzy, różowe płaszczyki. Oto, w jakich kategoriach myślały dziennikarze tacy jak ja: Dlaczego różowy? Dlaczego właśnie różowy? Czy dlatego, że Jennifer Garner nosiła dokładnie taki sam płaszczyk w lutym, kiedy była gospodynią programu „Saturday Night Live”? Tak właśnie myślała jej specjalistka od reklamy - Nicole King.

- Jennifer to dziewczyna w stylu GaPa - oznajmiła. - Ekipa stylistów „Saturday Night Live” wybrała ten płaszczyk dla żartu.

Jedyne, co zastanawiało mnie w tej chwili, to czy pozwolono jej zachować MÓJ płaszczyk?

- Myślę, że tak - odparła King. - Ona naprawdę go uwielbia.

- Mogę jedynie powiedzieć, że ten różowy płaszczyk przypomina elegancki styl retro - wtrąciła moja przyjaciółka Mindy, stylistka kostiumów z Waszyngtonu. - Jest niezwykle słodki, optymistyczny i miutki, zupełnie jak rypsowa wstążka. W stylu Kennebunkport, tyle że bardziej kobiecy.

W takim razie - pomyślałam - moja bratnia dusza w dziedzinie mody, Sarah Jessica Parker, również powinna go mieć! Swojego czasu pozowała nawet dla GaPa (co prawda było to po Epoce Różowego Płaszczyka, więc całkiem możliwe, że umknął on jej uwadze). Do tego jej perfumy o wdzięcznej nazwie Lovely i ich reklamy w stylu różowaworóżowej, cukrowej waty.

- Różowy Macintosh od GaPa, ma taki chłodny, różo-wawoniebieski kolor - rzekła Mindy. - Przypomina róż z opakowań słodziku Sweet'n Low. Ja ubrałabym Sarah w coś cieplejszego i bardziej stonowanego, jak... jak na przykład morelowy odcień Cosmo. To takie w jej stylu.

Nijak nie można przed tym uciec. Miejskie singielki - czyli moje przyjaciółki i ja - wciąż mamy obsesję na punkcie „Seksu w wielkim mieście”. Wiem, to smutne, ale co można na to poradzić? Mój przyjaciel Billy, który jest felietonistą i gejem, jesienią roku 2005 poświęcił temu zjawisku cały artykuł. Wszystko zaczęło się od tego, że pewnej niedzielnej nocy na dworcu Grand Central, w należącym do Michaela Jordana „Steak House”, zobaczyłam Biga. Mr. Biga. Aktora, Chrisa Noth. Ten

napakowany symbol seksu siedział ukryty za ogromnym filarem w towarzystwie jakiegoś faceta i ubrany w jaskrawozieloną koszulę rozkoszował się niebotycznie drogim stekiem. To było ponad moje siły. Dlatego zemdląłem. Mr. Big nawet tego nie zauważył. W pomieszczeniu było naprawdę ciemno, a ja, ubrana w moją czarną spódnicę (cztery zwiewne i cienkie jak pajęcza nić warstwy tiulu i bawełny, ozdobione biodrowymi kreskami. Prawdziwe чудо. [Anthropologie.com](http://Anthropologie.com), Kocham cię!), dosłownie zlałam się z wykładziną. Billy z pomocą kierownika sali czym prędzej wywlekli mnie z pomieszczenia. Jak zwykle doszłam do siebie gdzieś w okolicach deseru. Mr. Big gdzieś zniknął, ale teraz nie miało to już znaczenia. Miałam swoje problemy. Zostałam kompletnie znokautowana.

- W Krainie Baśni Mr. Big pospieszyłby ci na ratunek i aby cię ocucić, wachlowałby twą bladą, delikatną twarz - stwierdziła Elizabeth, moja przyjaciółka, literatka z Manhattanu. - Ale przecież on nigdy nie był takim typem faceta, prawda? Nie dalej jak wczoraj oglądałam powtórkę „Seksu...”, w którym niechętnie oznajmia Carrie: „Kocham cię, do cholery, rozumiesz?”.

- Ubiegłej nocy też widziałam ten odcinek - odparłam.

- Kiedyś widziałam Chrisa Noth, przechadzającego się po Village - dodała Elizabeth. - Wyglądał jakby dopiero co wyszedł z siłowni. Był fatalnie ubrany i w ogóle nie przypominał Mr. Biga. Mimo to wciąż go kocham.

*Mimo to wciąż go kocham.* Odwieczne stanowisko kobiet. Czy wszystkie jesteśmy masochistkami? Czy przypadkiem nie darzymy mężczyzn większym uznaniem niż to, na które faktycznie zasługują? Może miłość po-

winniśmy zachować wyłącznie dla zakupów? Na płycie „Nurds”, The Roches śpiewają: *To rola kobiety przez węża zepchniętej do roli typowej, w domu zamkniętej.*

Nie jestem pewna, co dokładnie znaczy ten tekst, ale zawsze doceniam ową gadzią aluzję. Niemalże tak samo jak mój nowy, różowy płaszczyk. Wiem, że Maryellen Gordon - zastępca redaktora działu prezentacji w magazynie „Glamour” - również by ją doceniła.

„Różowy przywołuje na myśl mięciutkie kokardki i bawełniane cukierki” - powiedziała kiedyś Maryellen. Jednak projektanci mody sprowadzili go do kobiecych, fantastycznych, dojrzałych odcieni. Co więcej, ludzie lekceważą kolory ubrań. Kiedy ostatnio zobaczyliście cudowny, wspaniały, leciutki, radosny i niefrasobliwy płaszczyk i powiedzieliście sobie w duchu „Jejku, muszę go mieć!”? To tak, jak powiedzieć sobie, „Jeśli go kupię, temperatura jutro wzrośnie do 30 stopni, a ja będę mniej przygnębiona z powodu wojny”. Różowy odzwierciedla ducha czasu.

Z całą pewnością jest on przeciwieństwem wojny. Na początku miesiąca ubrana na różowo grupa kobiet, nazywająca siebie Różowym Kodeksem, protestowała przeciwko wojnie w Iraku.

- To oczywiste, że ludzie są wkurzeni na wojnę i Busha - zauważyła moja przyjaciółka Andrea Linett, kierownik twórczy magazynu „Lucky”.

- Ludzie marzą o czymś, co uczyni życie mniej przygnębiającym. Czarny nie wzbudzi w tobie żadnych emocji. Różowy wręcz przeciwnie. To Audrey Hepburn w roli księżniczki, Gwyneth Paltrow na ceremonii rozdania Oscarów i kopciuszek - dziewczęcy i bardziej niewinny

od czerwonego, ale nie cikliwy. Po ohydnie monotonnej zimie różowy płaszczek jest jak zapowiedź wiosny w świecie mody.

Maryellen Gordon powiedziała, że wielkie koncerny takie jak Gap, podejmują ryzyko w sprawie kolorów (jest to świadome ryzyko, ponieważ znają swoją branżę), jednak była pewna, że w tej chwili żałują, iż nie wypuścili na rynek dziesięciu tysięcy więcej różowych płaszczków.

Czy jednak naprawdę żalowali? W tej sprawie zadzwoniłam do rzeczniczki GaPa, Eryki Archambault.

- Uwierzyliśmy w różowy i kilka miesięcy temu wybraliśmy go na motyw przewodni naszej wiosennej kolekcji - odparła. - Było to zaplanowane posunięcie, które okazało się wielkim sukcesem. Pomyśleliśmy, że tej wiosny ludzie będą mieli ochotę na eksplozję kolorów. Może zabrzmiało to idiotycznie, ale kiedy mam kiepski nastrój, zakładam coś różowego i od razu jest mi lepiej.

Emocje! Właśnie o to chodziło! W różowym chodzi o uczucia. O radość.

- Ogłoszę świętym każdego, kto się na to zdecyduje - rzekła Leatrice Eisman, dyrektorka Pantone Color Institute w Carlstadt w stanie New Jersey. Ona i jej koledzy po fachu badają reakcje ludzi na kolory. Co więcej, potrafią przewidzieć, jakie kolory będą modne w przyszłym roku. Korporacje takie jak Nordstrom, Puma i (tak, tak) również Gap, płacą Pantone wielką kasę za ich wiedzę na temat kolorów. Aby nie być gołosłowną, powiem tylko, że upragniony przez kolekcjonerów różowy płaszczek, ma w Pantone numer 15-2216, a jego kolor nosi wdzięczną nazwę „różu torebkowego”.

- Różowy jest powrotem do kocyka z czasów dzieciństwa - powiedziała Eisman. - Owija się wokół ciebie i niczym peleryna chroni przed żywiołami. Jest żywy, romantyczny i zwiastuje wiosnę. Myślę, że teraz, po ciężkiej zimie, w obliczu posępności i mroków wojny, nastał idealny czas, by go założyć. Różowy jest wyrazem wszystkich wewnętrznych uczuć.

Wiedziałam! Byłam tak podekscytowana swoimi przemyśleniami, że oddzwoniłam do Joan, by natychmiast jej o nich opowiedzieć. Powiedziałam jej o drugim płaszczu w rozmiarze L i o Jennifer Garner. O Różowym Kodeksie i „Here Comes the Sun” i...

- Czekał - przerwała mi Joan, która zawsze mi przerywa. To część naszego repertuaru. - Powiedziałaś, że kupiłaś... DWA płaszcze w rozmiarze L?

Średnie maleństwo przybyło kilka dni później, niczym zesłany prosto z nieba, różowy tobolek pełen miłości. Co więcej, pozioma naszywka na wewnętrznej stronie kołnierza, ta, której czasem używamy, by powiesić płaszcz na haczyku, była zrobiona z - trzymajcie się mocno - kraciastej, biało-różowej bawełny. Większe bliźniaki dotarły do mnie tego samego tygodnia, nieco później. Niestety oba były za duże. Jednego sprzedałam mojej przyjaciółce Mindy, która stwierdziła, że nie tylko jest on w jej ulubionym kolorze błękitnawego różu, ale że będzie też idealnie pasował do jej świeżo wyremontowanej, maleńkiej kawalerki. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam jej mieszkanie, Mindy zapytała z dumą:



- Czy patrząc na nie, nie masz ochoty na seks?

- Cóż - odpowiedziałam, spoglądając na ciemne, fioletoworóżowe ściany, rozrzucone na podłodze czarne, niedźwiedzie skóry i trzydzieści siedem (wielkich niczym Hummery SUV) poduszek, skrupulatnie rozłożonych na ciężkiej wiśniowej, aksamitnej narzucie - faktycznie przypomina to wnętrze waginy.

Drugiego bliźniaka zwróciłam do miejscowego sklepu GaPa, gdzie oszalała grupa siedmiu kobiet (klientek i sprzedawczyń) rzuciła się na mnie i po prostu wyrwała mi go z rąk. Równie dobrze mogłabym być hiszpańskim matadorem, machającym im przed oczami różową płachtą. Mówię wam, zdobycie tego płaszczyka przepełniło mnie tak wielkim poczuciem dumy, że wybiegłam na zewnątrz i odtańczyłam na Riverside Square zwycięski taniec Rocky ego, mruczając pod nosem pochodzącą z filmu melodię: DadaDAAA, dadaDAAA, dadaDAAA...

Zawsze wierzyłam (i wciąż wierzę), że ten płaszczyk, podobnie jak kilka innych trafnie dobranych ubrań sprawia, iż mężczyzna, którego kocham, w końcu zdobędzie się na odwagę i zdecyduje się żyć ze mną długo i szczęśliwie, a co najważniejsze, ze smakiem. Skoro ja w to wierzę, to wy pewnie także - oczywiście pod warunkiem, że jesteście kobietami. Prawda? Przecież skoro jesteśmy w stanie znaleźć niemożliwy do zdobycia krótki, różowy płaszczyk, to facet w końcu będzie musiał potrzebować nas do czegoś więcej niż tylko do randki i seksu i podaruje nam maleńkie, błękitne pudełeczko od Tiffa-nyego. Oczywiście nie zawsze musi nam w tym pomóc krótki, różowy płaszczyk. Równie dobrze mógłby to być, powiedzmy... jedwabno-satynowy staniczek w kolorze brzoskwini, z pasującymi do niego majteczkami albo na przykład czarna sukienka z odkrytymi plecami. Mam na myśli każdą rzecz, którą chciałybyście na siebie włożyć. Coś, co

sprawia, że czujecie się wyjątkowo dobrze, ponętnie i świeżo. To olśniewające, szalone, romantyczne, zwodnicze i na wskroś kobiece. Ta potężna, magiczna siła, jaką przypisujemy ubraniom, biżuterii, bieliźnie, szalom, butom, okularom przeciwsłonecznym, makijażowi, a nawet perfumom, które zbliżają nas nie tylko do mężczyzn i seksu - to można znaleźć wszędzie - ale do miłości, największego, najpotężniejszego i najbardziej ulotnego ze wszystkich skarbów. Oto właśnie różowo-płaszczkowy stan umysłu.

Naturalnie takie rzeczy nigdy się nie sprawdzają. Przynajmniej na długą metę. Ubrania mogą uczynić z nas kobiety, ale nie zatrzymają przy nas mężczyzn. Nawet te najśodsze, na widok których padasz trupem. (Kto wie, dlaczego mężczyźni z nami zostają? Ja nie mam pojęcia. Przypuszczam, że dzieje się tak, ponieważ nas kochają. Najbardziej wtedy, kiedy jesteśmy nagie. Dlatego odwołuję całą teorię opartą na zakupach). Ale! Nie znaczy to, że osobiście staramy się, aby ta nasza teoria zakupowa nie działała. Wręcz przeciwnie. Myślimy, że działa, wierzymy, że działa, mamy nadzieję, że działa i tylko to się liczy. (Dokładnie to samo utrzymuje w branży moje ulubione sklepy, począwszy od Banana, a skończywszy na Bergdorf). Poza tym, tak naprawdę nie ma znaczenia, czy mężczyźni nas zostawiają. Oni po prostu to robią. Zdarza się. Jakoś sobie z tym radzimy. Suniemy

do przodu, trzymając w pogotowiu karty kredytowe. Bo wiecie co? Po tym, jak zostajemy porzucone, wciąż chcemy dobrze wyglądać. To pewne. Konkretnie. Prawdziwie. Jak powiedział Manny, „morze jest pełne innych ryb”. Jednak Manny to *man-ny*<sup>4</sup>, a ty możesz już nigdy więcej nie zobaczyć ekstatycznej, czerwonej szminki od Chanel, ponieważ wprowadzono ją na rynek wyłącznie na jeden sezon i właśnie zaprzestają produkcji. Chanel to coś ulotnego i wyjątkowego. Wiecie, o czym mówię? Stracić faceta. Zatrzymać szminkę. W ten sposób życie i miłość są mniej rozczarowujące.

W tym sensie mój krótki, różowy płaszczyk był -w dosłownym tego słowa znaczeniu - krótkim, różowym płaszczykiem. Ale był także metaforą uczucia, TEGO uczucia, które daje krótki, różowy płaszczyk. Moja ukochana redaktorka „Washington Post Style”, Peggy Hackman, zgadzała się ze mną do tego stopnia, że w następnym miesiącu pozwoliła napisać mi na ten temat cały artykuł. W dniu, kiedy moja historia „Odwieczna Gonitwa za Płaszczami: Gustując w Różowym”, ukazała się w druku, sama Katie Couric mówiła o niej w swoim programie „Today”. Pamiętam, że powiedziała wówczas coś takiego: „Chcę mieć ten płaszcz!”. Najwyraźniej musiałam poruszyć jej czułą, kobiecą strunę. Coś musiało w tym być. Jeśli my, kobiety, potrafimy oszaleć na punkcie krótkiego, różowego płaszczyka, musimy też szaleć na punkcie innych, podobnych rzeczy. Wiemy, że to, co na siebie zakładamy, może zmienić nasze życie. Wiemy także, że NIE może to zmienić twego życia. Widzicie?

<sup>4</sup> W języku angielskim wyraz *man* znaczy 'mężczyzna'.

Sęk w tym, że pragniemy odmienić nasze życie, a zmiana ta oznacza miłość, zarówno skrytą, jak i tę wyrażaną na wszystkie możliwe sposoby.

Maj byłby wymarzonym miesiącem na ślub! Dinozaur i ja moglibyśmy spędzić miesiąc miodowy w Vernal, w stanie Utah. To tam właśnie znajduje się Dinozaurland. Mają tam OGROMNEGO, różowego Zauropoda z kokieteryjnie długimi, czarnymi rzęsami, witającego cię przy wejściu wielkim, przyjaznym uśmiechem. Dinozaur mógłby obcować ze swymi krewniakami, a w najgorszym razie z ich skamielinami. Następnie zjedlibyśmy obiad w Restauracji dla Dinozaurów (gdzie podają piwo, hamburgery i KOŚCI). A przed snem wypilibyśmy mrożony koktajl albo późną kawę latte w pobliskiej kawiarni Shivers-N-Jitters. Byłoby bosko.

Chyba że przedtem ze mną zerwie.

Co też uczynił.

Pamiętam DJ'a, którego poznałam w collegeu. Był wówczas świeżo po zaręczynach. Facet był jeszcze dzieciakiem, miał zaledwie dwadzieścia lat, a jego zombiakowata narzeczona potrzebowała na gwałt implantu osobowości.

- Wiem, że nie należy do piękności - powiedział mi kiedyś. - Tak samo jak wiem, że nie grzeszy inteligencją i nie jest bogata.

- Po co więc się z nią żenisz? - spytałam.

- Mam już dość pierwszych randek.

Jasne, a co powiecie na tę samą randkę przez cztery lata? Ale! Mój krótki, różowy płaszczyk miał przecież odmienić Dinozaura i mnie. Była wiosna, wszystko

dookoła kwitło jak szalone. Kto powiedział, że i my nie mogliśmy zakwitnąć? Ponieważ mój Dino mieszkał w Filadelfii (widywaliśmy się w weekendy, jeśli w ogóle się widywaliśmy), wyobrażałam sobie, jak samotnie i powolnie maszeruje wzdłuż brzegów rzeki Schuylkill albo kanału Manayunk, z rozgoryczeniem rozważając slogan mówiący o „Mieście Braterskiej Miłości”. Noga za nogą, noga za nogą. Samotny stek z dinozaura.

- Wchodziłaś ostatnio na jakieś strony matrymonialne? - spytała pewnego dnia Eman, moja przyjaciółka, dziennikarka, kiedy rozmawiając z nią przez telefon pławiłam się w nastroju rodem z „Madame Butterfly”.

- Co takiego? - odparłam zdumiona. - Nie, dlaczego pytasz? Nie jestem gotowa, aby umawiać się z innymi mężczyznami. Kocham Dinozaura! W życiu bym nie weszła na taką stronę. Oglądałam dziś Doktora Phila i on nie wierzy w te bzdury. Powiedział nawet: „Jeśli wymagasz tylko, aby druga osoba posiadała komputer...”.

- Jesteś teraz w sieci?

- Nie - odparłam, odpalając Parliamanta. - Jestem zbyt zajęta siedzeniem na hamaku, który był kiedyś moim łóżkiem, i myśleniem o samobójstwie.

- Właśnie tam siedzi twój Dinozaur - wtrąciła. - W doskonałym, dinozaurowatym nastroju.

- O czym ty mówisz? - spytałam, sięgając nerwowo po popielniczkę i pudełko lodów. - Mój Dinozaur jest przygnębiony i oddaje się sztuce posępnej medytacji, czytając nad brzegiem rzeki dzieła Benjamina Franklina.

- Cóż, byłam trochę ciekawa, więc przeprowadziłam małe miłosne śledztwo na temat twojego cierpiącego katusze Rain Mana. Wklepałam jego dane osobowe i bingo,

kochana. Wyświetliły się „Moje anonse”. Poczekaj, zaraz prześlę ci kilka linków.

- Jak to?! OGŁASZA SIĘ NA WIĘCEJ NIŻ JEDNEJ STRONIE?! - wrzasnęłam.

- Żadna tam medytacja nad brzegiem rzeki - odparła Eman. - Ten facet szuka rozrywki.

Rzuciłam lody i telefon i popędziłam do swego komputera, czując w piersi oszalałe bicie połamanych kawałków tego, co jeszcze chwilę temu było moim sercem. To nie mogła być prawda! To nie mógł być MÓJ Dinozaur. Ten musiał należeć do kogoś innego. Kliknęłam na jeden z linków i...

O. Mój. Boże.

To. BYŁ. Mój. Dinozaur.

Stał przed wejściem do hotelu Chelsea. Uśmiechał się. UŚMIECHAŁ. W swoich głupkowatych, starych okularach. (Tak, zakochałam się w facecie w Fatalnych Okularach. To się nazywa PRAWDZIWA miłość). Na przedramię miał zarzucony stary, wyświechtany trenz w kolorze khaki. Zaledwie cztery miesiące wcześniej pojechaliśmy na Święto Dziękczynienia do Nowego Jorku, żeby odwiedzić jego siostrę i szwagra. A teraz on używał zdjęcie, które mu zrobiłam, żeby umawiać się z innymi kobietami!

DZIENNIKARZ POSZUKUJE  
ULOTNEGO POŁĄCZENIA  
PRZYGODY I STABILIZACJI

Niektórzy z moich przyjaciół mówią o mnie „dinozaur”, głównie ze względu na

przestarzałe poglądy i fakt, że jeśli już się za coś zabieram, lubię robić to dobrze, bo tak właśnie powinno być.

Jasna cholera.

Szukam kogoś inteligentnego, twardo stąpającego po ziemi, atrakcyjnego i przede wszystkim szczerego w subtelny sposób. Warunkiem wytrwania przy mnie jest doskonałe poczucie humoru.

Halo?!?

Potrzebuję przestrzeni życiowej i szanuję ją u swoich partnerek, ale szukam też czegoś więcej niż tylko weekendowych randek.

Kłamiesz! Kłamiesz, aż ci się kurzy z nosa! Jesteś skrajnie ambiwalentny!

W chwili obecnej jestem sam i szukam kogoś z podobnym bagażem.

Kolejne banialuki wyczytane w magazynach dla kobiet podczas wizyty u psychoanalityka! Czyżby mój przyszły małżonek włókł swoje walizy wzdłuż brzegów Manayunk, od czasu do czasu zatrzymując się, by sprawdzić w swoim BlackBerry nowe wiadomości na *luuuw.com*'? Chryste!

Co mnie kręci:

Śmiałość, Pewność siebie, Inteligencja, Flirtowanie,  
Publiczne okazywanie uczuć.

Co mnie nie kręci:

Body piercing, Tatuaze, Poszukiwaczki przygód.

Wstrzymawszy oddech, ze łzami w oczach znalazłam leżący pod poduszkami telefon i zadzwoniłam do Billy ego. W chwilach takich jak ta dziewczyna potrzebuje prawdziwego homoseksualisty, żeby ten przywołał ją do porządku.

- Tak naprawdę on chce powiedzieć: „Pragnę kogoś zupełnie takiego jak ty. Ale nie ciebie”.

Zrobiłam więc to, co na moim miejscu zrobiłby każdy, umiejący pisać i czytać, niebezpieczny dla otoczenia człowiek, który nagle stał się zwierzęciem rozjechanym na drodze przez rozpędzony samochód zwany MIŁOŚCIĄ: odpisałam na anons.

Przecież w końcu jestem niemalże sobą.

Cześć!

Jestem słodką, maleńką, żydowską księżniczką mieszkającą w New Jersey. Naprawdę spodobał mi się Twój anons i pomyślałam, że może będziesz miał ochotę się spotkać. Znam pewną świetną pizzerię w Hackensack. Nic szczególnego, ale pizza jest tam fantastyczna. Właściwie miałam tam jutro



zjeść z kimś obiad, ale okazało się, że osoba ta jest zbyt nieznacząca. Jeśli więc masz ochotę na wysokokaloryczną przygodę, proszę, daj znać.

Ulotnie twoja, *La Princesse*

PS Urocze zdjęcie sprzed hotelu Chelsea. Zrobiłam je ja czy może Twój szwagier?:)

Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki oddech i kliknęłam „wyślij”.

Trzydzieści sekund później zadzwonił mój telefon. Zerknęłam na identyfikację numeru. Nie był to żaden z moich pięciuset wierzycieli. Nie. To był Dino. Odczekałam chwilę, zanim włączy się poczta głosowa. Zapaliłam Parliamanta i nalałam sobie TaB. Chwilę później zadzwoniła komórka. Dino. I tym razem poczekałam na pocztę. Hm - hmm - hmmm. *Jak to jest?... Jesteś niewidoczna i nie masz do ukrycia żadnych tajemnic. Jak to jest?* The Bee Gees (niech Bóg ich umiłuje), nie mogą się równać z Bobem Dylanem. Nikt nie może się z nim równać. Znowu zadzwonił telefon. Dino. Tym razem odebrałam.

- Halo...? - zaszczebiotałam.

- Hej - odparł ponuro. - Więc, hm, hmm. Dostałam właśnie twoją wiadomość.

-Aha.

- Czy to... jakiś... żart? - spytał.

- Ależ nie - odparłam. - To śmiertelnie poważne. Rozmawiamy przecież o pizzy.

- Cóż. W takim razie, w porządku.

- Czy naprawdę myślałeś, że nie zobaczę twojego anonsu? Myślisz, że jestem aż tak głupia? Większość życia spędzam w Internecie, więc CO DO CHOLERY się z tobą dzieje?

- Wcale nie jesteś głupia.

- Ach tak. Więc chcesz mi powiedzieć, że miałeś nadzieję, że to zobaczę.

- Nie. Wcale nie... wiem. Nie myślałem...

Sączyłam powoli TaB i czekałam. Dłuuuga cisza. Tik-tak. Tik-tak. To była niesamowicie błyskotliwa rozmowa. Gdy jej słuchałam, przechodziły mnie dreszcze. Tik...

- Więc jak, masz ochotę iść na pizzę czy nie? - burknął w końcu Dinozaur.

- Jasne - odparłam. - Skoro tak ładnie to ująłeś. Jak mogłabym odmówić?

- Przyjadę jutro. Będziemy mogli zjeść późny lunch lub - jak wolisz - wczesny obiad. Chcę wrócić, zanim zrobi się ciemno. (Czytaj: Nie zamierzam nocować, więc nawet o tym nie myśl).

Tak, ale przecież nie widział mnie jeszcze w moim nowym, różowym płaszczyku. Podeszłam do stojącej w przedpokoju szafy i wyciągnęłam go. Był boski.

- Tylko ty i ja, skarbie - powiedziałam do niego. - Razem naprawimy Dinozaura.

Następnego ranka obudziłam się z zawrotami głowy. Uruchomiłam swoją *idée fixe*. Włosy i makijaż - idealne. Skrywane pod płaszczykiem ubranie - idealne. Bizuteria i torebka - też idealne. Delikatnie spryskałam się Chanel N°19, narzuciłam płaszczyk (czego nie mogłam się już

doczekać) i spojrzałam w wielkie lustro. Jeszcze tylko dodatkowe muśnięcie błyszcząca o wdzięcznej nazwie *Orgasm* i będzie można mnie schrupać.

Dinozaur przybył dokładnie o wyznaczonej godzinie, czyli o szesnastej. Zważywszy na to, że byłam gotowa już w południe, miałam mnóstwo czasu, by uspokoić nerwy i oswoić się z przepiękną, bajkową różowością. (Pierwszy raz, kiedy zakładasz coś nowego, jesteś zawsze odrobinę skrepowana. Jednak wystarczy ten jeden raz i wszystko jest już w porządku. W końcu to ty masz coś na sobie, a nie odwrotnie).

Dinozaur w pośpiechu pocałował mnie na powitanie. Był ubrany w ciężki płaszcz i czarną, wełnianą czapkę. Prawdopodobnie wciąż było jeszcze za chłodno i zbyt bezdeszczowo na mój wiosenny strój, ale w ogóle o tym nie myślałam. Zawsze mogłam wytłumaczyć się pięknem, miłością i marzeniami.

- Jesteś już gotowa do wyjścia? - spytał. - Chodźmy - odparłam, czekając, kiedy wpadnie w zachwyt nad moim płaszczkiem.

- Nie będzie ci w tym za zimno? - Tylko tyle miał mi do powiedzenia.

O tej godzinie - 16:10 - restauracja nie była zatłoczona i od razu znaleźliśmy wolne miejsce. Byłam przemarznięta, więc cały czas siedziałam w płaszczu. Poza tym był to idealny sposób, aby przedłużyć różową ekstazę. Boże, uwielbiam to miejsce! To moja ulubiona pizzeria w New Jersey, nazwana osobiście Brooklyn's Brick Oven Pizzeria. Znajduje się niedaleko Cementarza Hackensack. Gdybym posiadała wiedzę na temat związków, zwróciłabym uwagę na symbolikę.

Dinozaur zamówił dla nas: czerwone wino, sałatki i dużą pizzę. Z kolei ja odpaliłam papierosa i poczułam się niezwykle zadowolona. Kocham Jersey, choćby za to, że wciąż mają tu miejsca dla palących. Na swój sposób cały ten stan jest jedną wielką palarnią.

Chwilę później podeszła do nas latynoska kelnerka ze szklankami mrożonej wody i koszyczkiem ciepłego chleba czosnkowego.

- Ojej! - wykrzyknęła, kiwając głową w kierunku mojego płaszczyka. - Ładny różowy.

- *Gracias!* - odparłam.

Spojrzałam na Dinozaura. NIC. Wyglądał, jakby zaraz miał skonać. Jak to możliwe, że zupełnie obca mi osoba - zgoda, mówimy tu o kobiecie, ale mimo wszystko OBCEJ kobiecie - potrafi mnie zauważyć, a mój prawie-mąż nie?

- Jak leci? - spytałam, wsuwając do ust kawałek pysznego, tłustego chleba.

- W porządku - burknął i z ponurą miną zaczął sączyć wodę.

- Ten chleb jest naprawdę dobry - rzekłam. - Chcesz troszkę?

- Później - odparł.

Najwyraźniej szykowała się rozmowa, którą ja będę starała się ożywić, a on zakończyć. Zupełnie jak historia naszego związku.

Kelnerka przyniosła nasze wino i sałatki.

- Na zdrowie - rzekł Dinozaur, choć wcale nie wyglądał na zdrowego.

Przypuszczam, że byłby bardziej żywy w lokalu obok, czyli na cmentarzu. Dlaczego nie wspomniał nic na temat

mojego płaszczyka? Dlaczego w ogóle ze mną nie rozmawiał? Dlaczego do cholery umawiał się na randki online?

Nadeszła pizza, pachnąca i upstrzona smakowitymi pęczerykami. Ta pizza potrafi wstrząsnąć moim światem. Posypałam swoją połówkę (pieczarki, ser i ekstra sos) startym parmezanem, podczas gdy Dinozaur skubał sałatkę z pomidorów, czarnych oliwek, pieczonych ząbków czosnku i świeżego szpinaku. Podobnie jak jego mezozoiczni, mięsożerni i roślinożerni przodkowie, Dinozaur uwielbiał jeść. Można powiedzieć, że pochłaniał jedzenie. Gdyby się nad tym zastanowić, był sknerą w każdej dziedzinie za wyjątkiem jedzenia i alkoholu. Ale przecież mówimy tu o winie stołowym Merlot i pizzerii w Hackensack, a nie o francuskim szampanie czy pieczonym homarze w sosie rozmarynowym, podawanych w The Inn w Little Washington. O takich przysmakach mogłam tylko pomarzyć. Choć może na pierwszą rocznicę ślubu, po naszym powrocie z Dinozaurlandu? Najpierw jednak musielibyśmy się pobrać. A jak tego dokonać, jeśli on nawet nie zauważył mojego różowego płaszczyka?

- Co się dzieje? - spytałam.

- Po prostu wiem, że ten przeklęty, pieprzony, kłamliwy dupek, sukinsyn i wojenny podżegacz, wysyła nas na wojnę.

O Boże, zaczyna się. Dino nienawidził prezydenta. George W. Bush doprowadzał go do stanu absolutnego wrzenia i z całą pewnością nie był to stan wrzenia, jaki lubiłam. Kiedy tylko zaczął pomstować na W, który - jak się zdawało - zamierzał zaatakować Irak i wraz z krajami

ONZ zaostrzyć wobec niego sankcje, wiedziałam, że nie przestanie.

- Ten skurwiel musi POSMAKOWAĆ, jak to jest -ciągnął Dinozaur. - Musi skończyć to, co zaczął jego tatuś! Nadszedł czas zapłaty! Trzeba zniszczyć Irak, żeby ci pieprzeni kolesie Cheney'a z Halliburton dostali swoje małe kontrakty na jego odbudowę i...

- Dobra, w porządku, atakujemy Irak - przerwałam mu. - Rozumiem. Ale co z nami?

- Z nami? Będziemy musieli się z tym pogodzić. Ten drań zamierza zrobić to, co mu się, kurwa, żywnie podoba. Pieprzony, amoralny palant. Kowbojski szarlatan z Teksasu.

Oto, w jaki sposób życie naśladuje sztukę: w mojej ulubionej komedii romantycznej, *Annie Hall*, jest scena, w której Alvy (bohater grany przez Woody'ego Allena) prowadzi polityczną dyskusję ze swoją żoną Allison (graną przez Carol Kane). Oboje są już w łóżku i Alvy zaczyna rozprawiać o wymyślonej przez siebie teorii spiskowej na temat zabójstwa JFK. Gada i gada przez kilka minut, aż w końcu Allison zabiera głos:

ALLISON: W takim razie wszyscy biorą udział w spisku?

ALVY: ĆŚŚ.

ALLISON: FBI, CIA, J. Edgar Hoover, koncerny naftowe, Pentagon i mężczyzna strzegący w Białym Domu męskiej toalety?

ALVY: Ja, ja, ja... wykluczyłbym mężczyznę strzegącego toalety.

ALLISON: Wykorzystujesz tę teorię jako pretekst, żeby się ze mną nie kochać.

ALVY: O Boże! (*Chwilę później do kamery*). Ona ma rację! Dlaczego odrzuciłem Allison Portchnik? Przecież była taka... piękna. Była taka chętna. I naprawdę... inteligentna. (*Wzdycha*). Czy to jakiś stary żart w rodzaju Groucho Marx? Że, że nie chcę należeć do żadnego klubu, który nie zgadza się, abym został jego członkiem?

- Nie chcesz deseru, prawda? - spytał Dinozaur, wycierając usta sześćdziesiątą trzecią serwetką, z których każda prawdopodobnie symbolizowała rok jego życia. Chwilę później odłożył ją na stos pomarańczowych, umazanych tłuszczem, sześćdziesięciu dwóch serwetek.

- Już się najadłam - odparłam, odpalając papierosa. - Ale może napiłabym się kawy.

- Napijmy się kawy u ciebie - zaproponował Dinozaur, kiwając na kelnerkę, aby przyniosła rachunek. - Chciałbym obejrzeć CNN, zobaczyć czy...

- Co z nami? - spytałam, chwytając go za ramiona. To były piękne ramiona. Niezbyt owłosione, ale też niezbyt łyse. Kształtne, silne, męskie. Inteligentne ramiona. Dinozaur miał na sobie czarny, bawełniany golf, który kupiłam mu we wrześniu na urodziny. Muszę przyznać, że w czerni wygląda oszałamiająco, nie mówiąc już o tym, że na czarnym prawie nie widać plam. Rękawy podwinął do łokci, obnażając Timexa, którego podarowałam mu na poprzednie urodziny. Zegarek miał prosty, czarny skórzany pasek, okrągły cyferblat i arabskie cyferki, które lśniły czernią na białym tle. To był naprawdę do-

bry, niedrogi zegarek. Jego poprzednik był tandetnym, cyfrowym, szkaradnym gargulcem, który do tego kosztował więcej niż mój prezent. Nie chodzi o to, ile za coś płacimy, ale o to, jak to coś wygląda, działa (w tej kwestii moje poglądy są naprawdę demokratyczne) i - jak mawia moja przyjaciółka Eman - „jak dobrze się z tym czujemy”. Eman wie coś na ten temat.

We wrześniu 2005 roku ta kruczoczarna, bosostopa sylfida pojawiła się w Cabo, reklamując parę białych majteczek kąpielowych z haftowanej koronki od Feliny i uroczą, koktajlową sukienkę z plecionymi ramiączkami. Trzeba przyznać, że owa sukienka bosko komponowała się z jej karmelową skórą i pasowała do niej jak ulał.

Nie pamiętam, czy była to sukienka od Wanga?

*La Herrery?*

GaPa?

Zupełnie jak mój krótki, różowy płaszczyk!

- Jutro rano muszę wpaść na siłownię - oznajmił Dinozaur. - Zrzucić trochę tej pizzy.

- Co. Z. Nami? - powtórzyłam pytanie.

- Chcesz, żebyśmy poćwiczyli razem? - spytał, uwalniając się z mojego uścisku, by przyjrzeć się rachunkowi. - No, no! To dopiero wiadomość. Przecież nigdy nie wstajesz o tak wczesnej porze. I nie mówię tu o jodze, księżniczko. To nie trening dla mięczaków. Trzeba się namęczyć. Wypocić. To nie żadna medytacja Zen.

Czy był to zastój umysłowy, typowy dla dojrzałych mężczyzn, czy mój Dinozaur naprawdę był aż tak głupi?

- Przestań gadać o siłowni, Iraku i CNN! - wrzasnęłam. - „Ulotne połączenie przygody i stabilizacji? - Jezu!



A mój cudowny płaszczyk? Nawet go nie zauważyłeś!  
NIE masz pojęcia, przez co przeszłam, żeby go zdobyć! Nie  
masz pojęcia. Tyle się napracowałam, żeby go dostać. Tak  
wiele dla mnie znaczy. NIE widzisz tego?

- Widzę - odparł kompletnie zmieszany. – Widzę go

- JEST RÓŻOWY!

- Naprawdę? -TAK!

- W takim razie, OK. Jest różowy. Przepraszam, nie  
zauważyłem.

- CO TO ZNACZY „NIE ZAUWAŻYŁEM”?

- Jestem daltonistą.

## Rozdział 2

### Brzoskwiniowe Majteczki

Niektórzy mężczyźni, osiągając pewien wiek, głupieją. To właśnie stało się z Doktorem Koktajl Owocowy (DKO), kiedy stuknęła mu czterdziestka piątka. Patrząc na niego, mogłoby się wydawać, że facet miał wszystko: świetnie prosperujący, prywatny gabinet w dobrej dzielnicy Waszyngtonu, nieruchomość, końskie zdrowie, piękną, szczupłą żonę z idealną cerą i naprawdę lśniącymi, prostymi włosami, dzieci kształcące się w prywatnej szkole, ogromną posesję, którą zbudował w innej, dobrej dzielnicy i dwa razy do roku dwutygodniowe, wędkarskie wakacje w Górach Skalistych. Jednym słowem: żyć nie umierać.

DKO był moim dermatologiem w tak zwanym Trudnym Okresie, czyli nieszczęsnych, cukierkowo-młodzieńczych latach, kiedy żadna ilość korektora, sprzedawanych bez recepty przeciwtrądzikowych specyfików czy zaczerpniętych z gazet maseczek na bazie owsianki i jogurtu nie była w stanie zlikwidować atakującego mnie trądziku.

Po dłuugotrwałym leczeniu, obejmującym rozmaite kuracje z zastosowaniem leków doustnych i stosowanych

miejscowo maści, moje chroniczne problemy z cerą ustały i przestałam widywać DKO.

Ale życie nigdy nie bywa spokojne. Bywają jedynie chwile, a czasem nawet długotrwałe okresy wyciszenia i kiedy już myślisz, że wszystko wraca do normy, na twojej drodze znowu pojawiają się wyrwy i wyboje. Dlatego zawsze powtarzam, że patrząc przed siebie, należy oczekiwać jakichś nierówności.

Jeśli chodzi o mnie - wyleczyłam przód, ale zapomniałam o tyle. I tak oto moja młodzięcza trauma nawiedziła mnie ponownie, kiedy dobiłam do dwudziestki. Tym razem w postaci trądziku na plecach. Co w tym strasznego? Otóż to, że pryszcze, które mnie zaatakowały, były OGROMNE, ODRAŻAJĄCE i BOLAŁY. I nie mówię tu wyłącznie o bólu fizycznym, ale wyobraźcie sobie, jak bardzo wpłynęły na mój ubiór. Było gorzej niż źle. Dlatego odnalazłam starego, dobrego DKO i wróciłam do eleganckiego gabinetu w drogiej dzielnicy północno-zachodniego Waszyngtonu.

Wykorzystuję każde wyjście z domu jako pretekst do zrobienia zakupów. Po prostu nigdy nic nie wiadomo. Niektórzy ludzie chomikują najlepsze ubrania na wyjątkową okazję, która nigdy nie nadchodzi (chyba że w ich wyobraźni). Moją wyjątkową okazją jest fakt, że żyję i dziś rano udało mi się obudzić. Dlatego zamierzam wyglądać bosko. To znacznie lepsza opcja, która w dodatku wprawia mnie w doskonały nastrój.

W jasny, letni dzień mojej wizyty zdecydowałam się na krótkie, niebieskie dzinsy i czarne, płócienne espadryle z rypsowymi tasiemkami, które niefrasobliwie owijały się

wokół moich kostek. Na górę narzuciłam białą, bawełnianą tunikę z krótkim rękawkiem. Miała ona ten tandetny, folklorystyczny styl z cudownymi, misternie haftowanymi, barwnymi kwiatami, maleńkimi wróblami w kolorze limonki, przedrzeźniaczami i strzyżykami o czarnych, paciorkowatych oczach. Założyłam bluzkę przez głowę. Przy krótkich, kimonowych rękawkach dyndały radośnie jasnoróżowe, regulowane tasiemki, podczas gdy głęboki, kwadratowy dekolt wycięto z przodu i z tyłu w półokrągłe ząbki. Boże. Jakaż ta bluzka była piękna! Mieć ją na sobie, to jak zakładać obraz Fridy Kahlo, ale bez wypadku autobusowego, kalekiego życia i kalekich poglądów.

Moja przyjaciółka Bobbi kupiła ją, a także długie, srebrne kolczyki i srebrną bransoletkę na *mercado*<sup>5</sup> w Mexico City podczas jednej ze służbowych podróży. To tam zawsze jeździła w delegacje. Technicznie rzecz biorąc, biel i srebro pasują do chłodnych osób, takich jak Bobbi, a nie dla radosnych ludzi mojego pokroju. Wiem, wiem, myślicie pewnie, że pomysł z książki Carole Jackson „Color Me Beautiful” - o tym, że każdy z nas należy do którejś z kategorii barw: wiosna, lato, jesień, zima - jest tak przestarzały i niemodny, jak podświetlane toaletki z otaczającymi je maleńkimi, matowymi żaróweczkami. Cóż, jeśli one są przestarzałe, to ja także. *Jestem staromodną dziewczyną*, jak śpiewała Eartha Kitt: „Kiedy zbliżają się urodziny, proszę o tak banalne rzeczy: Dwa domy z napisem *Jej...* i *Jej*, oraz staroświeckiego milionera”.

A jednak niektóre, obowiązujące w modzie zasady są po to, by je łamać. Oczywiście pod warunkiem, że wiesz,

<sup>5</sup> Mercado czyli „czarny rynek”.

jak to zrobić. Wskazówka: jeśli nosisz makijaż w kolorach twojej pory roku, nie ma znaczenia, co założysz od szyi w dół.

Dlatego wybieram szminki w kolorze czerwonych pomidorów lub koralu - nigdy błękitnawej czerwieni. (Zawsze mieszam przynajmniej dwa różne kolory, które z dodatkiem błyszczycy tworzą idealny odcień).

Mimo iż moja bluzka była naprawdę piękna, tego dnia po raz pierwszy zdecydowałam się pokazać ją światu. Ponieważ miała spore wycięcie na plecach, nietrudno było zauważyć nękające mnie pryszczki, które wyglądały niczym ogromne ule lub bezlitosna wysypka.

Hormony mogą nękać człowieka przez naprawdę długi czas. Tak więc na bluzkę zarzuciłam odpowiedni na każdą porę roku czarny, kusy, rozpinany sweterek z rękawkami trzy czwarte i maleńkimi, perłowymi guziczkami.

Kiedy w końcu bezpiecznie schroniłam się w gabinecie, idąc za radą pielęgniarki, zdjęłam sweterek, bluzkę i stanik, w zamian za co na odchodnym dostałam od niej różową, papierową, szpitalną koszulę.

- Patrzcie, patrzcie, kogóż my tu mamy? - rzekł z uśmiechem Doktor Koktajl. Był rumiany i wyglądał na zamożnego, dobrze odżywionego i nieuleczalnie zadowolonego z siebie. Po tych słowach uściskał mnie i pocałował w policzek.

- Jak się masz? Ależ ty wyrosłaś! Pięknie, jeśli wolno mi zauważyć.

- Witam - odparłam. - Za to pan nic się nie zmienił.

- Niezupełnie - rzekł, a widoczny na jego twarzy uśmiech stał się nagle smutniejszy.

- Ależ wygląda pan tak samo - odparłam, dotykając dłonią jego ramienia. - Czas obszedł się z panem nadzwyczaj łaskawie. Więc? Jak tam wędkowanie? Pan i pańska rodzina musicie być jedynymi wędkującymi Żydami w Wyoming. Nie ma niczego mniej żydowskiego. Widziałam zdjęcie w poczekalni. To pan z synem? Trzymacie - co to było - pstrąga? Pstrąga tęczowego?

- Właściwie to jest steelhead.

- Jakbym wiedziała, o co chodzi.

- To ryba, którą trudno złapać - odparł DKO, odchylając brzeg mojej koszuli, żeby lepiej przyjrzeć się ukrytym za nią kraterom.

- Ciężki orzech do zgryzienia - zażartowałam.

- Łatwo je wystraszyć. Dlatego trzeba je czymś... zwabić.

- Pyszczę?

- Pstrągi. No dobrze, teraz wiem, o co ci chodzi. Taaa...

- Przeróżające, prawda? - spytałam. - Tak mi głupio...

- E tam. Widziałem dużo gorsze. Trudniej je wyleczyć niż zwykły trądzik, ale myślę, że sobie poradzimy.

- To dobrze - odparłam. - Bo zaczęłam się zastanawiać, czy nie zaatakować ich wcieranym w plecy alkoholem. Wie pan, wylać sobie na plecy czysty alkohol.

- Myślę, że to by nie zaszkodziło - odparł, uśmiechając się. Patrząc na ten uśmiech, miałam jednak wrażenie, że stroi sobie ze mnie żarty. Chwilę później sięgnął po bloczek recept i grubym, lśniącym, czarno-złotym piórem Montblanc przepisał dwa leki na receptę - jeden

doustny, drugi do stosowania miejscowego, po czym wręczył mi oba świstki.

- To powinno pomóc - powiedział, a jego gruba, złota obrączka i falowane blond włosy skupiły na sobie zielonkawe, fluorescencyjne światło. Może według teorii Carole Jackson był to facet-lato? Nie, na moje oko był bardziej wiosenny. Wykrochmalony, śnieżnobiały fartuch sprawiał, że jego czerwona twarz wyglądała na pełną cierpienia. Jego palce, podobnie jak cały on, były duże i pulchne, ale opalone i dzięki temu dużo bardziej atrakcyjne. Jest coś takiego w opaleniznie, co sprawia, że nawet jeśli jesteś orką, opalona wyglądasz ładnie. A przynajmniej zadowolająco. Opalona skóra jest bardziej stonowana i atrakcyjna od bladej, poprzecinanej żyłkami bieli. Opalenizna DKO z pewnością była rezultatem wędkarskich wypadów. Jeśli o mnie chodzi, kiedy mam ochotę złapać trochę słońca, wsiałam w samochód i przedzieram się przez centrum handlowe Maryland, żeby dostać samoopalacz Clarins.

Prowadziliśmy zatem troszkę odmienne style życia. On mieszkał w podmiejskim zamczysku. Ja zajmowałam kawalerkę w budynku bez windy, śmierdzącym pieczonym, jagnięcym udźcem i dzięki uprzejmości pobliskiego baru dzieliłam swą kuchnię z karaluchami. Moje okna wychodziły na utworzony za budynkiem parking, na którym stały kubły na śmieci. Stąd - jak sądzę - odwieczna obecność robactwa. Jak śpiewał Bob Dylan: *Whafs a sweetheart like you doing in a dump like this?* Dobrze pytanie, Bobby.

- Czy nie byłoby miło, gdyby leki na receptę rozwiązywały wszystkie nasze problemy? - spytał DKO.

Wyglądał teraz na przygnębionego. Oto problemy bogatych ludzi. Co na to poradzisz? DKO nie miał żadnych problemów. Przynajmniej takich, które mogłabym zobaczyć.

- Cóż - powiedziałam - moje rozwiązują.

- Chyba rozstanę się z żoną - palnął.

- Przykro mi - odparłam. Dlaczego mi to mówił? *Wszyscy* opowiadają mi o swoich prywatnych problemach. Dlaczego? Przygnębiony, żonaty mężczyzna działa jak magnez, oto cała ja. Dlaczego w ogóle tu jestem? Mam na myśli ziemię. Czy mam rozwiązywać wszystkie niedole tego świata, poza tymi, które zostały już rozwiązane w „Color Me Beautiful”? Przecież wszystko czego pragnę, to nie mieć trądziku na plecach, abym mogła spokojnie nosić bluzkę w stylu Fridy Kahlo. Chryste! Czy proszę o zbyt wiele?

- Mój syn? Ten na zdjęciu? Być może od teraz będzie mi wolno oglądać jego i jego siostrę wyłącznie w weekendy - ciągnął DKO. - Wciąż kupuję im nowe rzeczy, ponieważ czuję się cholernie winny. Moja żona na mnie wrzeszczy. „Spieprzysz im życie. Co ty wyrabiasz? Kupujesz im to wszystko, żeby bardziej cię kochały? Przecież i tak wiecznie nie ma cię w domu! One już myślą, że bardziej martwisz się o swoich przeklętych pacjentów niż o nas”.

- Rozumiem, a co pana zdaniem jest dobre na spierzchnięte wargi? - spytałam, rozpaczliwie próbując zmienić temat i rozluźnić atmosferę. - Słyszałam, że najzwyczajniejsza wazelina, ale może zna pan coś bardziej leczniczego albo mentolowego...

DKO odsunął się o krok, najwyraźniej oceniając sytuację. Westchnął. Było to długie i głośne westchnienie.



- Co się stało? - spytałam.
- Nie chcesz tego słuchać.
- A co takiego słyszę?
- Ubierz się i spotkajmy się w moim biurze.

Cieężko jest współczuć bogatym. Kiedyś powiedziałam mojemu rabbiemu Brucebwi Kahn, że chciałabym zostać żoną takiego faceta jak DKO. (Bruce jest całkiem normalny, jak na rabiego. Dlatego z nim rozmawiam). A on na to: „Dlaczego miałabyś tego chcieć?”.

- Ponieważ ich żony mają urocze życie. Nie są tak zabiegane jak reszta żon. Są chronione i rozpieszczane. Widziałam już takie kobiety. Robią zakupy w Neiman Marcus o drugiej po południu. Wyglądają, jakby ktoś je wyprasował. Są gładkie. Coś takiego musi być fajne.

- Moja droga, te kobiety robią zakupy u Neimana Marcusa o drugiej po południu, ponieważ nie mają nic innego do roboty i nie znają lepszego miejsca, do którego mogłyby pójść - odparł rabbi Bruce. - Nie bądź powierzchowna. Nikt nie ma wszystkiego. Nikt. Nie masz nawet pojęcia, co dzieje się w takich domach za zamkniętymi drzwiami. Wielu bogatych ludzi jest naprawdę pustych i nieszczęśliwych.

- Mam taką nadzieję, choć według mnie wcale nie wyglądają na pustych i nieszczęśliwych - odparłam. - Wręcz przeciwnie. Wyglądają, jak gdyby właśnie poddali się upiększającym zabiegom kosmetycznym. Jeśli trzeba cierpieć, lepiej robić to w ich stylu. Ja osobiście chciałabym jeździć do Neimana Marcusa o drugiej po południu z pieniędzmi mojego męża.

- Na początku pewnie by ci się to podobało - odparł Bruce.  
- Ale jeśli na tym by się skończyło? Nie, to niemożliwe. Ty jesteś pisarką. Masz do zrobienia prawdziwą robotę. Masz do zaoferowania światu tak wiele rzeczy, których tamte kobiety nie posiadają.

Być może. Tyle że one nie robią nic, a wyglądają dużo lepiej niż ja. Wystarczająco trudno i drogo jest być kobietą. Bieda nie służy urodzie i żyjąc w niej, trzeba być sto razy bardziej zaradnym i twórczym.

- Tak się cieszę, że wpadłaś - rzekł DKO, pochylając się w swym regulowanym, skórzanym, ergonomicznym fotelu.

To był naprawdę porządny fotel. Marzyłam o takim. Widziałam dokładnie taki sam na wystawie w Theodore's. (Theodore's to fantastyczny sklep meblowy w północnym Georgetown). Reszta biura była dokładnie taka jak ten fotel: męska, dostojna, ciemna, droga i doskonale zaprojektowana. Na ścianach, w złotych ramkach wisiały dyplomy. Osoby na zdjęciach były uśmiechnięte i zdrowe, jak gdyby wszystkie miały dobre ubezpieczenia zdrowotne, których nigdy nie będą musiały używać. Było tam również zdjęcie prześlicznej brunetki, która - jak sądziłam - była żoną Neimana Marcusa. Wyglądała jak Kristin Holby, modelka Ralphi Laurena, która w „Nieoczekiwanej zmianie miejsc” grała Penelope Witherspo-on. Na kolejnym zdjęciu stała chudziutka, uśmiechnięta, opalona dziewczynka z blond pasemkami i demonstrując prawie niewidoczny aparat ortodontyczny, trzymała na wędce świeżo złowioną rybę. Wszędzie dookoła przewijał się ten sam, wędkarski motyw.

- Moja córka - rzekł DKO, zauważywszy, że przyglądam się fotografii.

Jego duże łokcie utworzyły bliźniacze zagłębienia w leżącej na masywnym, wiśniowym biurku skórzanej podkładce. Teraz ja odchyliłam się w skórzanym fotelu. Był naprawdę wygodny.

- Śliczna - odparłam.

- To prawda - mruknął. - Zupełnie tak samo jak ty. Aha. Zaczyna się.

- Dziękuję - bąknęłam, wierząc się na tapicerowanym siedzeniu. - Ale będę jeszcze ładniejsza, kiedy pozbędę się trądziku. Dziękuję za recepty.

Wstałam. Espadryle na koturnach dodały mi trochę wzrostu i kiedy DKO wyszedł z za biurka i stanął przede mną, na wpół siedząc, na wpół opierając się o krawędź biurka, byliśmy niemalże tego samego wzrostu.

Staliśmy tak, kiedy on uśmiechnął się kokieteryjnie. To był niestosowny i drapieżny uśmiech, ale wcale się go nie obawiałam. W końcu znałam tego faceta odkąd skończyłam piętnaście lat - czyli pół dekady. To on wyleczył mnie z trądziku, należał do zamożnej synagogi i posłał dzieci do prywatnej szkoły. Czy było w tym coś przerażającego? Poza tym był *lekarzem*. Po pierwsze: nie szkodzić. Zresztą jak można być niegrzecznym, kiedy ze ścian patrzą na ciebie oczy uroczej żony, dzieciaków i złowionych pstrągów?

- Ładna bluzka - rzekł DKO. - To prawdziwe koraliki?

- Oczy ptaszków? Tak.

- Ładna. Ty też jesteś ładna. Hej, co powiesz na wspólny obiad?

- Jaki obiad?

- No... ten, który zwykle je się po lunchu - odparł, śmiejąc się. - Mógłbym wpaść, gdybyś mnie zaprosiła. Przywieźć coś... lubisz tajską kuchnię?

- Jeść w domu? - odparłam. - Chcesz jeść w domu? -Cholera. Czyja naprawdę tak powiedziałam? Czy mogliśmy być choć odrobinę bardziej freudowscy?

- Cóż - odparł DKO - chyba powinniśmy być dyskretni i nie jadać na mieście. Widzisz, wciąż jeszcze mieszkam w domu i mnóstwo ludzi zna mnie i moją żonę. Twoje mieszkanie jest troszkę na uboczu, mimo to ktoś mógłby rozpoznać mój samochód.

- Nie mieszkam na uboczu - odparłam urażona. To oczywiste, że Takoma Park w stanie Maryland to nie to samo co Potomac w stanie Maryland, ale hej, to wciąż ten sam stan. Jestem walczącą, niezależną finansowo pisarką, która pracuje na własny rachunek, żeby wyrobić sobie nazwisko i pozwól skarbie, że wyjaśnię ci, iż jest to parszywie żmudna robota. Natomiast *twoje nazwisko* figuruje na liście najlepszych lekarzy w każdym kolejnym numerze „Washingtonian”. To chyba dość istotna różnica.

Mimo to jego propozycja mnie zaintrygowała. Takie rzeczy zawsze intrygują, kiedy ma się dwadzieścia lat, jest się splekanym i samotnym. Do tego wywołują dreszczyk emocji, który sprawił, że nagle naprawdę tego zapragnęłam. Nigdy przedtem nie byłam z żonatym facetem i ten brak doświadczenia umocnił mnie w przekonaniu, że na pewno dam sobie radę. Co do dzielącej nas (dość znacznej) różnicy wieku, nie była ona aż tak istotna. W końcu ja też byłam już w stadium geriatrycznego zniedołężnienia.

Ze swych nieczystych intencji zwierzyłam się mojemu gejowskiemu przyjacielowi Billyemu, który wysłuchawszy mnie, skomentował.

- Ale z ciebie Zdziii-rra! - Oto, jak ludzie w New Jersey (zwłaszcza ci pokroju rodziny Soprano) wymawiają słowo zdzira. To taki regionalny komplement.

W porządku. Może i jestem Zdziii-rrą, ale w co ta Zdziii-rra ma się ubrrr-ać? W przeciwieństwie do tego, co mówi się o gejach, Billy nie interesuje się ani nie dba o ubrania. Co więcej, nazywa siebie „heteroseksualistą z problemami emocjonalnymi”.

W tej kwestii zadzwoniłam więc do mojej przyjaciółki Bobbi. Bobbi jest dobrze ubrana, rozwiązała pełnomocniczką do spraw imigrantów, która jeździ Jaguarem, pali Marlboro Lights i naprawdę mnie uwielbia.

GIGI: Zatem, kochana Bobbi. Nie chcę niczego oczywistego. Niczego prowokującego.

BOBBI: Dokładnie. Czyli dzinsy i słodkie bluzeczki. (*Do swojej asystentki, Marty*). Za dziesięć minut jadę na lotnisko, więc natychmiast przygotuj mi te dokumenty. Dziękuję Marto. (*Znowu do mnie*). Przepraszam. Przechodzę przez piekło wakacyjnych stażystów. Dobra, uważam, że powinniśmy wybrać bluzeczkę bez rękawów, koszulkę na ramiączkach albo coś w tym rodzaju. W końcu mamy lato. Ubranie musi być swobodne. Jesteś drobniotka, więc będziesz wyglądać słodko. Masz szczęście, bo Bóg mi świadkiem, że twoja klimatyzacja szwankuje. Zawsze, kiedy u ciebie jestem, pocę się jak świnia.

GIGI: Chryste, *to ja* pocę się jak świnia.

iWlfljteczfa 59

BOBBI: Na urodziny kupię ci nową. To będzie jak podmuch arktycznego huraganu.

GIGI: Zważywszy na to, że moje urodziny są w grudniu, masz pewnie całkowitą rację.

BOBBI: Dobra, na czym to skończyłyśmy? Przepraszam, ale nie mam zbyt wiele czasu. Wyślę ci wiadomość. Muszę złapać samolot do Mexico City i zdążyć do amerykańskiego konsulatu, bo sędzia zgubił dokumenty i... zresztą, nieważne. Mam tu jeden wielki kocioł. (*Do Marty*). MARTA! Dokumenty pana Her-nandeza? Zainstalowałaś je w moim laptopie?

GIGI: Moje ciuchy. Moje dermatologiczne ciuchy. Proszę, skup się.

BOBBI: Dobra. A więc koszulka, džinsy, ładny stanik i majteczki. Do tego tylko kolczyki, żadnej innej biżuterii.

GIGI: OK. To mogę dla ciebie zrobić. Perłowe kolczyki w kształcie żółędzi od Ann Taylor? Eleganckie, ale podniecające. I żadnych butów, tak?

BOBBI: Zdecydowanie, żadnych butów. Jesteś w domu i relaksujesz się. Wystarczą czerwone paznokcie u stóp i delikatny makijaż.

GIGI: AO. [Ależ Oczywiście]. Delikatny makijaż, którego zrobienie zajmie dwie bite godziny. Prawie bym zapomniała. Lakier do paznokci - Midnight Red czy czerwień koralu? Do stóp Chanel.

BOBBI: Może Midnight Red. Jest bardziej klasyczny.

GIGI: Zgoda. Jakies rady odnośnie nastroju?

BOBBI: Zapal kilka świeczek i włącz coś z klasyki. Jamesa Taylora albo Steely Dan; coś w tym stylu. On jest stary, prawda? Po prostu nie rób z mieszkania świątyni rozkoszy.

GIGI: To byłoby trudne, zważywszy na karaluchy w kuchni i aromaterapię przy zapachu pieczonej jagnięciny.

BOBBI: Wiem, ale rozumiesz, o co mi chodzi.

GIGI: Do tego czarna bielizna? Czyż nie taką właśnie uwielbiają? Mam ten śliczny komplecik od GaPa. Ten nieprzejrzysty z elastycznego nylonu. Stanik z fiszbinami i cienkimi ramiączkami, a do tego skąpe szorty. Niezbyt wulgarny zestaw. Nie kojarzy się z filmowymi scenami cudzołóstwa typu: „Och, Frederik jest w Hollywood! Nie myślę o niczym innym! Ograniczmy się do banałów! Daj mi swoje figi, swoje stringi, koronkowe staniki z dziurami na sutki!”.

BOBBI: „Pragniesz swobodnie oddychać”.

GIGI: Dzięki ci, Emmo Lazarus, poetko opiewająca brodawki imigrantów.

BOBBI: Zamiast stać w szlafroku z latarką i tabletkami, możesz powitać go w drzwiach ubrana w dżinsy i krótką bluzeczkę, z papierosem i drinkiem w dłoni. *To jest poezja.*

GIGI: Wszystko i tak spadnie ze mnie w ciągu dwóch sekund. Mam na myśli makijaż i ciuchy.

BOBBI: Miejmy nadzieję. *(Do Marty)*. MARTA! *(Do mnie)*. Jasna cholera, jestem już spóźniona.

GIGI: Mimo to chromosomy XY są wzrokowcami. Dlatego musi być to pierwsze wrażenie.

BOBBI: I będzie. On jest chromosomem XY. Ty statuą rozwiąłości. Musi się udać! Powodzenia!

GIGI: TO naprawdę podłe, prawda? Chodzi o to, że robię to właśnie z nim. Myślisz, że nie powinnam?

BOBBI: Daj spokój. Jedna z moich koleżanek pieprzy się z klientem. Żartujesz? *(Do Marty)*. MAR-TA! *(Do mnie)*. Słyszałam, jak odpalasz tego papierosa, panienko.

GIGI: *(Wypuszczając dym)*. Tylko jeden, krótki, obiecuję.

To Parliament Light. BOBBI: Tylko nie mów, że będziesz gotowała dla niego

w tej łaźni, którą latem nazywasz apartamentem. GIGI: Nie, on przywozi jedzenie.

BOBBI: Mam nadzieję, że w jego koszyku znajdzie się miejsce na prezerwatywy. CZEŚĆ! (*Do Marty*). MAR-TA!

Podczas gdy Bobbi spędziła kolejne trzy dni, tropiąc w Mexico City konsuli i zaginione dokumenty pana Hernandezza, ja jak szalona sprzątałam, myłam i odkurzałam mieszkanie. Poszłam do mojej niemieckiej kosmetyczki Ute na farbowanie rzęs, woskową depilację bikini (hej, może i byłam biedna, ale niektóre rzeczy są zbyt owłosione, by nie przepuścić na nie pieniędzy, co nie oznacza, że wydałam je na próżno), pedicure (nawet przy normalnej klimatyzacji moja skóra jest nienaturalnie ciepła, więc potrzeba dwóch dni, żeby lakier na moich paznokciach dokładnie wysechł; dlatego pomaluję je sama). Ogoliłam i posmarowałam samoopalaczem nogi. Uprasowałam dżinsy i różowawą koszulkę z bawełnianej dzianiny (prasuję wszystko, z wyjątkiem mojej kotki, Lilly). Pobiełam do Kmarta po białe podgrzewacze - te cudowne, maleńkie, półtoracalowe okrągłe świece, umieszczone w srebrnych miseczkach z cyny (2,99\$ za sto sztuk - żaden knot nie przebije takiej ceny) i dopasowane do nich szklane pojemniczki (1,50\$ za cztery sztuki - doskonała cena, zwłaszcza że posiadałam ich już całą masę. W tym przypadku jest jednak podobnie jak z butami - im więcej,



tym lepiej). Poćwiczyłam jogę, kupiłam trzy błękitne hortensje w Johnson's, mojej ulubionej kwiaciarni i wstawiwszy je do wysokiego, zielonego wazonu, ozdobiłam nimi maleńki, kuchenny stoliczek.

Potrzeba wieczności, aby zaplanować coś spontanicznego.

W wyznaczony wieczór siedziałam w łazience, nakładając ostatnie warstwy błyszczący Clinique, pałac Parliamanta 100, popijając białe wino i słuchając starego albumu Steely Dan, którego tytuł „Countdown to Ecstasy” wydawał się zadziwiająco trafny. Weszłam do pokoju i wyjrzałam przez okno. Na parking wjeżdżał właśnie ogromny Mercedes. Czy należał do DKO? Z pewnością tak. Tylko niektórzy Żydzi wydaliby 50.000\$ na niemiecki samochód. Wiem to, bo sama mam takich krewnych.

DKO zaparkował najdalej jak się dało od zardzewiałych kubłów, wysiadł - był bez marynarki, w dżinsach i mokasynach, a więc musiał się przebrać po pracy -i otworzył bagażnik. Chwilę później wyciągnął z niego coś, co mogło uchodzić za spakowane w białe, plastikowe torby, trzytygodniowe zapasy jedzenia. Czyżby planował się do mnie wprowadzić? Może współczuł mi mojej sytuacji i był to z jego strony hojny datek, który mógłby odliczyć od podatku? A może sugerował, że jestem za chuda? (Nie. Może i jestem wątła, ale nigdy nie byłam zbyt chuda, a już na pewno nie zbyt bogata). Chciał się popisać, przyjeżdżając do slumsów? Czyżby w kwestii jedzenia był równie niezdecydowany, co w przypadku rozstania z żoną, i nie wiedząc, które danie wybrać, zamówił wszystko z pieprzonego menu? Zupełnie jakby mówił:

„Chcę idealnej żony w stylu modelek Neimana Marcusa i pryszczatej dziewczyny z kubła na śmieci. Całej smażonej ryby i pieczonej świni". Czy to wszystko miało go uczynić Gordonem Gekko<sup>6</sup> na liście lekarzy? *Chciwość jest dobra*. Może i we mnie drzemała ukryta chciwość. A jeśli tak, to co? Może po prostu czuł się zagubiony i podobnie jak ja, nie wiedział, co ze sobą zrobić? Dlatego tak bardzo starał się być miły i wyrzeć dobre pierwsze wrażenie? Chyba właśnie o to chodziło.

Jednym łykiem dokończyłam wino i przycisnęłam ucho do drzwi. Słyszałam, jak mozolnie wspina się po schodach i - na litość boską - *stęka*. Czy nie mówił, że regularnie grywa w piłkę ręczną z chirurgiem plastycznym, otolaryngologiem i zajmującym się leczeniem bezpłodności ginekologiem? Chryste, może powinnam wyjść i mu pomóc? Czy wyjdę wtedy na nadgorliwca? O Boże, a jeśli dostanie zawału i umrze na brudnej klatce schodowej? Tyle dobrego jedzenia pójdzie na marne! Tragedia! „The Washington Post” na pewno napisze o tym w rubryce „Metro”. Jego bogata żona od Neimana Marcusa wścieknie się, a ja będę w to wszystko zamieszana i...:

DKO bez tchu zapukał do drzwi.

Otworzyłam mu i powiedziałam:

- Cześć.

- Cześć - odparł, chwytając oddech. Jeszcze chwila i spod różowej, płóciennej koszulki z wyhaftowanym na niej jasnoniebieskim graczem polo, wyleją się strugi potu.

<sup>6</sup> Gordon Gekko - wyrachowany i otaczający się luksusem bohater filmu *Wall Street*.

- Udało się.
- Wejdz, proszę - dodałam. - Jejku, zdaje się, że przywiozłeś mnóstwo rzeczy.
- Gdzie jest kuchnia?
- Tędy - odparłam, kiwając ręką w stronę kuchni. DKO postawił wszystko na blacie i oparł się o niego dłońmi.
- Miło cię widzieć - zaczął, odwracając się w moją stronę.
- Ładnie wyglądasz.
- Biegłeś w maratonie? Masz ochotę na wodę z lodem?
- Brzmi świetnie.
- Przepraszam za te schody - bąknęłam, obracając w dłoniach tackę na kostki lodu. - Powinnam była cię ostrzec.
- Kiedy powiedziałaś: „Mieszkam na pierwszym piętrze”, pomyślałem, że miałaś na myśli parter.
- Podawałam mu wysoką szklankę wody z lodem i w milczeniu patrzyłam, jak jednym haustem wyżłopał całą jej zawartość. Chwilę później podałam kolejną. Opróżnił ją i przyłożył do czoła. To był typowy, męski gest.
- Dzięki - odparł. - A więc to tu mieszkasz.
- Tak, oto moje małe, gorące mieszkanko. Przykro mi, klimatyzacja chodzi pełną parą, ale...
- Właśnie tak wyobrażałem sobie mieszkanie pisarza - rzekł, badając wzrokiem pokój i zdejmując czarne buty od Tods. - Wiesz, pretensjonalnie. Podoba mi się ten pochyły sufit. Zupełnie jak na uroczym, malutkim, paryskim poddaszu. Przytulnie tu.
- Dzięki - odparłam, dyskretnie skanując podłogę w poszukiwaniu karaluchów. Co, jeśli wpęzną do skó-

rzanych, włoskich mokasynów? Chciałabym mieć takie mokasyny.

- Może napijemy się wina? - powiedział, wchodząc z powrotem do kuchni i przetrząsając dwadzieścia siedem toreb.

- Kupiłem też piwo. O, jest. Wstawię je do zamrażalnika. Chryste, ciągle jest mi gorąco.

- Po co tyle tego wszystkiego?

- Nie wiem - odparł, wzruszając ramionami. - Miałem na wszystko ochotę. Nie byłem pewny, co lubisz. Jedyne wino, jakie piję do tajskich potraw to kalifornijski Gewurztraminer, ewentualnie coś z Alzacji.

- Ja zwykle piję mrożoną herbatę, ale wino jest dobre.

- Przywiozłem Kabinett i Auslese. Oba ze szczepu gron Riesling.

- OK. Nie mam pojęcia, co przed chwilą powiedziałaś, ale OK.

- Wina korzenne. Przyprawy w kuchni tajskiej zabijają smak prawie każdego wina. Dlatego większość ludzi rezygnuje z wina i pije piwo. Nie wiedziałem, co wolisz.

- Mogłeś zapytać - odparłam, wręczając mu korkociąg i dwa kieliszki. Wprawa, z jaką DKO otwierał butelkę, była zdumiewająca.

- Nieczęsto robię takie rzeczy - rzekł, podając mi kieliszek.

- Mówisz o odkorkowywaniu butelek? -Nie.

- O. A więc to wszystko przystawki? Wyciągnijmy kilka i usiądźmy w „salonie”.

W torbach znalazłam pieczone skrzydełka w prażonych wiórkach kokosowych, gotowane na parze kluski

i wołowe satay z sosem orzechowym. Po wstępnej selekcji nie zdecydowałam się jednak na sałatkę z pomidorów i krewetek, cytroneli i anyżku, gorącą i kwaśną zupę z pieczonymi krewetkami, makaron sojowy, lepki ryż z warzywami, ani pla rad phrik (smażoną w głębokim tłuszczu rybę - zwróćcie uwagę na wciąż powracający, wędkarski motyw - z ostrym sosem chilli), ani sorbet z różowych grejpfrutów i mięty. Na blacie wciąż zostało jeszcze kilka toreb, ale - jak powiedział DKO - to była niespodzianka na później.

Na szczęście posiadam całe mnóstwo rozmaitych sprzętów i naczyń: obiadowych, płaskich, głębokich i przeznaczonych do wszelkich napojów. Jak na niezameżną, młodą kobietę bez pieniędzy, miałam „zadziwiająco dobrze wyposażoną” kuchnię i jak zauważyła kiedyś moja brytyjska przyjaciółka Marcy: „Jedyne, czego ci teraz trzeba, to mąż!”

Teraz już go miałam. Siedział tuż obok na miłosnej kanapie Conran, rozrywając na strzępy wołowe satay. Wszystko to było takie niesamowite. DKO najwyraźniej mnie rozpieszczał. Można się jednak było do tego przyzwyczaić, zwłaszcza w moim przypadku.

Po drugim, może trzecim kieliszku Kabinett i trzech wybornych kluskach z sosem orzechowym, pocałowaliśmy się. Staruch był dobry. Bardzo dobry. Dobry jak tajskie żarcie.

Chwilę później wstał, wyciągnął ku mnie swoje ręce, poderwał mnie z kanapy i bez słowa cisnął na łóżko. Pożarł mnie tak, jak morderczy niedźwiedź grizzly pożera pstrąga. Do ostatniej ości.

Po wszystkim założyłam ręcznie haftowane, jedwabne kimono - kolejny pobłażliwy prezent przywieziony z meksykańskich podróży Bobbi - i na początek podałam sorbet, który (że się tak wyrażę) miał oczyścić nasze podniebienia, a następnie całą resztę niebiańskich zapasów. W tym czasie

DKO rozgrzebywał kolejne torby, aż w końcu wyciągnął garść bibuły i niewielką torebeczkę firmy Ziploc, wypchaną hawajską trawką. No nie. *Trawka? On? Naprawdę?* Naprawdę. Mój dermatolog posiadał utajone głębie - albo płycizny - i mnóstwo kasy, aby pozwolić sobie na najlepsze zioło.

Wspólnie zapaliliśmy grubego skręta i przyznam szczerze, że był to najlepszy towar, jaki kiedykolwiek paliłam (a przecież nie jestem nawet zwolennikiem marihuany). DKO położył mi na kolanach ciężką, plastikową torbę, wypchaną kilkoma tonami próbek rozmaitych kosmetyków, włączając w to niezliczoną ilość tubek Differinu, drogiego, 0,1-procentowego kremu do walki z moim trądzikiem. Od tej chwili mogłam być wyczyszczona, złuszczone, ujędrniona, rozjaśniona, zrelaksowana, oczyszczona, wypeelingowana, nawilżona, zamaskowana, nawodniona, rozświetlona, zmięczona, wygładzona, uspokojona, odnowiona, odtruta, udoskonalona, odzmarszczkowana, odmłodzona, odżywiona, ściągnięta, ożywiona, uzupełniona, chroniona przed słońcem i wolna od trądziku do końca tysiąclecia! To było lepsze niż seks! Z kimkolwiek.

Szybko połknęliśmy resztki tajskich przysmaków i wróciliśmy do łóżka. „Ciekawe, co powiedział na temat swego wyjścia żonie?” - zastanawiałam się. Właśnie

miałam go o to wypytać, kiedy postanowił zrobić mi dobrze do tego stopnia, że kompletnie zapomniałam o jakichkolwiek pytaniach.

Chwilę później wynurzył się spomiędzy moich ud, żeby nabrać powietrza.

- Jesteś przepyszna - rzekł. - Smakujesz jak koktajl owocowy!

- Konserwowy czy ze świeżych owoców? - spytałam. - Bo to zasadnicza różnica. - Wiedziałam o tym nawet w stanie kompletnego seksualno-narkotycznego odurzenia.

- Nie wiem! - odparł DKO, tym samym przypieczę-towując swój los, nie mówiąc już o przydomku. Jeśli nie znasz *oczywistej*, poprawnej odpowiedzi, która brzmi ŚWIEŻY (co oczywiście oznacza SAŁATKĘ owocową, a nie żaden KONSERWOWY KOKTAJL OWOCOWY), sam jesteś OWOCOWYM KOKTAJLEM.

Dr Koktajl brał prysznic, a ja niczym kociak wylegiwałam się w łóżku, rozciągając ramiona i nogi, jak gdybym znowu była dzieckiem robiącym na śniegu aniołki. Mimo iż Peggy Lee zaśpiewała: „Nie Pal w Łóżku”, odpaliłam papierosa i wychyliłam litr wody mineralnej Evian. Mmm. Mój Boże, jakaż ona była dobra. Spojrzałam na widoczne w ciemnym oknie własne, białe odbicie. Nawet z rozmazanym makijażem wyglądałam ładnie. Szczęśliwie. Nie trzeba być mężatką, żeby zdobyć ten blask. (Prawdę powiedziawszy, chyba nawet lepiej, jeśli w ogóle nie jesteś zamężna). Może w poprzednim życiu byłam francuską kochanką Króla Słońce, lubiącego tajske pstrągi!

DKO podszedł do mnie i przysiadł na krawędzi łóżka. Włosy miał mokre, a jego duża, czerwona twarz zdawała się pogodna. Chwilę później wręczył mi kopertę.

- Weź to - powiedział. - Chcę, żebyś to wzięła.

- Co to? - spytałam z uśmiechem.

- To prezent i przysługa. Otwórz.

W kopercie było pięć studolarówek. Nie miałam nawet pojęcia, że Ben Franklin był tak pociągający.

- Wiem, że walczysz - ciągnął DKO. - To jest... to jest dofinansowanie.

-Jejku - powiedziałam, chwytając go i całując w usta. - Nie wiem, co powiedzieć. - Mimo to wiedziałam doskonale. - Dziękuję.

- Proszę bardzo. Chcę cię jednak prosić o przysługę. Chcę, żebyś poszła na miasto i kupiła sobie ładną bieliznę. Mam na myśli coś naprawdę wyjątkowego, luksusowy jedwab i koronki. Coś importowanego. Stanik, majteczki i pas do pończoch...

- Pas do pończoch? Mówisz serio?

- I pończochy. Prawdziwe pończochy, nie żadne rajstopy.

- A w ogóle jeszcze takie produkują?

- Chcę cię zobaczyć w tym wszystkim i przelecieć cię. A, jeszcze jedno. Wszystko musi być brzoskwiniowe. Bielizna musi być brzoskwiniowa.

- Nie lubisz czerni? - spytałam i nagle poczułam się banalna. - Co jest z nią nie tak?

- Nic - odparł. - Ale w czarnym wyglądasz zbyt poważnie. Twoja skóra jest jasna... miękka. Potrzebujesz czegoś delikatnego. Łagodnego. Brzoskwini.



- To dlatego, że smakuję jak koktajl owocowy? Dalej ciągniemy temat owoców? - Czy odważę się zjeść brzoskwinię?

- Do zobaczenia w przyszłym tygodniu, Brzoskwinko. W czwartek, dobrze?

- Tak, dobrze - odparłam. - Tak, cholernie dobrze.

- O Boże! - pisnęła Bobbi.

Wróciła już z Mexico City i siedziałyśmy na zewnątrz restauracji Sutton Place w Bethesda, w stanie Maryland, gdzie pałac jednego papierosa za drugim, mogłyśmy w spokoju rozprawiać o DKO.

- Chce, żebyś wydała pięćset pieprzonych dolarów na pieprzoną BIELIZNĘ?

- Przepraszam, Królowo Jaguarów - odparłam, sącząc orzechowo-karmelowe cappuccino - ale nie powiedział, że mam przeznaczyć na to CAŁĄ sumę. Może to jego fetysz.

- Idź na targowisko, a pozostałe 490 dolców schowaj do kieszeni - poradziła Bobbi, wycierając czekoladowo-karmelowo-śmietankowe wąsy. - Facet nigdy nie zauważy różnicy.

- Zaufaj mi. Ten na pewno ją zauważy. Na miłość boską, on nosi buty Tod's. To typowe dla gejów! On ma kompletnego świra na punkcie markowych ciuchów!

- Świra. Zabawne. Czy ten facet łowi? On cię złowił, rozumiesz? Jesteś dziewczynką na wędce. Sędziwy Marynarz wyciągnął cię na brzeg.

- Wierz mi, mineta w wykonaniu Sędziwego Marynarza zapiera dech w piersiach - odparłam, zaciągając się Parlamentem. - Nie można tego zlekceważyć, podobnie

jak tygodniowych zapasów tajskiego żarcia. Nie mówiąc już o wszystkich tych kosmetykach i hawajskiej trawce, którą - w przeciwieństwie do kosmetyków - chętnie się z tobą podzielę.

- Chyba już czas uderzyć do Neimana Marcusa - odparła Bobbi, kończąc kawę i naszą rozmowę wymownym, kofeinowym siorbnięciem.

Następnego dnia robiłam zakupy u Marcusa Neimana, znanego również jako Needless Markup, o drugiej po południu, z pieniędzmi męża innej kobiety. W moich wyobrazeniach takie zakupy były czymś fantastycznym. W rzeczywistości jednak wcale nie czułam się oczarowana, chroniona, rozpieszczana, wyprasowana, wygładzona ani dotleniona. Wręcz przeciwnie. Byłam raczej zdenerwowana i spocona, ponieważ w całym dziale z bielizną nie mogłam znaleźć niczego brzoskwiniowego. Kompletnie niczego. Co za koszmar! Pięciu grubych Franklinów chciało wypalić dziurę w mojej kieszeni i NIC. Co się stało z białą-czarną obsesją?

Owszem, były cudowne białe i czarne kabaretki (uwielbiam kabaretki), ale żadnych w kolorze brzoskwini. A przecież ten kolor był moją misją, na którą dobrowolnie się zgodziłam. Byłam zdeterminowana i za wszelką cenę chciałam dostawać kolejne upominki. Wciągnęła mnie ta masz-tu-kasę-kup-sobie-coś gra. Dlaczego nie? W końcu nie był to obowiązek, ale handel wymienny. Przyjemny eskapizm.

Poszłam do Nordstroma, gdzie również nie znalazłam niczego brzoskwiniowego, choć za jedyne 7\$ udało mi się zdobyć parę - wykończonych koronką, wysokich do

uda - samonośnych pończoch w naturalnym kolorze. Co ważne, można je było nosić z pasem lub bez. Czy DKO naprawdę będzie w stanie zauważyć, że były naturalne, a nie brzoskwiniowe? Czy naprawdę był aż tak zniewieściały?

Bogu niech będą dzięki za Saksa. W końcu to on uratował mój tyłek i sprawił, że odetchnęłam z ulgą. Ich dział z bielizną wymiatał i już za śmieszłą kwotę 135\$ byłam od stóp do głów ubrana w najprzedniejszą brzoskwiniowo-watość. Prześliczny koronkowo-tiułowy staniczek z fiszbinami od Le Mystère i koronkowe majteczki z maleńkimi, satynowymi kokardkami. Mieli też piękny, włoski, satyno-wo-koronkowy pas firmy Oroblu, ale ponieważ był on biały, pozostałam przy brzoskwiniowym pasie Le Mystère.

Patrząc na siebie w wielkich lustrach, pomyślałam, że wyglądam romantycznie jak z kabaretu Moulin Rouge. Toulouse-Lautrec pokochałby mojego kankana. Czy jednak pokocha go Doktor Koktajl? Ależ oczywiście! Zresztą musiałam przyznać, że w kontraście z moją skórą, brzoskwiniowy wyglądał znacznie lepiej od czarnego.

- O, gotówka! - rzekła obsługująca mnie sprzedawczyni. - W dzisiejszych czasach to dość rzadki widok.

- Ben jest moim przyjacielem - odparłam.

- To naprawdę piękna bielizna - ciągnęła, pakując moje zakupy w osobne bibułki. - Niezwykła. To na ślubną wyprawkę?

- Nie, dla mojego mężczyzny, ja osobiście nie mam takiego świra na punkcie bielizny.

- Szczęściarz z niego - odparła sprzedawczyni.

- O tak, szczęściarz - odparłam. Zupełnie jak z piosenki Rickiego Lee Jonesa: „Nie martwi się o mnie, kiedy nie ma mnie w domu. Nocą kładzie się spać, nie

gasi światel i nie zastanawia się, jak mnie odnaleźć i czy w ogóle jestem sama...".

Tak jak przypuszczałam, DKO oszalał na punkcie mojej francuskiej bielizny i zgodnie z obietnicą, pożarł mnie w tę i wiele innych, czwartkowych nocy.

Zawsze przywoził ze sobą pyszne, tajskie przysmaki, niesamowitą trawkę, setki kosmetyków i kilku Franklinów na nowe pończochy. (I nigdy nie zwrócił najmniejszej uwagi na to, że nie były brzoskwińowe). Po kilku miesiącach leczenia i stosowania darmowych próbek Differinu mój trądzik ustąpił, a DKO i ja popadliśmy w przyjemną rutynę. Jediną zmianą, jaką zauważyłam w jego zachowaniu był fakt, że przestał narzekać na Panią Koktajlową. Przedtem wspominał o niej wyłącznie po to, aby ją skrytykować. Teraz nie mówił o niej wcale. Może naprawdę się we mnie zakochał? Czy mogło tak być?

Pewnej środy zadzwonił do mnie i wyjątkowo ponurym głosem oznajmił, że o szóstej następnego dnia chce się ze mną spotkać w swoim gabinecie.

- Rano? - spytałam.

- Nie - odparł. - Po południu, kiedy wszyscy pójdą do domu.

- Mmm! W twoim gabinecie? Podoba mi się ten pomysł. Jest taki *niegrzeczny*.

Cokolwiek chodziło mu po głowie, usłyszałam w słuchawce znajome, głośnie westchnienie, po czym pożegnaliśmy się i odłożyłam słuchawkę. Niewyraźny ton, jakim ze mną rozmawiał, zrzuciłam na krepującą obecność pacjentów lub personelu.

Następnego dnia założyłam fantazyjną bieliznę (wypraną ręcznie w Woolite i - jak zwykle - wysuszoną bez

wyżymania), czarne szpilki i niczym prezent zapakowałam się w czarny płaszcz z dużym dekoltem i zawiązanym w talii paskiem. Nie miałam na sobie nic innego (jeśli nie liczyć sztucznych, diamentowych kolczyków, czarnych okularów i czerwonej szminki). W godzinach szczytu ostrożnie przecięłam Connecticut Avenue, modląc się w duchu, by nie przejechał mnie żaden z nadjeżdżających samochodów. Niezręcznie byłoby to wytłumaczyć na oddziale urazowym. *No... tak, byłam właśnie YJ drodze na randkę z moim kochankiem - sławnym, żonatym dermatologiem...*

DKO pocałował mnie w policzek, a nie w usta - wskazówka numer jeden, że coś było nie tak - i poprowadził mnie do gabinetu; tego samego, w którym siedziałam wiele wizyt temu. Usiadłam na przykrytym papierem biurku i skrzyżowałam nogi. Serce waliło mi jak oszałałe.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział, zamykając drzwi.

- Prawie przybiegłam - odparłam.

- Po co ci ten płaszcz? Przecież na zewnątrz jest chyba z osiemdziesiąt pięć stopni.

- Masz rację - odpowiedziałam, ześlizgując się z biurka i rozwiązując pasek. - Faktycznie nie powinnam zakładać płaszcza. - Mówiąc to, pozwoliłam, by materiał opadł na podłogę i stanęłam przed nim ubrana wyłącznie w Mystère.

- Chryste! - jęknął i pognał do okna, by zasłonić żaluzje. - Co to ma, do cholery, znaczyć? - Wskazówka numer dwa.

Usiadłam z powrotem na biurku i nagle poczułam się absurdalnie pośród tych wszystkich sterylizowa-

nych słoików, szuflad, szafek i wykrochmalonego, białego fartucha z wyhaftowanym monogramem mojego ukochanego. Nigdy wcześniej nie zauważyłam tego monogramu. To było jak sen, w którym stoisz pośród tłumu i nagle uświadamiasz sobie, że jesteś zupełnie naga.

- O co chodzi? - spytałam.

DKO westchnął. To była trzecia wskazówka.

- Musimy przestać - rzekł. - Przykro mi. Dłużej tak nie mogę.

- Dlaczego?

- Mam raka.

- Co takiego? Gdzie?

- Muszę zostać w domu z żoną i dziećmi, leczyć się i skupić na walce z chorobą.

- O Boże! - jęknęłam i podniosłam się, by go przytulić. - Tak mi przykro! To straszne! Mogę ci jakoś pomóc?

Podniósł leżący na podłodze płaszcz i pomógł mi go ubrać.

- Myślę, że modlitwa nie zaszkodzi - odparł, otwierając drzwi. Powiedział to z lekkim uśmiechem, jak wtedy, gdy zażartował sobie z mojego pomysłu zwalczania trądziku alkoholem.

- Zaczekaj - powiedziałam. - A więc to... koniec?

- Koniec - odparł, kiwając głową.

- Tak po prostu? To znaczy...

Przytulił mnie, a ja życzyłam mu szczęścia. Podziękowałam mu za wszystko, co od niego dostałam. Powiedziałam mu, że jest dobrym dermatologiem, rozplakaliśmy się i wyszłam.

- Ja pierdolę! - parsknęła Bobbi. - Ja pierdolę!

- Wiem - odparłam.

Następnego dnia, po południu, siedziałyśmy w jej salonie, popijając TaB, paląc papierosy i połówkę hawajskiego skreta. Przez telefon miałam tak przygnębiony głos, że specjalnie dla mnie Bobbi wzięła dzień wolny. Oto prawdziwa przyjaźń.

- Skąd wiesz, że mówił prawdę? - spytała. - Może pogodził się z żoną i boi się przyznać.

- Jasne, i raka też sobie wymyślił.

- Cóż, wiemy już, że to kłamca. Sypiał z tobą, podczas gdy żona siedziała w domu. Jest graczem. A do tego pieprzył swoją pacjentkę. Tacy ludzie zrobią i powiedzą wszystko, żeby tylko się ciebie pozbyć, kiedy się im znudzisz albo kiedy obudzi się w nich poczucie winy, czymkolwiek, do cholery, ono jest.

- Kupiłam dla niego stanik za sześćdziesiąt dolarów i majtki za trzydzieści - mruknęłam - i wciąż jestem sama. Co ja sobie myślałam? Przecież wiedziałam, że nigdy nie będę Panią Neiman Marcus.

- Daj spokój - przerwała Bobbi, gasząc w popielniczce Marlboro Light. - Wstawaj. Jedziemy na przejażdżkę. Czas zacząć działać.

- Co? Gdzie jedziemy?

- Musimy zamknąć tę sprawę. To oczyści twój umysł. Cała ta historia w jego biurze, to nie był koniec. To było... nie wiem, co to było. Jeśli to faktycznie ostatni przystanek, to koniec z dodatkową kasą, ale przekonajmy się o tym osobiście. Potrzebujesz zderzenia z rzeczywistością.

Wsiadłyśmy do jaguara Bobbi, opuściłyśmy dach i pognałyśmy do ogromnej posesji, którą zbudował DKO.

Ulica, na której mieszkał, była spokojnym, pełnym zieleni ślepym zaułkiem, z innymi, pięknymi rezydencjami i stojącymi na podjazdach luksusowymi samochodami.

- Nie podnoś głowy - ostrzegła Bobbi, parkując kilka domów dalej od pozłaczanych drzwi. - Będę udawała, że się zgubiłam i zapytam o drogę.

- CO MY TUTAJ ROBIMY?! - wrzasnęłam.

- Badamy rzeczywistość! - odparła Bobbi. - A teraz schyl głowę i siedź cicho!

- Przestań mi rozkazywać! Doprowadzasz mnie do SZAŁU!

Bobbi podeszła do drzwi wejściowych i nacisnęła dzwonek. Chwilę później zobaczyłam kobietę, która wyglądała dokładnie jak ta z fotografii w gabinecie. Wysoka, szczupła i opalona, z sięgającymi ramion, lśniąco włosami w kolorze brązowej czekolady. Była ubrana w blado-żółty bezrękawnik i długie do kolan, kwieciste szorty.

Kobieta wpuściła Bobbi do środka i zamknęła drzwi. Ja w tym czasie nałożyłam odrobinę błyszczycy Clinique, zapaliłam Parliamanta i czekałam. Piętnaście minut później Bobbi wyszła i odjechałyśmy.

- Jego żona jest niesamowita - zaczęła Bobbi, odpalając Marlboro Light. -1 choć przykro mi to mówić, bardzo sympatyczna. Widzisz? Faceci. Wszyscy są jak psy.

-I?

- Spytałam, czy mogę skorzystać z łazienki i wyobraż sobie, ona jest pokryta freskami!

-Co?

- Ściany w łazience to prawdziwe freski z widokami na Morze Śródziemne.

- Musi ładnie wyglądać.



- Ich dzieciaki miały jakichś gości. Wszyscy siedzieli przy basenie.

- Jasne.

- On jest kutasem, rozumiesz? To nie jest miejsce dla ciebie.

- Mogło być - odparłam.

- Nie, nie mogło - parsknęła Bobbi. - Szybko byś się nim znudziła.

- Mówisz jak rabin Bruce.

- Doktor Koktajl podjął trafną decyzję dla was obojga

- Powtórz to jeszcze raz. Może w końcu do mnie dotrze.

- Podjął właściwą decyzję. To była tylko przygoda.

Pieprzyć go. Za to zostało ci po niej kilka niezłych rzeczy.

Wróciłam do domu i po raz ostatni zdjęłam moją brzoskwiniową jedwabno-koronkową bieliznę, delikatnie wpychając ją na samo dno szuflady. W ten sposób stała się ona pamiątką, trofeum, a nie bolesnym przypomnieniem tego, co straciłam.

A wierzcie mi, z odejściem doktora straciłam coś więcej niż trądzik i dodatkowe źródło dochodów. W przeciwieństwie do różowego płaszczyka już nigdy nie założyłam tych rzeczy. To byłoby zbyt dziwne. Wciąż jednak uważam, że to naprawdę piękna bielizna.

## Rozdział 3

### Czerwone Baletki

#### Cześć Pierwsza: MIAMI

Kiedy byłam małą, chodziłam na lekcje baletu i od tamtej pory uwielbiam baletki i rozmaite buty, które przypominają moją pierwszą, różową parę. Buty na płaskim obcasie nie podnoszą mnie może w sensie dosłownym, ale naprawdę mnie kręca, co przy moim wzroście - 156 centymetrów - jest dość niefortunne. Cóż... zawsze ubierałam się sprzecznie z intuicją i nawet jeśli rozumiem pojęcie seksapilu i odwieczną elegancję butów na obcasie, dla mnie wciąż pozostają one wyłącznie butami na obcasie.

Mam niezbyt szerokie, szybko męczące się stopy, a przecież nie ma nic mniej seksownego niż obolałe nogi. Gdybym mogła bez przerwy chodzić boso, robiłabym to.

Para bezbolesnych szpilek; szpilek, które - nie daj Boże - są wygodne i dobrze wyglądają, oto mój Święty Graal. Być może jest to mit, podobnie jak jednorożce. Dla mnie szpilki to wielorożce i myślę sobie, że kobiecie do szczęścia potrzebna jest wygoda. Zwłaszcza wygoda stóp.

Tak więc przez lata nagromadziłam oszałamiający asortyment butów na płaskim obcasie i półobcasie. To

one czynią ze mnie kobietę praktyczną, stylową, pozwalają mi biegać i świetnie się bawić. Moja przyjaciółka, Eman, która również jest zagorzałą zwolenniczką butów na płaskim obcasie, mówi, że kochamy je z powodu litery „W”: wygodne, wyjściowe, wolne, wspaniałe, wielozadaniowe. Do jej listy „W” dodałabym jeszcze listę „F” fantastyczne, francuskie i *niefrasobliwe*. Naturalnie wiem, że to ostatnie niezupełnie pasuje do kategorii „F”, ale wiecie, o co mi chodzi.

Kobieta w baletkach jest pewna siebie, podniecająca, słodka i wolna. Jej seksapil nie polega na dodawaniu sobie centymetrów. On po prostu *jest*.

Miałam nadzieję, że mężczyzna, z którym umówiłam się na randkę w ciem no, a którego pieszczotliwie nazwałam Snobem, złapie się na ten pomysł i będzie na tyle wrażliwy, by go docenić, a tym samym doceni również mnie. *To oczywiste, że dziewczyna w baletkach jest najlepszą partią do pokochania!*

Umówiła nas moja przyjaciółka z dzieciństwa, Graciela. A właściwie zrobił to jej mąż, Jorge. Tych dwoje znało się od lat i dorastało razem w Argentynie. *Jakież to egzotyczne!* Choć urodziłam się na Kubie, a hiszpański jest moim ojczystym językiem, nigdy nie umawiałam się z Latynosami. W Waszyngtonie, gdzie dorastałam, nie było żadnych Latynosów (poza moim ojcem), tak więc myśl o randce z jednym z nich była dla mnie zupełną nowością.

- Dlatego właśnie będzie fajnie! - powiedziała Graciela, kiedy przygotowywałyśmy przez telefon nasz inter-

kontynentalny plan. Ona i Jorge, wraz z dwójką małych dzieci, mieszkali w Miami.

- To jak powrót do domu - podsumowała. Zważywszy na to, że całe życie starałam się uciec z domu, nie byłam pewna, czy pomysł ten był naprawdę taki dobry.

- Już to widzę - ciągnęła Graciela. - Będziecie mieli najpiękniejsze dzieciaki na świecie.

Słuchając tego, oczyma wyobraźni widziałam, jak Graciela przemienia się w Reizl Bożyk, aktorkę, która grała Bubbie Kantor w „Zmień kapelusz” i zaczyna śpiewać „Skrzypka na dachu”: *Chava, znalazłam go! Będziesz szczęśliwą panną młodą!... Ma swój temperament, będzie cię bić co noc. Ale tylko kiedy jest trzeźwy, więc nie musisz się bać.*

To było przerażające. Prawie tak przerażające jak fakt, że zgodziłam się polecieć do Miami w *sierpniu* - SIERPIEŃ, SIERPIEŃ W MIAMI. Wszystko dla jednej randki w ciemno. Przeszło tysiąc mil. Dla jednej randki w ciemno. Przynajmniej bilet lotniczy nie był drogi. Tak, wiem, zamierzałam odwiedzić Gracielę i Jorge, których nie widziałam od kilku ładnych lat i cieszyłam się na te krótkie wakacje, ale wszyscy wiemy, że ich główną atrakcją był Snob. Na dobrą sprawę w stolicy można znaleźć facetów, którzy nadają się na randki, ale Snob wydawał się kimś więcej niż tylko facetem na randkę.

Nie jestem osamotniona w swoich poglądach na temat towarzyskiej posuchy w Waszyngtonie. Oprah powiedziała kiedyś, że rzuciła pracę w Baltimore (zaledwie trzydzieści osiem mil od centrum stolicy) i podjęła kolejną w Chicago,

ponieważ przyjaciółki mówiły jej, że w Wietrznym Mieście łatwiej o odpowiedniego kawalera. I spójrzcie na nią teraz. No dobrze, może i nie wyszła za mąż, ale to był jej wybór. Za to jest bogatsza od samego Boga.

W samolocie do Miami przyszło mi na myśl, że może przyjaciółki Ophry miały na myśli odpowiednich, *czarnych* kawalerów. Troszkę to dziwne, zważywszy na to, że sama umawiałam się z mnóstwem z nich. Nigdy nie cierpiałam z powodu braku czarnych facetów. Oni po prostu mnie uwielbiają. Przypuszczam, że kręci ich moja radosna osobowość, poczucie smaku i namiętne usposobienie. Co więcej, nie odstrasza ich całowanie kobiety umalowanej czerwoną szminką. Cóż, niektórzy mężczyźni są po prostu bardziej oświeceni od *innych*.

Ostatnio rozmawiałam o tym z moją najlepszą przyjaciółką z „Washington Post” - Boginką (to taki skrót od mniejszej bogini albo Bogini-praktykantki). Obie byłyśmy młodszymi asystentkami w sekcji „Stylu”, gdzie między odbieraniem telefonów, sortowaniem poczty i pisanem krótkich artykułów o modzie - odbywałyśmy wspaniałe rozmowy na temat fascynacji ubraniami, mężczyznami i seksem. Miałyśmy nawet wspólną (choć błędną) teorię, głoszącą, że im mądrzejszy facet, tym głupszy i grzeczniejszy był z nim seks.

- Czasami po prostu masz ochotę, żeby ktoś cię przeleciał - powiedziała Boginka. - Żadnych zahamowań, trzęsień ziemi i beznadziejnego SEKSU. Mam na myśli seks, kiedy nie dbasz o to, czy coś zostanie potargane.

- Tak. Właściwie to nawet lepiej, jeśli przy okazji coś się podrze - odparłam. - Choć najczęściej i tak nic takiego się nie dzieje.

- Żadnej uprzejmej, intelektualnej paplaniny w stylu: Jak łagodne w smaku były te importowane przegrzebki? Wiesz, ostatnia decyzja Sądu Najwyższego jest niesłychanie...

-Dokładnie - wtrąciłam. - Są jednak chwile, kiedy zrobiłabyś wszystko w zamian za wielosylabową rozmowę. Za coś więcej niż tylko: „Och kochanie, och kochanie och kochanie” i monotonne pojękiwania.

-Potrzeba nam mężczyzny, który skupi w sobie wszystkie te rzeczy - podsumowała Boginka. - *To właśnie facet dla nas.*

- Ale czy tacy istnieją?

- Cóż my istniejemy i takie właśnie jesteśmy. Słuchaj, mam już idealne rozwiązanie: spokój Murzynów, ciepło Latynosów, plus mózg i kasa Żydów.

- Wspaniale! - wykrzyknęłam. - Zróżnicowany etnicznie ideał. *Globalna miłość.*

- *Oczywiście!* - odparła Boginka.

- Żyd nigdy nie podrze twoich ubrań, nieważne, czy masz je na sobie czy nie. Nie będzie też narzekał, że zrobienie makijażu zajmuje nam dobrą godzinę - dodałam. - Murzyni i Latynosi też nie będą mieli nic przeciwko. Dla nich będzie to normalne.

- Dokładnie, szlifując ich szmaragdy, my również zostaniemy oszlifowane.

Boginka i ja wymyśliłyśmy nasz własny, dziewczęcy szyfr, pełen przyjacielskich, kobiecych skrótów. Dla przykładu termin „fellatio” zastąpiłyśmy pojęciem „szlifowanie szmaragdów”, ponieważ wierzyłyśmy, że jedno zaprowadzi nas do drugiego. Zupełnie jak w przypadku zaręczynowego pierścionka z brylantem. I wiecie co.

Sprawdziło się to w przypadku Boginki, nigdy jednak w moim. Mogę tylko przypuszczać, że Boginka (ponieważ jest boginką) stosowała jakąś wyższą technikę, choć nigdy nie przeprowadziłyśmy porównania.

Jeśli chodzi o mnie, prawdopodobnie musiałam pojąć, że albo szlifowałam szmaragdy nie temu facetowi, co trzeba, albo mój obecny partner po prostu tego nie lubił. *Moja stara miłość. Nie pamiętam nawet jej imienia.* Jedyne, co pamiętam, to fakt, że kilka razy dosłownie ZEMDLAŁ, kiedy zaoferowałam, że oszlifuję jego szmaragdy. Było to o tyle zaskakujące, że nie robił tego *nigdy* w przypadku innych, poniesionych przeze mnie, osobistych poświęceń. Boże, ależ byłam podła. Czy naprawdę ssałam wyłącznie jego główkę?

- Nawet nie ugryzłaś? - spytała Boginka, odpalając Marlboro Light. Boże, stare, dobre czasy, kiedy jeszcze można było palić w miejscu pracy.

- Nie! - odparłam. - To znaczy, nie celowo.

- Cóż, tuż przed ugryzieniem nie ma mowy o żadnym ssaniu - ciągnęła Boginka, wypuszczając pierścień dymu. - Że tak powiem.

- Więc jeśli nie o to chodzi - spytałam, sięgając po Parliamanta - to o co?

- Skarbie. - Tak?

- On po prostu jest idiotą.

Co za ulga! Więc nie chodziło o mnie! Tak powiedziała moja Wyrocznia-Boginka. A ponieważ jej usta przemawiały wszechobecnym kolorem Chanel Star Red, nie mogła się mylić. Ta głęboka, intensywna, chłodna,

błękitna czerwień robiła piorunujące wrażenie. W połączeniu z mlecznobiałą cerą, ciemnymi oczami, włoskim profilem i czarnymi, prostymi włosami przyciętymi asymetrycznie i upiętymi w niefrasobliwy kok, Boginka wyglądała niczym młoda Audrey Hepburn. Ja nigdy nie mogłam używać Star Red. Spróbowałam raz w pokoju redakcyjnym i wyglądałam jak Bette Davis, w „Co się zdarzyło Baby Jane?”. Myślicie, że to wszystko? Posłuchajcie tego. Pech chciał, że akurat obok przechodziła pierwszoligowa Królowa Okrutnica (na co dzień pracująca w sekcji żywieniowej), która z wrodzoną złośliwością zauważyła: „O Boże. Toż to Lady Bird Johnson”.

To - podobnie jak moja randka ze Snobem - miało miejsce prawie dwadzieścia lat temu. Dobra nowina jest taka, że nie pielęgnuję starych urazów. Pozwalam im popaść w zapomnienie. Dzięki temu rozwijam się, a wszystko, co negatywne, po prostu po mnie sływa. Ale Królowej Okrutnicy powiem jedynie to: „Kiedy używasz złego odcienia szminki, wyglądasz jak Lady Bird. Albo Big Bird. Albo Bette Bird jako Baby Bird”. Ale używając odpowiedniego odcienia, nie może być mowy o czymś takim jak przesada. Możesz zużywać go całe tubki, do tego błyszczczyk, a szminka i tak będzie wyglądała dobrze. Mogłabym jeść odcień zwany Gladiatorem - taki jest dobry. To moja najlepsza, czerwona szminka. Moja absolutnie ulubiona. To Chanel Star Red dla takich kobiet jak ja: ciepła, koralowo-pomidorowa czerwień dla bladych, rudych dziewczyn z zielonymi oczami i mnóstwem piegów. Gladiator. Czyż nie jest to najlepsza nazwa szminki, jaką kiedykolwiek słyszałyście?



W Miami to ja będę gladiatorem walczącym na randce w duszną, sobotnią noc. Snob nie mieszkał w Miami. Żeby się ze mną spotkać, również postanowił odwiedzić kilkoro przyjaciół.

Przeprowadził się do Memphis w stanie Tennessee, gdzie otrzymał stypendium naukowe w St. Jude Children's Research Hospital. Był pediatrą specjalizującym się w dziecięcych nowotworach. Jakież to było szlachetne!

Nigdy nie wyobrażałam sobie siebie w roli znudzonej żony, ale przecież nigdy nie wiadomo, gdzie człowiek może być szczęśliwy. Poza tym byłabym żoną *lekarza*. To robi różnicę. Tak więc jechałam do Miami otwarta na wszelkie propozycje, z kosmetyczką pełną Gladiatora. Oczywiście liczyłam na to, że Snob okaże się mężczyzną godnym najlepszej szminki pod słońcem. Graciela nazwała go „złotym chłopcem”. „*Oro puro*” - tak go określiła. Szczere złoto. Mogłam więc liczyć, że u boku Snoba wejdem w tak zwany Złoty Wiek!

Z drugiej strony - „*Nic, Co Złote, Nie Trwa Wiecznie*”. To tytuł pięknego wiersza Roberta Frosta, który zaczyna się słowami:

*Złotem Natury pierwszy pęk, Jej głębszej barwy wstęp Jej pierwszym listkiem kwiat Wszystko to chwilę trwa*

Czyżby Snob był zbyt dobry, by być prawdziwym? Musiał mieć *przecież* jakieś wady. Wszyscy mężczyźni je mają.

- Facet jest tak niesamowity i do tej pory nikt go nie upolował? - spytałam Gracieli.

- Moglibyśmy to samo powiedzieć o tobie - odparła.

- Różnica w tym, że ja nigdy nie przeczyłam, że coś jest ze mną nie tak. Wiem to.

Graciela mówiła, że Snob jest wysoki (jak na Latynosa), śniady, przystojny, mówi płynnie po angielsku, zna kilka języków romańskich, ma nienaganne maniery, ubiera się u GQ i mieszka w pięknej, miejskiej rezydencji. Ma trzydzieści lat, nigdy nie był żonaty i nie ma żadnych dzieci.

- Widzisz? - powiedziała Graciela. - *Oro puro*.

- Dobrze - odparłam. - Ale jaki on jest? To znaczy, poza ubraniami GQ i całą resztą. Pytam, bo kiedy zdejmie się ubrania, jest się wyłącznie z człowiekiem.

- Po to jest właśnie ta randka - odparła Graciela. - Żebyś się dowiedziała, jaki naprawdę jest. Chcemy cię tylko wydać za mąż, żebyś mogła być tak szczęśliwa jak my.

- Dokładnie - wtrącił Jorge, który przysłuchiwał się naszej rozmowie z drugiego aparatu. - Jesteś zbyt słodka i seksowna, żeby być sama, *che*.

Mąż Gracieli uwielbiał mówić *che* w takim samym stopniu, w jakim uwielbiał kobiety. (*Che* to coś w rodzaju „ty”, „no”, „hej” albo każdy inny wypełniacz rozmów. To dlatego Ernesto „Che” Guevara zdobył swój przydomek; ponieważ używał go za często).

- Nie mogę się doczekać - odparłam, starając się, by to, co mówię, nie zabrzmiało zbyt sardonicznie. Jorge bezustannie flirtował ze mną i innymi kobietami na oczach Gracieli, która zbywała to wzruszeniem ramion,

jak gdyby chciała powiedzieć: „Tacy są właśnie mężczyźni, ale ten tutaj zawsze do mnie wraca”.

- Jest też bogaty, *che* - opowiadał o Snobie.

- Naprawdę? - spytałam. - Tak obrzydliwie jak ty?

- Mój mąż nie jest obrzydliwy - odparła, śmiejąc się, Graciela.

- Właśnie, że jest ~ upierałam się. - O-brzy-dli-wy.

Znam kobiety, które mówią: „Zadziwiająco szybko zdzieram buty”. Cóż, ja tak nie mówię i nie robię. Wszystkie kupione przeze mnie buty (zwłaszcza te na płaskim obcasie), są zbyt cenne i posiadają własną historię. Na przykład historia czerwonych baletek. Najpierw jednak musicie wiedzieć, że jestem kolekcjonerką. To oczywiście nie to samo, co ciulaacz. Ciulaacze ciulają tylko po to, żeby ciulać. Nie są emocjonalnie związani z żadnym przedmiotem. Po prostu lubią mieć wokół siebie mnóstwo różnych rzeczy. Jest jeszcze inna kategoria: kobiety, które traktują swoje rzeczy jak artykuły jednorazowego użytku i z niczego się nie cieszą. To właśnie różnica pomiędzy ciulaaczami, konsumentami i mną.

Ja pozostaję w związkach z moimi butami. Jeśli którykolwiek z nich (nawet ten drugiej kategorii) wyzionie ducha, jestem zdruzgotana. Dlatego dobrze jest kupować dwie pary ukochanych butów. Kobiety potrzebują wersji zapasowej. Niestety czasem jest ona nieosiągalna.

Na przykład w ubiegłe święta Bożego Narodzenia założyłam czarne, wyściełane pantofle, które kupiłam przeszło rok wcześniej na wyprzedaży z [www.keds.com](http://www.keds.com). Keds nie tylko sprzedaje tenisówki, choć te także uwielbiam i mam ich całe mnóstwo. Mam nawet parę płóciennych

tenisówek, ozdobionych wymyślnym wzorkiem w maleńkie pary bucików. Keds sprzedaje także skórzane botki i mięciutkie domowe kapcie. Moje pantofle były zrobione z imitacji zamszu i aksamitu, miękkie niczym poduszki, z twardą, falistą, gumową podeszwą. Uwielbiałam je i kupiłam ostatnią parę w rozmiarze *7Vi*. Przypominały mi mokasyny do jazdy samochodem, czyli kolejne buty na płaskim obcasie, które uwielbiam (przede wszystkim dlatego, że mogę w nich chodzić bez skarpet).

Miałam zamiar wynieść śmieci, kiedy poczułam, jak coś wlecze się pomiędzy podeszwą a podłogą. Spojrzałam w dół i... o nie! Poczawszy od palców moje pantofle zrzuciły podeszwy, które odpadały od nich suchymi, popękanymi, czarnymi płatami. Pozbawione podeszwy pantofle... nie są już pantoflami. Są... niczym. Nie było sensu oddawać ich do podzelowania, bo kosztowały jakieś 15\$. Musiałam się z tym pogodzić. Moje urocze, tanie, czarne Kedsy były już do niczego.

W takich momentach przychodzi ochota na zastanowienie. Medytację przy muzyce. Przy czymś wybitnie elegijnym. Do zdejmowania pantofli wybrałam więc Vladimira Horowitza (łamanie serc przychodzi Żydom z taką łatwością, że muszą mieć to w genach) - grającego sonatę „Księżycową” Beethovena. Później przeszłam do Arthura Rubinsteina i jego Chopinowskich nokturnów (po jednym na każdy pantofel). Z ociąganiem, powagą i żalem, wrzucałam buty do białego kosza na śmieci. Klap. Klap. Jakie to smutne. Wysmarkałam nos i wytarłam wilgotne oczy. Resztę okrasiałam „Requiem” Mozarta. Kiedy dźwięki orkiestry osiągnęły apogeum, podkręciłam głośność, otworzyłam drzwi do mieszkania, przeszłam trzy

kroki do zsypu i rzekłam: „Z Bogiem, moje małe Kedsy. Nigdy was nie zapomnę”. Wraz z ostatnim świstem spadających butów moja msza żałobna dobiegła końca.

Stojąc w sypialni, przeglądałam półki pełne butów i pudełek z butami (każde z nich opatrzone zdjęciem z Polaroida, mówiącym o ich zawartości) w poszukiwaniu idealnej pary na miły obiad w Miami. To wokół nich miał powstać strój na moją randkę w ciemno. Zawsze robię to w takiej kolejności. Najpierw buty, później ubrania.

- Podniszczone kowbojki Dan Post? (Cholewka ze słomkowej skóry z ręcznie tłoczonymi, czarnymi i płowymi szwami, topazową przyszwą z jaszczurczej skóry i klasycznym, kowbojskim obcasem). Bajeczne, choć zbyt wielkie, by je zapakować. Do tego zbyt gorące, jak na wilgotny klimat Miami i zbyt nieformalne na miłą, formalną randkę.

- Plecione sandały ze świńskiej skóry? Bez pięty, za to z uroczymi kokardkami. (Również ze świńskiej skóry. Znalazłam je w sklepie obuwniczym w Ocean City, stan Maryland. Dacie wiarę? Świetne buty w spelunowatej, zapuszczonej norze o nazwie DelMarVa?). CUDOWNE, ale - podobnie jak kowbojki - zbyt swobodne.

- Skąpe sandały od Bernardo z cieniutkim, metalicznym paseczkiem? Prawdziwy klasyk, jeśli chodzi o Palm Beach i Lilly Pulitzer. Niestety, zbyt odkryte. Co, jeśli odpryśnie mój czerwony niczym Gladiator pedicure i nie będę miała czasu go poprawić?

- Baletki w kolorze pomidorowej czerwieni z pikowanymi, złotymi czubkami? *Dzyń, dzyń, dzyń!* Mamy zwycięzcę, Don Pardo!

Zaraz, zaraz.

Przecież ja nie mam czerwonych baletek ze złotymi czubkami. A *powinnam*. Jakże pięknie pasowałyby do moich czerwonych ust w odcieniu Gladiator. Cholera. Jutro mam lot. Nie ma szans, żebym w tak krótkim czasie zdobyła wymarzone buty. Czy ktoś mógłby wynaleźć Internet? A skoro już o tym mowa, może także komórki? Boże, lata osiemdziesiąte były takie prymitywne.

No dobrze. Wróćmy więc do przeglądania moich butów.

- Czarne, koronkowe baletki?
- Zamszowe baletki w kolorze kiwi?
- Widowiskowe baletki z białej skóry z czarnymi przyszwami z jaszczurczej skóry?

Wszystkie jednakowo słodkie. I wszystkie jednakowo nieodpowiednie. Co jeszcze? Och...

- Złote, lakierowane baletki z bawolej skóry, z ryppo-wymi kokardkami od Joan & David?

Mmm! Złote, lakierowane baletki do Miami. To mogło zadziałać! Oczywiście nie tak ekstatycznie jak czerwone buciki z pikowanymi, złotymi czubkami (osobista notatka: natychmiast po powrocie do Waszyngtonu zakupić czerwone buciki na płaskim obcasie), ale na to nie było już czasu. Czekał na mnie mój przyszły mąż - pediatra.

Dla pediatrycznego podboju i swoich butów przewidziałam coś czystego, prostego, delikatnego, ponadczasowego i subtelnego. Sama byłam w monochromatycznym stanie - białe lub w kolorze złamanej bieli. Do jesieni

rzeczy ulegną zmianie - moje preferencje ubraniowe są inspirowane przez rozmaite bodźce - ale tego lata, *lato* oznaczało staromodny romans.

Bluzki i długie spódnice z wybielanej bawełny i bawełnianej siateczki. Koronki. Jedwab. Len. Szyfon. Oczka. Pełne, zwiewne, lejące, łopoczące kobiece rzeczy. Żadnych kostiumów. Tylko eteryczność i prostota. Nic zbyt skomplikowanego, świeżo wyprasowanego ani „nowego”. I żadnej czerni. Latem nie przepadam za czernią. (Zauważcie, że tenisiści zawsze ubierają się na biało. Biel nie skupia na sobie słońca, podczas gdy czarny nieubłaganie ściąga jego promienie). I nawet jeśli biel wygląda jak brak koloru, to - w przeciwieństwie do czerni - jest kombinacją wszystkich kolorów. Podobnie jest ze złamaną bielą. Ubieranie się w ten sposób ułatwia też pakowanie i pozwala uzbroić się w dodatki, takie jak: szminka w odcieniu Gladiator, słomkowa torebka od Helen Kamiński i perły, wszędzie perły. Zawsze kochałam perły. Zwłaszcza jeśli jest ich dużo. Nic cennego ani naprawdę sztywnego.

Moje upodobanie do łączenia bieli z bielą, złamanej bieli ze złamaną bielą i złamanej bieli z bielą, było odpowiednie do pory roku, szerokości geograficznej, a przy tym ładne, subtelne i zwiewne. Byłam trochę jak mała Annie Hall w serialu „Santa Monica”, trochę jak „Bri-deshead Revisited” i troszkę jak Meryl Streep w „Pożegnaniu z Afryką”. Jej filmowym kochankiem był Robert Redford, kiedy sam jeszcze był Robertem Redfordem.

Zastanawiałam się, czy Snob posiada zniszczoną, brązową, skórzaną lotniczą kurtkę, podobną do tej, którą nosił w filmie Redford. Naturalnie ich tragiczny los był

z góry przesądzony - on zginął - ale kurtka, którą nosił aż do sceny katastrofy, była naprawdę fajna.

Niewiarygodne, ale Snob przyszedł na randkę w zniszczonej, brązowej, skórzanej lotniczej kurtce. W sierpniu. W Miami. Ten to naprawdę był gotów cierpieć w imię mody! *Komentarz kinematograficzny!* Ten facet mógł być moim przeznaczeniem w stylu Roberta Redforda, który następnie zginie w Wielkiej Dolinie Rift w Kenii, a ja ze stoickim spokojem będę żyć dalej, pisząc bestsellery!

Na powitanie pocałował mnie ciepło - choć oficjalnie i po europejsku - w oba policzki. Maniery miał dworskie, staroświeckie - jakby z innego świata. Jeśli życie jest filmem, może to właśnie była argentyńska wersja *mojego* filmu „Pożegnanie z Południową Afryką”. Był atrakcyjny i pachniał niczym drogie drewno i przyprawy. Dopełnieniem karmelowej karnacji i kręconych czarnych włosów, była wykrochmalona biała koszula, do której założył szare spodnie, brązowy pasek ze skóry aligatora, brązowe, zamszowe mokasyny i żadnych skarpetek! Patrząc na niego, pomyślałam, że ten facet był metroseksualny w czasach, kiedy nikt jeszcze nie znał tego terminu.

Przyznam, że spodziewałam się zaparkowanej na chodniku dorożki. Zamiast niej czekało na nas czarne BMW Snob zawiózł nas na obiad do The Forge, przenosząc mnie z „Pożegnania z Afryką” wprost do „Dynastii”. Zarezerwował dla nas miejsca w osławionej piwniczce na wino. Czy to Henry Kissinger z Szachem Iranu? *Henry! Gdzieś ty się podziewał? Nie widziałem cię od czasu Portofino!*

Piwniczka była z lekka przesadzona, tandetna i barokowa. Nie był to Wersal, ale coś, co mogło za Wersal



uchodzić - kryształowe żyrandole, mahoniowe ściany, witraże, obrazy i rzeźby półnagich i nagich cherubinków oraz kobiet, a także setki tysięcy butelek wina.

- Zadowolilibym się Wersalem - rzekłam, nie mając na myśli francuskiego pałacu, lecz zwykłą restaurację w Little Havana, nazwaną na jego cześć. - To jest... jejku. Maksymalistyczne.

- Ciężko pracuję, dlatego w czasie urlopu lubię sobie pofolgować - odparł. - Ty nie? Oboje zasługujemy na przyjemności.

- O tak - rzekłam, ostrożnie rozkładając na kolanach ciężką, białą serwetkę wielkości Teksasu i wyobrażając sobie, jak zrobiłaby to Joan Collins. - Proste przyjemności.

- Zaczniemy od szampana Louis Roederer Brut Premierę - zwrócił się do kelnera, a chwilę później do mnie. - Przepraszam, mam nadzieję, że lubisz francuskie szampany, prawda?

Jasne, skarbie. Popijam je całymi dniami. Jak do tej pory randka szła wyśmienicie. Przynieś tego Bruta, kochanie. Chyba częściej powinnam umawiać się z lekarzami. Dziennikarze są tacy biedni.

- Specjalność wieczoru, *che* - ciągnął Snob swą nie-kubańską hiszpano-angielszczyzną. - Jesteś dokładnie taka, jak opisywali cię Graciela i Jorge.

- Czyżby? To znaczy jaka?

- Słodka, *che*. Zabawna. Wytworna. Może toast? Wypijmy toast za początek naszej pięknej przyjaźni.

Stuknęliśmy się kieliszkami. Szampan spływał po moim gardle niczym zmrożone, oszałamiające, delikatne gwiazdki. Był niemal kremowy. Popijanie go przypominało popijanie z czarno-białych filmów z lat dwu-

dziestych, gdzie odziani w satynę, gronostaje i smokingi bohaterowie z radością witali Nowy Rok.

Chwilę później Snob sięgnął ponad ciężkim, lnianym obrusem, aby pochwycić moje dłonie. Wybuchnęłam śmiechem. Nie tyle z powodu owej bliskości czy cytowanej przez niego „Casablanki” - najczęściej cytowanego filmu w historii kinematografii, obok „Czarnoksiężnika z Oz”. Rozbawił mnie fakt, że ten świetnie wyglądający, doskonale ubrany i zupełnie obcy mi facet, był gotów wydać przynajmniej 300\$ na kolację z nieznajomą.

Nie mówię, że wołałabym Taco Bell - choć i te mają swoje miejsca przy płatnych autostradach - ale Taco Bell i The Forge miały ze sobą wiele wspólnego. Z drugiej strony, poprzednik Snoba był żonaty, jadał wyłącznie w domu i obawiał się, że ktoś zobaczy go ze mną w miejscu publicznym.

- Przepraszam na chwilę - powiedziałam. - Muszę skorzystać z toalety.

Miałam ochotę na papierosa, a w osławionej piwniczce obowiązywał zakaz palenia. Nie powiedziałam jeszcze Snobowi, że palę. Taka deklaracja mogła prawdopodobnie pogrzebać moje szanse. Facet był w końcu lekarzem, specjalizującym się w dziecięcych nowotworach. Z drugiej strony Argentyńczycy uważają się za Europejczyków, a wszyscy Europejczycy palą. Do diabła. Powiem mu, że jestem palaczką - później. Wrzuciłam wypalonego Parliamanta do toalety, spuściłam wodę, przypudrowałam nos i czoło, pociągnęłam usta Gladiatorem i wróciłam do stołu.

Tam (oprócz Snoba) czekały na mnie dwa małe talerzyki makaronu i dwa kryształowe kielichy białego

wina. Snob wysunął dla mnie zielone, aksamitne krzesło. Przypominało ono kępkę, choć nie jestem pewna, czym właściwie jest kępka. Czy nie siedziała na niej Little Miss Muffet, zajadając się... o Boże, co to było? Zsiadłym mlekiem i serwatką? Czym do diabła jest serwatka? „Aż pojawił się pajak, który usiadł tuż za nią i wystraszył Miss Muffet na śmierć”.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, *che* -rzekł Snob. - Zamówiłem za nas oboje.

- Ależ skąd - skłamałam. To chyba nie był najlepszy czas, aby uświadomić temu cudownemu mężczyźnie, że chodzące na randki w ciemno amerykańskie kobiety wolą same wybierać sobie jedzenie. W tym kraju sami gonimy za własnym szczęściem. Mamy to zagwarantowane w...

- Ravioli z homarem z sosem z różowej wódki i doskonałe Chardonnay. Winnice Chalon. Kalifornijskie, ale całkiem dobre.

- Doskonały wybór - przyznałam. - Świetne jedzenie.

- Jedzenie? To nie jest nasze jedzenie. To dopiero przystawka.

Dzięki Bogu, że wybrałam spódnicę z gumką. Idiotycznie byłoby tego nie zrobić, kiedy idzie się w takie miejsce, a ktoś funduje ci jedzenie.

- A więc jesteś pisarką i pracujesz w „Washington Post”.

- Tak. Początkującą. Jestem początkującą pisarką. Ciężko pracującą. Tak przy okazji, ravioli jest wyśmienite. Dziękuję.

- *Che*, zarumieniłaś się - odparł, głaszcząc mój policzek.

- Cóż, owoce morza. Szampan. Wino. Nic mi nie będzie.
- I do tego świetnie się ubrałaś.

Postanowiłam połączyć złote buty na płaskim obcasie (choć wciąż byłam zdecydowana kupić cudowne, czerwone buciki) z obcisłą, jedwabną kamizelką w kolorze kości słoniowej, koronkową narzutką z perłowymi guziczkami (i jedynym koronkowym stanikiem w kolorze kości słoniowej) przypominającymi łezki, perłowymi kolczykami, kilkoma sznurami pereł owiniętymi wokół nadgarstka niczym bransoletki i długą do połowy łydki, zwiewną, szyfonową spódnicą w kolorze złamanej bieli.

W ostatniej chwili połączyłam „Pożegnanie z Afryką” z „Tout feu, tout flamme” (Ali Pire, Ali Flame) - godnym pożalowania (poza strojami) francuskim filmem. Jest w nim scena, w której Yves Montand pomaga Isabelle Adjani utrzymać się na rowerze. On ma na sobie garnitur z białą, rozpiętą pod szyją koszulą. Ona - urocza jak zawsze - cała jest w bieli: luźny, prążkowany, wycięty pod szyją pulower, sięgająca kostek, zwiewna, gnieciona biała spódnica z białym haftem i mięciutkie, kremowe baletki z okrągłymi noskami.

- Spójrz na te kobiety - szepnął Snob, wskazując na salę. Złota, prostokątna oprawka jego zegarka na chwile skupiła na sobie światło świec i żyrandoli. - Są takie jaskrawe. Wulgarne. Jak dziewczyny gangsterów.

- Goomahs - odparłam. Znałam to słowo, zanim jeszcze zaczęłam oglądać „Rodzinę Soprano”. Nauczyła go mnie moja fantastyczna, włoska przyjaciółka Bobbi.

- A te buty na obcasach. Prawie jak z filmów porno.

- To Miami Beach - odparłam, wzruszając ramionami. - Tu wulgarny jest brak wulgarności.

- W takim razie musimy być bardzo wulgarni.

- Jesteśmy - powiedziałam. - Jesteśmy *vulagarisimo*.

Reszta kolacji nie była wulgarna (pod warunkiem, że isticie orgiastyczny bankiet nie uchodzi za coś wulgarnego). Wręcz przeciwnie. Była tak niezapomniana, że po skończonej randce zapisałam wszystko w swoim pamiętniku. Cała butelka Catena Alta, dojrzałe Cabernet Sauvignon prosto z ojczyzny mego przystojnego towarzysza, delikatny filet z sosem z pomarańczy Grand Mariner („My Argentyńczycy jesteście mięsożercami. Nie ma nic lepszego od *bije a la parrilla* [tradycyjnej, grillowanej wołowiny], ale zadowolimy się czymś takim”); łupinki ziemniaków z *crème fraîche* i rosyjskim kawiozem Beluga, sałatka z rakiety ze startym parmezanem, włoskim koprem, kwiatami cukinii i pieczonymi brzoskwiniami - *pieczonymi brzoskwiniami!* - z dodatkiem oliwy z pierwszego tłoczenia i sokiem ze świeżej cytryny.

Don't cry for *me*, Argentina. Mam spódnicę z gumką, a do tego działałam bez pośpiechu i *ubóstwiam* luksusowe torby na resztki.

- Poproszę menu z deserami - zwróciłam się do oniemiałego kelnera.

- Kobiety już tyle nie jedzą - rzekł Snob, uśmiechając się i dopijając resztkę wina. - Przynajmniej w twoim kraju. Cała ta obsesja na punkcie diety Atkinsa, kapuśniaku i...

- To także jest twój kraj - odparłam. - Ta ziemia została stworzona dla takich ludzi jak my.

- Cóż, może masz rację - rzekł. - Jeszcze nie jestem tego pewien. To zależy od kilku, istotnych czynników.

- Takich jak?

- Zjrzyjmy do menu, *che*. Co sobie życzysz?

- Czekoladę!

Byłam rozdarta (jak nigdy) pomiędzy nadziewaną, czekoladową babeczką i „Omdleniem” - muszelką z chrupiącego ciasta, pełną lodów i oblaną stopioną, szwajcarską czekoladą. Jeśli już bywam rozdarta, to dlatego, że chcę obu rzeczy naraz (o, tak!) albo nie chcę żadnej z nich.

Jestem bardzo zdecydowana, jeśli chodzi o jedzenie, modę i mężczyzn. Zwłaszcza, jeśli chodzi o modę. Mogę przeglądać pokój pełen pięknych sukienek i w ciągu minuty wybiorę najlepszą. Trzydzieści sekund, jeśli mówimy o boskiej, falbaniastej dżersejowej sukience od Anthropologie. Dziewiętnaście sekund w przypadku obcisłej, choć zwiewnej haleczki od H&M. Pięć sekund na czarną, rozkloszowaną sukienkę w stylu racerback, zaprojektowaną przez Isaaca Mizrahi dla Target. Przepraszam, dla *Tarjay*. Jeśli się waham, czy kupić sukienkę, oznacza to, że to nie TA. To samo jest z mężczyzną. Jeśli mam wątpliwości, znaczy to, że nie jest on TYM JEDYNYM. Z drugiej strony, całkiem możliwe, że mężczyźni i miłość są bardziej skomplikowani niż desery i sukienki.

Albo może nie.

Zawsze wierzyłam, że znalezienie idealnej sukienki, butów czy czerwonej szminki sprawi, że idealny mężczyzna, którego kocham, pokocha mnie jeszcze bardziej i zechce się ze mną ożenić. Mężczyźni nie dbają jednak o mój strój i makijaż. Przynajmniej nie tak, jak ja. Widząc to, doszłam do kilku interesujących wniosków:

1. Zobacz.
2. Pokochaj.
3. Zdobądź.
4. Ożeni się, kiedy tylko mnie w tym zobaczy.
5. Aha.
6. Czy ten chłopiec już POSZEDŁ?
7. On nie wróci. Podaj chusteczki do nosa.
8. Chyba w końcu przestaję rozpaczać. Myślę, że niedługo w ogóle mi przejdzie. Te ozdobione kamyczkami, zamszowe, zielone mokasyny z maleńkimi lustreczkami są prześliczne. I choć nie będą do niczego pasowały, muszę je mieć!
9. Kto? Paul/Arthur/Raymond/Steve/Rob? „Jaki” Rob? Oczywiście wszyscy oni prowadzą do...

10. Boże, jak ja kocham swoją garderobę.

Snob i ja wybraliśmy jedyną, rozsądną ścieżkę i oboje zamówiliśmy czekoladowe desery z espresso i cappuccino. Tak długo, jak nie prosił mnie do tanga, byłam w stanie spalić dziewięć bilionów kalorii, które jakimś cudem przyjąłam przez ostatnie trzy godziny.

- Ze swoim wyglądem mógłbyś zagrać gościnnie w „Miami Vice” - powiedziałam, kiedy po kolacji spacerowaliśmy po plaży w South Beach. (Tango - wykluczone. Miły spacer - w porządku).

Z czarnego niczym aksamit nieba, świecił ku nam biały, okrągły księżyc. *To tylko papierowy księżyc, płynący po papierowym morzu... To tylko cyrkowy świat, tak sztuczny, jak się wydaje...* Szliśmy boso, trzymając buty w rękach, podczas gdy ciepła bryza rozwiewała nasze włosy, a nadchodzący przypływ kłębił się wokół kostek

i cofał się ku morzu, ustępując miejsca mokremu piaskowi. Słona woda nie działa dobrze na szyfonowe spódnice czy - jak w przypadku Snoba - zamszowe mokasyny. Wiecie jednak, że są chwile, kiedy takie rzeczy przestają mieć znaczenie. To nadmorski, idealny, pierwszorand-kowy odpowiednik „seksu, kiedy nie dbasz o to, czy coś zostanie potargane”.

- Naprawdę? - spytał ze śmiechem Snob. - A kogo miałbym grać w „Miami Vice”?

- Smagłego nieznanego. Kogoś bardzo tajemniczego. I ubranego tak dobrze, jak Sonny Crockett.

- A może jak Ricardo Tubbs?

- Nie. Sonny.

- Jasne, *che*, ale ja nie palę.

- A ja tak. - Cholera. Nie ma czasu, aby ocenzuować prawdę. To tyle, jeśli chodzi o małżeńską idyllę.

Snob zatrzymał się.

- Naprawdę? - spytał.

- No... czasami. - *Niezłe* kłamstwo.

- Nie wyglądasz na kogoś, kto pali. Nie śmierdzisz jak ktoś, kto pali.

- Wiem. Jestem palaczem z klasą. Właściwie to nie znoszę innych palaczy. To znaczy, nie znoszę dymu innych palaczy.

Pocałował mnie. Gwiazdy. Szampan. Blask księżyca. Ocean. Moja randka w ciemno oficjalnie stała się bajką. (Dzięki Bogu, że Snob był starej daty, bo ostatnią rzeczą, jakiej teraz chciałam, było... rozłożyć dla niego nogi).

- Usiądźmy - powiedział. - Zapal sobie. - Mówiąc to, zdjął swą boską, skórzaną kurtkę i położył ją na piasku. - Dla ciebie, mademoiselle.



- Jesteś zbyt dobry - odparłam. - Na pewno mogę? Cała zabrudzi się od piasku.

- To tylko kurtka, *che*. Poza tym dzięki temu będzie pachniała tobą.

Jejku! On wcale nie żartował, mówiąc, że Argentyńczycy są mięsożerni.

Nic nie czyni kobiety bardziej szczęśliwą, jak rozłożona pod jej pupą miękka, skórzana kurtka. Wyciągnęłam Parliamenty i odpaliłam papierosa. Z rozkoszą wypuściłam dym w słońce, ciepłą noc i wślizgnęłam się w objęcia Snoba. Wszystko zdawało się doskonałe, a ja po raz pierwszy od długiego czasu poczułam się spokojna i atrakcyjna. Nie przeszkadzało mi nawet to, że mój Gladiator został scałowany. Wielkie mi co. W końcu nic, co złote, nie trwa wiecznie. (Za wyjątkiem złotych baletek).

## Cześć Druga: MEMPHIS

Kwiaty! - ogłosiła Boginka.

Byłyśmy w pokoju redakcyjnym: ja odbierałam telefony, ona sortowała pocztę, rozdając przesyłki FedEx i UPS. Na biurku stał przezroczysty, fioletowy wazon rozkosznych, kremowych lilii. Na dołączonym do bukietu bileciku napisano „Tęsknię za Tobą, *che*. Pozdrawiam”.

- Kochamy go - rzekła Boginka. - Kochamy troskliwych facetów z głębokimi kieszeniami.

- To fakt - odparłam, wdychając rozkoszny zapach kwiatów. - Wciąż jednak muszę znaleźć czerwone baletki.

- Ach, na wycieczkę do ziemi Elvisa. Kiedy dokładnie wyjeżdżasz?

Od czasu idealnej nocy w South Beach Snob konsekwentnie dbał o perfekcję w naszym związku. Co tydzień dostawa świeżych kwiatów. Codzienne i conočne telefony

przez prawie dwa miesiące. Wielokrotnie zapraszał mnie, abym odwiedziła go w Memphis. Próbowałam grać na zwłokę, tłumacząc się pracą. Prawda była taka, że jak do tej pory nie znalazłam moich mitycznych baletek. Magicznych bucików, na punkcie których miałam prawdziwą obsesję i których potrzebowałam, by w końcu przypieczętować umowę. Byłam wszędzie - w Hechts, Nordstrom, Neiman Marcus, Bloomingdales, w każdym z Taylorów (Ann &) Lord, Pappagallo, Talbots oraz w całym mnóstwie maleńkich sklepików w Georgetown - NIC.

- Jesteś stuknięta, moja droga - rzekła Boginka. - Niczego nie potrzebujesz. Masz trzy tysiące par butów. On za tobą szaleje! Kwiaty. Telefony. Oszłamiająca, pierwsza randka. Bilety w pierwszej klasie na przelot do Memphis. Jakich jeszcze dowodów potrzebujesz? A może po prostu go nie lubisz?

- Lubię - odparłam. - Lubię go.

- Więc w czym problem? Wolisz umrzeć niż mieszkać w południowych Stanach?

- W tym - powiedziałam, pokazując jej „Vogue”.

- O Boże! To twój strój!

Prawie. To było zdjęcie trzech modelek w figlarnych, akrobatycznych pozach, ubranych w różne wersje NAJSŁODSZEGO, jednoczęściowego kombinezonu od Normy Kamali. Kombinezon był obcisły, miał zabawną, biało-czarną kratę i był uszyty z lycry i bawełny. Dodatkowo

do niego były szerokie, czerwone przepaski, równie szerokie, czerwone paski, czerwone usta, paznokcie i CZERWONE BALETKI. Żegnaj kenijska Meryl Streep. Witaj nowojorska Diane Keaton, Mówiłam wam, że do jesieni rzeczy ulegną zmianie, a kość słoniowa, biel i perły, ustąpią miejsca czerwieni, czerni, bieli i brylantowym kolczykom.

innymi słowy, chciałam być Normą Kamali. Uwielbiam kobiety charakterne i nietuzinkowe; kobiety, które nie przypominają ci nikogo innego. „Vogue” najwyraźniej skopiowało MNIE. Przed podróżą do Miami widziałam w katalogu firmy wysyłkowej inną wersję kombinezonu Kamali i oczywiście go zamówiłam. Praktycznie rzecz biorąc, mój zakup nie był nawet kombinezonem. Był dwuczęściowy. (Czy istnieją ludzie, którzy naprawdę potrafią uporać się z kombinezonami? Przecież idąc do toalety, trzeba zdjąć z siebie niemal wszystko. Przy takiej ilości TaB, jaką pochłaniam? Błagam). Górę stanowił pulower z niewielkim dekoltem i rękawkami trzy czwarte. Drugą częścią były naciągane rybaczki z ukośnymi, wewnętrznymi kieszeniami. Nawet bez czerwonego paska (a nie miałam zamiaru założyć ani jego, ani czerwonej przepaski), czyż nie był to najpiękniejszy, dwuczęściowy kombinezon, jaki widzieliście w swoim życiu? A do tego był taki wygodny. Dopasowany, ale nie do tego stopnia, aby nie można się w nim porządnie najeść. Wytrzymały.

Był to mój podstawowy strój na wyjazd do Memphis, a przecież nie mogłam tam polecieć bez czerwonych baletek.

- Spróbuj u Saksa - odpowiedziała moja serdeczna przyjaciółka od zakupów, Mindy. - A jeśli je tam zoba-

czysz, kup dwie pary. Mówię to wszystkim, którzy mają zamiar kupić coś, co wyjątkowo im się podoba.

Niewiarygodne. Jak we śnie. Jak w bardzo pięknym śnie. Jak gdyby sam Bóg czuwał nade mną, chcąc, abym posłuchała rady Mindy. Wpadłam do Saksa na Fifth Ave nie wprost na markowe, czerwone baletki. Z pikowanymi, złotymi czubkami i ozdobnymi tasiemkami z rypsu. Wyprodukowane we Włoszech. Cena 94\$, przy czym 94\$ to mnóstwo pieniędzy. Biedna Pani Visa.

Stłumiony krzyk: Byłam pieprzoną asystentką w pokoju redakcyjnym i nie myślcie sobie, że było mnie stać na buty za 94\$. Cóż, właściwie byłam pieprzoną asystentką w pokoju redakcyjnym, która wydała 282\$. (Dwie pary czerwonych baetek i UROCZA para w kolorze kawy z mlekiem, którą zawsze lepiej posiadać).

Hurra! Hurra! Południowe Stany! Ziemia bawełny, gdzie wciąż pamięta się stare, dobre czasy! Przygotujcie się na kolejny najazd Jankesów! W tej kwestii zajmę stanowisko - dosłownie - w czerwonych baletkach. „Look away, look away, look away, Dixie Land!”.

Do posłuchania w Walkmanie spakowałam „Graceland” Paula Simona i „Hejira” Joni Mitchell. W radosnej, choć wyważonej piosence Simon opowiadał o tym, jak jedzie autostradą wzdłuż rzeki od kołyski wojny secesyjnej wprost do Graceland. „Z powodu, którego nie potrafię wytłumaczyć, jakaś część mnie pragnie ujrzeć Graceland... Mam powody, by wierzyć, że wszyscy spotkamy się w Graceland”.

Joni śpiewała niesamowitym głosem o duchach Beale Street w Memphis - starej „dzielnicy czarnych” i kolebce

bluesa. Śpiewała o ojcu bluesa, trębaczu W.C. Handym W Memphis jest mały park poświęcony jego pamięci. Można w nim zobaczyć wykuty w brązie pomnik Handy ego ściskającego w dłoni trąbkę. *Jak gdyby słuchał starych, dobrych kapel i stukotu butów na obcasach...*

Choć w moim przypadku byłoby to stukanie czerwonych baletek.

Snob przywitał mnie na lotnisku Memphis International Airport w późny, piątkowy wieczór. Tym razem nie miał na sobie brązowej, skórzanej kurtki. Płomiennie pochwyił mnie w ramiona, podniósł do góry (aby w weekendy pozwolić sobie na taką przyjemność, w tygodniu odżywiam się wyłącznie niskokalorycznymi produktami Lean Cuisine) i swobodnie, po amerykańsku pocałował w usta. Lubię tę południową gościnność. I uwielbiam ich sklepy z upominkami. Wciąż rozpraszały mnie urocze kiczowate błyskotki. Jedną z nich była bożonarodzeniowa, smezna kula z Graceland, pełna wirującego śniegu i srebrnej lamety. Po prostu musiałam ją mieć w swojej kolekcji. Uwielbiam śnieżne kule. No i oczywiście magnesy na lodówkę! Musiałam zdobyć wściekle różowy magnes ELVIS'69 w stylu Warhola, z plakatem z filmu „Kłopoty z dziewczynami”. Postanowiłam więc, że obie te rzeczy kupię w drodze powrotnej.

Na początku listopada wciąż było jeszcze wystarczająco upalnie, by włączyć klimatyzację, jednak ta w czarnym BMW Snoba działała z siłą tajfunu. Wyciągnęłam nogi i przyjrzałam się swoim czerwonym bucikom.

- W końcu, *che* - odezwał się Snob, chwytając mnie za rękę. - Moja kochana, cudowna dziewczynka. Pomyślałem, że najpierw pojedziemy do domu, żebyś mogła

troszkę odpocząć i rozpakować się, a później... proszę, powiedz, że lubisz grilla.

- Wciąż jestem mięsożerna. Uwielbiam grilla - odparłam, ściskając jego dłoń. Była tak mięciutka, jak gdyby ktoś zanurzył ją w płynie zmiękczającym Downy.

Delikatnie tupiąc, przeszłam się w moich czerwonych baletkach po szarej wykładzinie. Cisza. Wykładzina była tak puszysta, że zupełnie tłumiała dźwięk kroków.

- Podoba mi się twój garnitur i ten odlotowy krawat - dodałam. - Pewnie dopiero wyszedłeś ze szpitala.

- Coś w tym rodzaju - odparł Snob. - Miałem mnóstwo czasu, aby wszystko zaplanować.

- Wiem. Przepraszam. To wszystko... moja wina.

- Niedobra dziewczynka. Kazałaś mi czekać i czekać. Ach, te pracujące dziewczyny.

Mieszkanie Snoba było takie nowe, że prawie czułam w nim zapach farby. Była to duża miejska rezydencja z trzema sypialniami i trzema łazienkami. Czysta, oszczędna, męska, dobrze oświetlona, z domowymi akcentami: oprawioną w ramkę fotografią wodospadów Iguazu, tomikiem dzieł zebranych autorstwa Luisa Borgesa o wdzięcznym tytule „Ficciones” i malutkim, glinianym kapelusikiem Gaucho, w którego rondzie leżały monety.

Przygotowany na mój przyjazd pokój gościnny był naprawdę świetny. Miał osobną łazienkę, a w srebrnym wazonie stały czerwone tulipany. Postanowiłam, że nie będę się przebierać. W czasie lotu miałam na sobie czerwoną, jedwabno-bawełnianą bluzeczkę, sweterek i džinsy, które będą musiały pasować do Corkys, które (według Snoba i jędzowatej Królowej Okrutnicy z sekcji żywieniowej)

było idealnym miejscem na grilla. (Jutro w Graceland będzie niepodzielnie rządziła Norma Kamali. Musiałam tylko wyznaczyć sobie tempo, tak jak zrobiłam to w The Forge w Miami. Z pewnością Król Rock&Rolla, który osobiście uwielbiał niebieskie, zamszowe buty, zrozumiałby mój wybór).

W Corky's wszystko było tak obłędnie dobre, że miałam ochotę zanurzyć twarz w jedzeniu i poklepać stół czerwonymi bucikami od Saksy. Litości! Koszyki idealnie przyrządzonych, soczystych żeberek, frytki ze słodkich ziemniaków, sałatka coleslaw i fasolki zapiekane w brązowym cukrze. Wszystko popijane galonami słodkiej, mrożonej herbaty. No i oczywiście ciasteczka nadziewane orzechami pekan, karmelem, a na deser kawa. Mogłabym tam zamieszkać. Poważnie.

W końcu potoczyliśmy się do domu, gdzie przez chwilę wymienialiśmy czułości (chwila trwała wystarczająco długo, by mnie zaintrygować), po czym udaliśmy się do osobnych łóżek. Przed wyprawą do Graceland potrzebowałam regenerującego snu. Ciekawe, czy sprzedają tam smażone w głębokim tłuszczu kanapki bananowe z masłem orzechowym?

Norma Kamali w Graceland. Oto koncepcja. Podczas śniadania Snob pochwalił moje ubranie. Siedząc przy mocnej kawie i kupionych w piekarni racuszkach z cukrem pudrem, powiedział: „Jej! Do Memphis przybywa haute couture. Nigdy go tutaj nie widzę, oczywiście za wyjątkiem mnie samego. Wyglądasz uroczo”.

Mówiąc to, strzepnął mi z nosa resztki cukru. Nie sądziłam, że mogłabym czuć się lepiej w towarzystwie mojego argentyńskiego kawalera. Świeciło słońce, mój brzuch był pełen cukru i kawy, mój Gladiator oszalał, ubrania i buty były odjazdowe, a pośród tego wszystkiego był Snob.

Kiedy jechaliśmy do Graceland, pomyślałam: „Ten facet naprawdę mnie kręci. Może Reizl - to znaczy Graciela - miała rację". *To będzie jak powrót do domu. Wy dwoje będziecie mieć najśłodszą dzieciaki', już sobie wyobrażałam urocze, maleńkie ubranka, wspólne wybieranie dyni na Halloween, robienie zdjęć i urodzinowe przyjęcia w Corky's...*

Chwilę później usłyszałam jęk Snoba.

- Chryste - szepnął. - Czy te wioskowe buraki mogą być jeszcze bardziej spasiono? Albo żalosne?

Ja, Snob i pięćset innych osób staliśmy na tyłach posiadłości Graceland w Ogrodzie Medytacji, gdzie spoczywają Elvis, jego rodzice - Vernon i Gladys oraz babcia ze strony ojca - Minnie. Nad wszystkim górował biały posąg Jezusa, podczas gdy tablice pamiątkowe niemal ginęły pośród tysięcy wypełnionych helem balonów, pluszowych misiów i wykonanych z żywych i sztucznych kwiatów wiązanek. Dookoła słychać było wyłącznie trzask fleszy, wylewającą się z fontanny wodę, świergot przedrzeźniaczy i płaczących ludzi.

- Spójrz tylko na tamtą jałówkę - parsknął Snob, potrząsając głową. Zaskaniając dłonią usta, zachichotał na widok otyłej kobiety, która szlochała i wydmuchiwała nos w chusteczkę. Wyglądała na równie zdruzgotaną jak ja, kiedy na moich oczach umiera kolejna para



butów. Kobieta miała na sobie różową, plastikową czapkę z daszkiem, ozdobioną błyskawicą i literami TCB, odnoszącymi się do słynnego powiedzenia Króla „Taking Care of Business In a Flash”, różową, poliestrową koszulkę z twarzą młodego Elvise i widocznym na plecach napisem „ELVIS THE KING LIVES 4-EVER”, różowe spodnie z namalowanymi na pośladkach bliźniaczymi błyskawicami, wokół kostki srebrną bransoletkę, do której przywieszono żółty, ceramiczny wisiołek w kształcie psa, różową, akrylową torbę na zakupy z napisem I ELVIS (przy tym wyszytą różowymi cekinami) i czarne, gumowe japonki z podobiznami małych, różowych Eh/isów zawodzących do mikrofonu.

To była haute couture w Graceland. Krytykowanie tego stroju i jego właścicielki byłoby jak krytykowanie kota za to, że zrzuca sierść na twój kaszmirowy sweter.

- Zachowujesz się jak dupek - powiedziała Snobowi. Boże, jak dobrze było sobie zakląć. Nigdy wcześniej nie przeklinałam przy tym skurwielu. W dodatku byłam o krok od zainaugurowania jego przezwiska.

- I jesteś snobem. Nie rozumiesz tego. W ogóle nie pojmujesz elvisowości tego wszystkiego. Jesteś anty--Elvisowskim snobem. ANTY-Elvisowskim snobem.

- Nie rozumiem - odparł. - Dlaczego się złościł?

- Spotkamy się w hotelu Złamanych Serc.

- Doprawdy? Tu naprawdę jest hotel Złamanych Serc. Po drugiej stronie ulicy. Mają tam Apartament Płomiennej Miłości i inne rzeczy.

- Daj spokój - ciągnął, idąc za moimi plecami. - Ci ludzie to buraki. Barany.

- Doceniam aliterację - odparłam.

W milczeniu jechaliśmy na lunch do historycznego hotelu Peabody w centrum Memphis. Zapaliłam w samochodzie papierosa i nie otworzyłam szyby (takich rzeczy nie robię nawet we własnym samochodzie). Zrobiłam to celowo, wiedząc, że cholernie mu się to nie spodoba. Mimo wszystko nie odezwał się ani słowem. Usiedliśmy w olśniewająco pięknym Lobby Bar, którego główną atrakcją są jego mieszkańcy - żywe kaczki. Są to bardzo przyjazne kaczki chodzące gęsiego i pluskające się w marmurowej fontannie. Chciałam móc do nich dołączyć, jednak południe zmieniało mnie w prosiaka, nie w drób.

Zaczęłam od Krwawej Mary - pomyślałam, że będę potrzebowała mnóstwo drinków, ponieważ byłam WOW (Wciąż Oficjalnie Wkurzona) - oraz miski wymieszanych z rozmarynem, zapiekanych nerkowców. Później pożarłam kanapkę Peabody Club, talerz frytek z galonem keczupu, trzy beczki dietetycznej coca-coli (żadna restauracja na świecie nie podaje TaB) i wielki niczym Elvis kawałek ciasta Equinox. Bawarskie ciasto z orzechów laskowych z czekoladowym musem, serwowane z kremowym, czekoladowym ciastem i orzechowymi chrupkami. Czymkolwiek były owe chrupki, smakowały niesamowicie. „Look away, look away, look away, Dixie Land!”

- Smacznego, *che* - powiedział Snob i delikatnie się wzdrygnął. Chwilę wcześniej skończył swojego Heinekena i odsunął talerz, na którym wciąż leżała porcja burgera Beale Street i dwa krążki cebuli. Mało brakowało, a zjadłabym również to.

- Nigdy dotąd nie widziałem kobiety, która jadłaby jak Pacman i była tak drobna.

- Jestem tajemnicą - odparłam, zapalając Parliamanta i sącząc kawę. Nie miałam zamiaru mówić temu Juanowi Peron w jedwabnej koszuli, eleganckich spodniach, pasku z aligatora i przeklętych mokasynach od Gucciego, że w tygodniu odżywiam się wyłącznie niskokaloryczną lasagne od Lean Cuisine.

- Chodźmy - powiedział, wstając od stołu. - Możemy spalić kalorie w Brooks Museum. Mają tam świetne, europejskie elementy ozdobne i kilka naprawdę dobrych, amerykańskich obrazów. Interesujesz się przecież historią sztuki. Myślę, że ci się spodoba.

- Też tak myślę - odparłam. - Ale nie dziś. W czasie następnej wycieczki. Padam z nóg.

- Daj spokój - rzekł, zgrywając energicznego faceta. Pociągnął mnie za rękę i zaczął prowadzić w kierunku wyjścia. - Możesz odpocząć w samochodzie. Muzeum zamykają o piątej. Później pójdziemy na Beale Street, żeby się napić, posłuchać muzyki i potańczyć.

Rozumiem. To miał być weekendowy, nazistowski (choć może powinnam powiedzieć shermanowski) marsz śmierci w delcie Mississippi. Znany również jako niekończąca się, ekstremalna randka, zaplanowana tak, aby wykończyć i rozbawić cię do tego stopnia, że zamiast z towarzyszącym ci mężczyzną, odbywasz stosunek z miastem i jego atrakcjami. Coś podobnego do „Love Connection” z Chuckiem Woolery. Mój przyjaciel Billy uważał, że program ten był niedorzeczny i cudaczny, jednak od czasu do czasu zmuszał mnie, abyśmy go razem obejrzel. To musiał być program dla gejów. A może po prostu Billy leciał na Chucka. Z pewnością było tak w przypadku każdej uczestniczki.

- Randki w tym programie ciągną się bez końca i zawsze są takie same! - krzyczał Billy. - Rankiem facet pojawia się z bukietem kwiatów i bombonierką. Później jadą do Bel-Air albo do Carmel. Jeżdżą na wrotkach, idą na kolację do wypasionej restauracji, aż w końcu trafiają do Cancun. Dość tego!

- Muszę się zdrzemnąć - powiedziała Snobowi. - Królewski pokój nagrań, stylizowany na dżunglę, kompletnie mnie wykończył. Ta kosmata, zielona wykładzina na suficie. Sama już nie wiem.

- Daj spokój.

- A może wykończyło mnie muzeum różowych ca-dillaców.

- Daj spokój.

- A może zrobiony na zamówienie odrzutowiec *Lisa Marie'*?

- Daj spokój.

- Albo muzeum kostiumów Elvisa?

- Przestań.

- Chyba że był to film „Przejdź Milę w Moich Butach”, traktujący o życiu króla. Ciężko powiedzieć. Wiem tylko, że przeszłam ponad milę we własnych butach (Graceland ma czternaście akrów!) i cała nasza trójka dosłownie leci z nóg.

- Przecież nie chcemy przegapić muzeum - odparł, omijając stado zielonogłowych kaczek. Czy powinnam użyć słowa *stado*? Może odnosi się wyłącznie do gęsi? Kaczka... kaczka... gęś!

- Spotkamy się przed wejściem - rzekłam. - Muszę iść do toalety.

Właśnie zaczął mi się okres.

Taaa. A więc DLATEGO byłam taka głodna i nieprzyjemna. Myślałam, że wszystko przez to, że Snob naśmiewał się z ludzi w Graceland. Tak samo, jak naśmiewał się z kobiet w The Forge. Albo dlatego, że nie puścił mnie do domu, żebym mogła się zdrzemnąć. Wiecie, jak okropne i złośliwe robią się dzieci, kiedy są zmęczone, a czas na drzemkę dawno już minął? Hormony. To one rządzą wszystkim. Dzięki Bogu, że wzięłam ze sobą paczkę tamponów i wkładek higienicznych. Nie chciałam przecież zniszczyć mojego nowego kombinezonu od Normy.

Oddychaj.

Puder.

Więcej Gladiatora. W porządku. Pierdolone muzeum.

- Znalazłaś tam coś wyjątkowego? - wrzasnął Snob. - W Brooks?

Z ledwością słyszałam go ponad dźwiękami James Govan & The Boogie Blues Band.

Siedzieliśmy w zatłoczonym Rum Boogie Cafe - jednym z najstarszych barów na Beale Street. Oboje popijaliśmy mocne, słodkie, rumowe drinki zwane Jagodowymi Wzgórzami, które zawierały prawdziwe jagody. Czekałam, aż zacnie działać Bacardi Silver, tak abym w końcu mogła poczuć dreszczyk emocji. (W przeciwnym razie musiałabym wyjść wprost na tętniącą życiem ulicę do Tater Red's Lucky Mojo's & Voodoo Healings i kupić laleczkę wudu do posadzenia na desce rozdzielczej mego samochodu).

- Co najbardziej podobało mi się w muzeum? - odkrzyknęłam. - Homer jest dobry na każdą okazję.

- Chcesz iść do domu?

- Co? Nie. To znaczy tak. Miałam na myśli Winslowa...  
Zresztą nieważne.

Byłam zachrypnięta, a moje nogi drżały. Nie z powodu R&B, ale ze zmęczenia. To była dłuuga podróż ku nocy. Moje śliczne, czerwone baletki były bardziej niż rozchodzone, biedne maleństwa. Dzięki BOGU, że kupiłam drugą parę.

- Proszę, czy moglibyśmy już iść? - krzyknęłam. Umierałam z głodu. Ponownie. Potrzebowałam czegoś smażonego w głębokim tłuszczu i serowego... Może smażonego w głębokim tłuszczu suma z sosem Crisco i smażonymi w głębokim tłuszczu ziemniakami z serem cheddar...

- *Che*, nie skończyłem jeszcze drinka! - odkrzyknął Snob.

Słyszając to, zapragnęłam zerwać ze ściany jedną z trzystu pięćdziesięciu ozdobionych autografami gitar i roztrzaskać mu ją na głowie.

- To twój trzeci drink! Ale któżby liczył. Dasz radę prowadzić?

- Chcesz jeść? - odparł, odstawiając szklanę. - Zjesz coś...

- Smażonego w głębokim tłuszczu - dokończyłam. - Niech to będzie coś smażonego w głębokim tłuszczu.

W Dyer's (gdzie smażą w głębokim tłuszczu nawet drożdżówki) pożarłam obrzydliwie pysznego, smażonego w głębokim tłuszczu, podwójnego cheeseburgera. Jakież on był dobry! Dla miesięczkującej kobiety taki cheeseburger to niebo w gębie. Ja zjadłam swojego z talerzem paprykowo-serowych frytek (nie pytajcie, co to takiego)

i czekoladowym koktajlem. Kiedy było już po wszystkim, poczułam, jak południe znowu wraca do łask. Tym razem w moim żołądku.

- O Boże. Przeżarłam się - jęknęłam. - To było pyszne. Czas do łóżka.

- Nie odwiedziliśmy jeszcze żadnego klubu - odparł Snob.  
- Zabawa dopiero się zaczyna.

- Idź więc - przerwałam mu. - Ja wezmę taksówkę do domu.

- O czym ty mówisz? Jaką taksówkę? Jakby to wyglądało? Idziemy do klubu. Chcę się napić i zatańczyć z tobą.

- Mój samolot odlatuje jutro wczesnym rankiem. Muszę się wyspać. Dobranoc.

Wyszedł za mną na ulicę, podczas gdy ja starałam się znaleźć taksówkę.

- Przestań - powiedział.

- Nie musisz płacić - odparłam. - Stać mnie na wzięcie taksówki.

- Dobrze. Wracamy do domu. Boże. Gdzie myśmy zaparkowali?

Ach, ta genialna pewność siebie. Trzy Jagodowe Wzgórza i *Gdzie myśmy zaparkowali?* Świetnie. Powinnam była rozwalić mu łeb gitarą z autografem Aerosmith, kiedy miałam jeszcze szansę. Nawet nie poczułby różnicy.

W chwili, gdy dziękowałam Chrystusowi za to, że dowiózł mnie i moje czerwone baletki bezpiecznie do domu i wreszcie zakończył naszą piętnastogodzinną, miłosną randkę śmierci, usłyszałam ciche pukanie do drzwi.

Niech to szlag.

- Gigi? Śpisz?

-Tak.

- *Che*, widzę światło. - (Niech to cholerny szlag). -Mogę przez chwilę z tobą porozmawiać? Proszę?

- Idź spać.

- Proszę?

Cholera. Choleracholeracholeracholeracholera.

Założyłam okulary, kimono i lekko uchyliłam drzwi.

- Naprawdę przepraszam, *che* - zaczął. - Wiem, że jesteś zdenerwowana.

- Jestem zbyt zmęczona, żeby się denerwować - odparłam.

- Która godzina?

- Możemy porozmawiać? Proszę? Chodź, posiedź ze mną na moim łóżku. Chcę tylko porozmawiać. Nie zostawiajmy tak wszystkiego.

Dałam się przekonać, myśląc, że jeśli faktycznie z nim rozmawiam, pójdę szybciej spać. Sypialnia Snoba przypominała hollywoodzki plan zdjęciowy z filmu „Zaginiony horyzont”. Szmaragdowe Miasto. Panowała w niej atmosfera Art Deco Streamline Moderne z ciemnymi ścianami i wiszącym u wezłowia srebrnym lustrem w kształcie słońca. Ogromnych rozmiarów łóżko było geometryczne i całe intarsjowane drewnem. Usiadłam na kołdrze w brązowo-czarną jodełkę. Jedyne światło pochodziło ze stojącej na nocnym stoliku, matowej lampki w kształcie grzyba.

- Ciekawa lampka - zaczęłam. Jej podstawa została wykonana na kształt klęczącej, nagiej łuczniczki, gotowej w każdej chwili wypuścić skierowaną na północny wschód strzałę.



- Dziękuję, to Laliq - odparł Snob; siadając naprzeciw mnie. Nie miał na sobie nic, prócz ściąganych tasiemką, bawełnianych spodni od pizamy, które prawdopodobnie zobaczył w GQ. Spodnie były w drobną szaro-białą jodełkę. Wówczas po raz pierwszy zobaczyłam jego ciało. Jego pozbawiona włosów skóra była jędrna i gładka. Widać też było, że regularnie ćwiczył.

- Twoja pizama pasuje do sypialni - powiedziałam.  
-Naprawdę dbasz o szczegóły. Cieszę się, że założyłam meksykańskie kimono.

- No co, jest urocze - odparł.

- Niezgodność charakterów.

- Posłuchaj, *che*, wiem, że przesadzałem na naszych randkach - rzekł, trzymając mnie za rękę.

- Nie ma sprawy - odparłam. W tym momencie wybaczyłabym mu wszystko. Ach te mięśnie!

- W mym szaleństwie jest jednak metoda. Pochylił się i pocałował mnie. Cholera, trzeba przyznać, że był w tym dobry.

Raz-dwa i znów byliśmy tamtej nocy na plaży w Miami Beach. Wiedziałam, że nic się nie wydarzy (byłam przecież w poważnym, menstruacyjnym nastroju), ale może mimo wszystko Snob miał rację. Może ten moment faktycznie był prawdziwym początkiem naszej pięknej przyjaźni. Nagle wszystko złagodniało. Moje nastawienie. Jego czarne loki. Położyliśmy się na boku, patrząc na siebie w świetle lampki Laliq.

- Wiesz - powiedział Snob, głaszcząc moje ramię opuszką palca - w teorii Freuda kobieca vagina jest uzbrojona w podwójny rząd ostrych, długich zębów. Jak

paszcza rekina. A kiedy mężczyzna wkłada w nią swego penisa, zęby go miażdżą. CO?

Nie wiedziałam, czy płakać, krzyczeć, śmiać się czy go ugryźć. Oczywiście moją waginą. *Aż pojawił się pająk, który usiadł tuż za nią i wystraszył Miss Muffet na śmierć.* Mój Boże, czy on był Rayem Millandem, a ja Grace Kelly w „M jak Mentalne Miażdżenie”? Nie było to szlifowanie szmaragdów, o jakim ja i Boginka kiedykolwiek myślałyśmy. Wstałam i powoli odsunęłam się od masywnego łóżka.

- Czy naprawdę jesteś lekarzem? - spytałam. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam, po prostu słowa same ze mnie wyskoczyły.

-Co?

- Chodzi o to, że twój pager nawet raz nie zadzwonił. Mój ojciec jest lekarzem i nawet kiedy nie dyżuruje pod telefonem, jego pager jest ciągle włączony.

- Jesteś zabawna, *che*.

- I nigdy nie wspominasz o swoich pacjentach. Nie pokazałeś mi nawet, gdzie pracujesz.

- Przejeżdżaliśmy obok Św. Judy. W drodze do...

- Każdy może przejeżdżać obok Św. Judy. Nawet duch Elvisa Presleya mógłby tamtędy przejeżdżać w swoim różowym Cadillacu. Ale to by nie oznaczało, że tam pracuje.

- Chcesz iść na grilla, a później pooglądać w szpitalu chore dzieci?

- Św. Juda. Czy to nie patron od spraw beznadziejnych?

- Dobrze już, dobrze - odparł. - Karty na stół. Jestem gejem. Zadowolona? Jestem ciotą. Pedalem. Niezadekla-rowanym gejem. *Un maricón*. Nie ma ludzi gorszych ode mnie. Zwłaszcza jeśli chodzi o Amerykę Południową. Nikt o tym nie wie. Ani rodzina, ani przyjaciele.

- Graciela i Jorge...

- Nie mają pojęcia. I byłbym wdzięczny, gdybyś im nic nie mówiła.

Spytałam, co w takim razie mam im powiedzieć. Przecież Graciela już nadawała imiona naszym nienarodzonym dzieciom (Juan i Liberace).

- Ona uważa, że jesteś *oro puro* - powiedziałam. - Złotym chłopcem. - W tej sytuacji nawet piryt miedziany byłby bardziej złoty. Jeśli chodzi o ludzką naturę, powinnam zawsze słuchać zmarłych poetów, jak Robert Frost:

*Zwykleje w liść natychmiast potem. Tak Eden zszarzał nam w zgryzotę, Tak świt nam blaknie w światło dnia. Wszystko, co złote, krótko trwa.*

- Powiedz im, co chcesz - odparł Snob. - Tylko nie mów im prawdy.

- Dobrze - zgodziłam się. - Powiem, że wszystkiemu winna... chemia.

- Nie. Potrzebuję zielonej karty. Byłabyś doskonałą narzeczoną.

- Narzeczoną? Chyba masz na myśli fikcyjną narzeczoną.

- Narzeczona, fikcyjna narzeczona. Co za różnica? Z braku lepszego słowa. Mogłabyś mieć romanse, pod warunkiem, że byłabyś dyskretna.

- Rozochoc i oszukaj - powiedziałam, kierując się ku drzwiom. - Znasz to powiedzenie? Bo nie przychodzi mi cło głowy lepszy argument na zalegalizowanie homoseksualnych małżeństw. Jezu.

- Pomyślisz o tym? Po prostu rozważ to.

- Buenas noches.

Delikatnie zamknęłam drzwi i wróciłam do swojego pokoju.

Moje czerwone pantofelki leżały dokładnie tam, gdzie je zostawiłam - na podłodze, obok walizki. Wsunęłam je na nogi, zamknęłam, oczy i trzykrotnie uderzyłam piętami o siebie.

Dorothy miała rację.

I *wielbiała* czerwone róże.

## Rozdział 4

### Kolczyki z Masy Perłowej

Każda kobieta powinna mieć w swojej przeszłości jednego nieszczęśliwego, pełnego smutku poetę. To taki romantyczny obowiązek. Wprawiasz go w zdumienie swoją baśniową angielszczyzną i młodością, w zamian za co on zabije cię (delikatnie) swoimi wypalonymi, dojrzałymi wierszami o miłości, przygnębiającymi nastrojami i NIEWIARYGODNYMI orgazmami. To jak wielkie widowisko w Dzień Niepodległości, jak maleńki, pastelowy wibrator. Jak facet, na którego widok momentalnie tracisz przytomność. Naprawdę.

A konkretnie: jeśli zamierzasz wziąć sobie za kochanka melancholijnego, sprośnego poetę, a Leonard Cohen jest niedostępny, musisz wybrać poetę-kowboja. Tego właśnie argumentu używałam, drocząc się ze swoim kochankiem, który był równie kowbojski, co Ralph Lauren.

Był zmysłowym i ekscentrycznym człowiekiem pióra. Uwielbiał wszystko, co wiązało się z seksem, wyznając zasadę „im bardziej niegrzecznie, tym lepiej”. Kochał również Zachód i to, że mógł zmieniać jego wszechobecną

nicość w coś namacalnego - w poezję. Samotność Wielkiego Nieba, którą autorka Gretel Ehrlich nazywała „Pociechą otwartych przestrzeni” (taki jest również tytuł jej lirycznej, zachodniej książki<sup>7</sup>) była jego tematem przewodnim. Ona, tajemnicze zawiłości ludzkiego serca i innych organów.

Aby wspierać swoją poezję, mój Kowboj-Poeta pracował jako redaktor naczelny i polemista. Jego lewicowe, nonkonformistyczne i przeciwne cenzurze poglądy były widoczne jak na dłoni. To wyraźnie bolało ludzi w jego zdecydowanie republikańskim stanie, zwłaszcza skrajnie konserwatywnych polityków. Uwielbiał ten efekt ucierania nosa burżuazji i szokowania klasy średniej. Stanowiło to swoistą rebelię przeciwko Człowiekowi, który był... każdym, kto się z nim nie zgadzał. *Przeciwko czemu się buntujesz, Johnny? Co tam masz?*

Skomplikowana osobowość mojego kowboja miała zadziornie seksowny odcień wściekłości i walki. Był wrażliwym, zazdrosnym, łatwym do zranienia uciekinierem z Nowego Jorku, który po nieudanym małżeństwie zbiegł na Zachód, aby oczyścić swą umęczoną duszę mieszczaucha, i nigdy już nie powrócił. To znaczy nigdy już nie wrócił na dobre. W przeciwnym wypadku w ogóle byśmy się nie spotkali. Ze swą miękką, przyprószoną siwizną brodą, dużymi okularami i lubieżnym śmiechem był niczym ziemski intelektualista, wcielenie Bestii, niegdysiej-

<sup>7</sup> Książka nie została przetłumaczona na język polski.

szy rzymskokatolicki Allen Ginsberg ryczący na... hmm. Ograniczenie. Nie nosił nawet zegarka, bo ten ograniczał jego nadgarstek.

Nigdy jednak nie krzyczał na mnie, no może za wyjątkiem chwil uniesienia.

Poznaliśmy się przez telefon, kiedy pewnego dnia zadzwonił do mojego biura. W rezultacie zostaliśmy telefonicznymi przyjaciółmi, przy czym on miał ten zmysłowy głos, idealny dla poety-kowboja. Chropowaty, ale słodki. Niczym Chris Isaak w zapadającej w pamięć, przejmującej piosence „Wicked Game”. *Świat stanął w ogniu i tylko ty jedna mogłaś mnie ocalić. To dziwne, do jakich niemądrych rzeczy popycha nas pożądanie.* Do tego boski, biało-czarny klip wyreżyserowany przez Herba Rittsa, z Heleną Christensen w roli kochanki Chrisa Isaaka - o mój Boże. W teledysku oboje byli na plaży, a ona drażniła się z nim swymi świetlistymi, bladozielonymi oczami i opadającym ramiączkiem czarnego, koronkowego stanika - o Boże. Zupełnie jak w przesłaniu tej piosenki, mój Kowboj pragnął, i choć był zdolny do zaspokojenia, nie był zdolny do spełnienia.

Po kilku latach flirtu i zwierzeń na dystans staliśmy się wirtualnymi, a w końcu również realnymi przyjaciółmi. Był mężczyzną zniewieściałym, nigdy jednak kobieciarzem. Jego kobieca strona była bardziej rozwinięta i wyraźna niż u któregokolwiek ze znanych mi mężczyzn. Sekret jego „fajności” tkwił w umiejętności słuchania i wczuwania się w sytuację innych, bez poddawania ich osądom. Był *świetnym* słuchaczem. Niezwykle oddanym i zaangażowanym. A do tego *doskonałym* kochankiem. Właściwie był tym rodzajem kochanka, o którym

wiesz, że nie dorówna mu żaden inny. (I może w ogóle nie powinien mu dorównywać). Typem kochanka (a co tam, przywołajmy postać Leonarda Cohena), w którym odnajdujesz to, czego zawsze pragnęłaś: zmysłowość, uczuciowość, zaangażowanie, wrażliwość, wyobraźnię i oszałamiający erotyzm.

No i świetnie pachniał. Świeżo jak powietrze tuż przed pierwszym śniegiem. Kiedy owijał się wokół mnie swoim dużym, długim, ciepłym ciałem, czułam się maleńka. Wytworna. Jak gdybym mogła wślizgnąć się do jego kieszeni albo przycupnąć na wachlarzu jego rzęs. Mój terapeuta zwykł mawiać: „Czwarty Lipca nie może być za każdym razem, kiedy się spotykacie. To niemożliwe”. Przysięgam jednak, że to było jak fajerwerki. Za każdym razem. Jeśli chodzi o zodiakalne raki, seks z nimi zawsze łączy się z uczuciami i emocjami. W końcu to wodny znak podporządkowany księżycowi.

Poeta-Kowboj miał w roku kilka okazji, aby przybywać na wschód. Przyjeżdżał więc, aby czytać wiersze, rozmawiać o polityce lub dlatego, że nie był już w stanie znieść zachodnich bajgli (angielskich bułeczek z wybitą w środku dziurą). Zapraszał mnie, abym mu towarzyszyła. Reagowałam na to zawsze wielkim podnieceniem, wyobrażając sobie różne scenariusze dla moich ubrań, najczęściej zdjętych i leżących na podłodze. Reprezentował sobą wszystko to, do czego sama dążyłam: dojrzałego pisarza z porażającym seksapilem.

Kiedy moja jasnowidząca, hollywoodzka przyjaciółka Kimberly Berg mówiła: „Pozwól, aby to oni do ciebie przychodzili, to ty masz wiele do zaoferowania”, nie docierało to do mnie. Zawsze myślałam, że to ONI mają



wiele do zaoferowania i że to ja muszę podążać za NIMI. Naturalnie jest to podejście, które Dr Phil nazwałby „śmierdzącym myśleniem”. Zastanawiam się, czy Dr Phil lubi „Wszystko o Ewie”, tak bardzo jak ja. Jest tam jedna, cudowna scena (choć oczywiście cały film jest fantastyczny), którą praktycznie znam na pamięć. Eve i Bill są sami w garderobie Eve. Eve przystawia się do Billa, który jest zakochany w Margo. Mimo to mówi Eve, że jest jej ciekaw, na co ona radzi mu, aby się „dowiedział”. Wówczas Bill odpowiada: „Jedna, istotna rzecz - to, za czym się ugamiam, jest tym, za czym chcę się ugamiać. Nie chcę, aby TO ugamiało się za mną”. Słyszając to, Eve zaczyna szlochać, na co Bill mówi jej: - „Nie płacz. Po prostu potraktuj to jako nieprecyzyjne podanie do przodu”.

Tak było w roku 1950. Czy od tamtej pory rzeczy naprawdę tak bardzo się zmieniły? Czy właśnie dlatego jestem sama? Ponieważ patrząc na rezultaty, muszę robić coś źle. Dr Phil mówi, że mężczyźni są z natury trudni do zdobycia. *Ścigam, więc jestem*. Ale jeśli powiem: „Świetnie! Przyjdź i weź mnie, skarbie!”, czy jestem skazana? Czy nie mogę dać im do zrozumienia, że ich lubię, bo jeśli to uczynię, nie docenią mnie i stracą zainteresowanie?

Jeśli jednak zrezygnowałabym z ugamiania się za mężczyznami, nie miałabym mojego różowego płaszczyka, brzoskwińowych majteczek, czerwonych baletek ani nieznośnie pięknych kolczyków z masy perłowej od Bergdorfa Goodmana. Dostaję każdy katalog Bergdorfa pocztą i godzinami gapię się na te boskie zdjęcia. Zadają mi one katusze, ponieważ symbolizują świat niedostępny dla biednej dziewczyny z niepraktycznie drogim gustem. Mówię wam, dobry smak to przekleństwo. W każdym

razie w jednym z katalogów Bergdorfa zobaczyłam Te Kolczyki. One po prostu rzuciły mi się w oczy, wykrzykując moje imię. Te Kolczyki nawiedzały mnie nawet w snach. Śniłam o nich tak, jak śniłam o swym Kowboju - lubieżnie. Kiedy nie mogłam już tego znieść, budziłam się. Ale wówczas śniłam o nich na jawie, wyobrażając sobie, jak idealnie pasowałyby do moich fantastycznych ubrań na kolejnej schadzce.

Spotykając się z Kowbojem, zawsze zakładałam perły, ale wiedziałam, że w perłach od Bergdorfa wyglądałabym wyjątkowo; wyjątkowo powalające. Dzięki nim moja miłość opamiętałaby się, porzuciła te cholerne Góry Skaliste i na dobre powróciła na wschód, dla *moi*. Po prostu potrzebowałam Tych Kolczyków. Tych Kolczyków! Tych Kolczyków!

Dwieście dwadzieścia pięć dolarów.

Westchnienie.

DOBRA GIGI: *Czyś ty oszalała? Nie mogłabyś usprawiedliwić tego zakupu, nawet gdybyś była kompletnie zaćpana. Masz wypchaną szufladę pełną pięknych, perłowych kolczyków w każdym kolorze, kształcie i rozmiarze. Idź lepiej spać. Zapomnij o tym. Jesteś już dużą dziewczynką. Umiejętność powiedzenia sobie „nie” jest oznaką - halo! - dojrzałości. Twoje życie jakoś się potoczy bez wartych 225\$ kolczyków z masy perłowej.*

ZŁA GIGI: Widzisz! Wszystko, co przed chwilą powiedziałas, jest tak błędne, że sama już nie wiem, od czego zacząć. Po pierwsze, potrafię żyć bez sarkazmu.

DOBRA GIGI: *Masz rację. Przepraszam.*

ZŁA GIGI: Potrafię też przeżyć miesiąc bez jedzenia.

Przejdę na moją TaBowo-Parliamentową dietę. Mało tłuszczu, dużo błonnika. DOBRA GIGI: *(szokująca cisza)*.

ZŁA GIGI: Jeśli masz założyć jeden element biżuterii, niech to będą kolczyki. To one nadają ci ostatecznego uroku, stanowią oprawę twojej twarzy i karnacji. Żadna kobieta nie może mieć zbyt dużo perłowych kolczyków! Pomimo filmu ze Scarlett Johansson to ja jestem PRAWDZIWAŹ *Dziewczyną z perłą* z portretów Johanna Vermeera. Moimi pierwszymi kolczykami były maleńkie perełki, a wówczas byłam jeszcze dzieckiem! Moje roszczenia w tej kwestii są więc jak najbardziej uzasadnione. Co więcej, każda dziewczyna potrzebuje aspiracji, a katalogi Bergdorfa Goodmana to właśnie oferują. Są jak sny. Chcę Tych Kolczyków.

DOBRA GIGI: *Wiem, jak bardzo podobają ci się te kolczyki. Przyznaję, że są piękne i miałabyś je na zawsze. Kupienie ich, to jak dobra inwestycja.*

ZŁA GIGI: Dokładnie! Dziękuję!

DOBRA GIGI: *Chwileczkę, panienko. A co z twoimi kolczykami z Metropolitan Museum of Art? Czy nie są one niemalże identyczne? Bądź szczerą.*

ZŁA GIGI: Są absolutnie TAK niepodobne, że czuję się zakłopotana, prowadząc tę rozmowę. Te od Teda Muehlinga są wypukłymi kołami, a te od Meta to najzwyklejsze w świecie łożki. Kompletnie różne. Te od Meta nazywają się Wenus, ponieważ są wzorowane na... zczekaj, zaraz znajdę ich kopię w katalogu... „noszone przez rzymską boginię miłości w 'Wenus przed lustrem'... na słynnym obrazie Petera Paula Rubensa

(Flamandczyka 1577-1640)". Na obrazie Wenus nie ma na sobie nic poza bransoletką i parą perłowych kolczyków w kształcie łez (jeden z nich jest biały, a drugi - widoczny w lustrze - czarny.) Te Kolczyki zostały stworzone we współpracy z Princely Collections, Liechtenstein. Są powlekane 24-karatowym złotem, z ręcznej roboty szklanymi perełkami. Długość około 3 cm; szerokość 1,27 cm. Dostępne również z białymi perełkami. Komplet z jedną perłą białą, drugą czarną, oraz z czarnymi perłami - niedostępne. Cena członkowska: 43,20\$ za sztukę, cena dla klientów niebędących członkami klubu 48.00\$ za sztukę.

DOBRA GIGI: *Do czego zmierzasz?*

ZŁA GIGI: (głucha cisza).

DOBRA GIGI: *Jesteś tam?*

ZŁA GIGI: On już mnie w nich widział!

DOBRA GIGI: *Kiedy?*

ZŁA GIGI: W ubiegłym roku. Pamiętasz? W Maryland, podczas czytania poezji. Miał na sobie tę koszmarną, luźną, kolorową koszulę i stare sztruksy, a ja nie odezwałam się nawet słowem.

DOBRA GIGI: *Miał na sobie luźną, kolorową koszulę? Musiałam pominąć ten szczegół.*

ZŁA GIGI: A później powiedział mi, że wyglądam jak zachodnia panna młoda. Widzisz? To znaczy, że MYŚLI o tym. „Kolejna panna młoda, kolejny czerwiec, kolejny słoneczny miesiąc miodowy<sup>1</sup>”.

DOBRA GIGI: *Nawet jeśli tak powiedział, TO CO Z TEGO? To perłowe kolczyki! Mówisz, jakby facet miał zauważyć, które kolczyki nosiłaś w danym dniu! Oni nawet*

*nie są w stanie zapamiętać, co jedli rano na śniadanie!*

ZŁA GIGI: TO był taki piękny strój. Skomponowanie go zajęło mi całe wieki. Co byś założyła na pierwsze czytanie kowbojskiej poezji, żeby nie wyglądać jak Dale Evans?

DOBRA GIGI: *Może luźną, kolorową koszulę?*

ZŁA GIGI: TO był biały pulower z długim rękawem, przypominająca bluzę sportową polarowa sukienka od Normy Kamali, dopasowana w talii i asymetryczna u dołu. Dookoła szyi biały koronkowy szal, na nogach kryjące białe rajstopy, blad różowe kowbojki na stopach, a do tego kolczyki od Meta i mnóstwo perełek od Carolee.

DOBRA GIGI: *TO był dobry zestaw. Przyznaję.*

ZŁA GIGI: Później, tego samego wieczoru, usiadłam na skraju łóżka, a on powoli zdjął moje małe kowbojki. Położyłam się na narzucie, zamknęłam oczy, a serce biło mi jak oszalałe. Byłam Molly Bloom *taktaktakpowiedziałamtak* i wszystkim, co słyszałam, był dźwięk odpinanej sprzączki. Jakież to podniecające. To była najbardziej seksowna rzecz, jaka przydarzyła mi się w życiu.

DOBRA GIGI: *Tak się cieszę, że nie jestem prawdziwą tobą.*

Na nadchodzącą randkę chciałam wyglądać inaczej. Oczywiście nadal delikatnie i kobieco, ale z pazurem. Była zima i pragnęłam czerni. Mój Kowboj przyjeżdżał do miasta, aby odebrać nagrodę „Playboya”. Nie żartuję. Każdego roku, od 1979 roku, Playboy Enterprises, Inc.

wręcza nagrodę Hugh M. Hefnera „osobom, które przyczyniły się do ochrony i wzmocnienia Pierwszej Poprawki w konstytucji Stanów Zjednoczonych, dotyczącej praw człowieka". Do tej pory zdobyli ją między innymi: Michael Moore, Bill Maher, oraz Penn & Teller.

Delikatnie sugerowałam Kowbojowi, aby postawił wszystko na jedną kartę i kupił sobie przyzwoity garnitur i krawat, jako że nie posiadał żadnego z nich. Jego alternatywą dla luźnej, kolorowej koszuli (kiedy ta akurat była w praniu) była archaiczna, tweedowa marynarka z łatami na łokciach, szeroka koszula z kołnierzykiem przypinanym na dwa guziki, błękitne sztruksy, zdarte z wierzchu zamszowe buty i - przysięgam na Boga - męska apaszka. Mój Kowboj posiadał całą szafę apaszek.

Zgoda, Cary Grant i Fred Astaire nosili damskie apaszki, ale przynajmniej nosili je z klasą. Mój Kowboj nosił swoje ze swobodną, gwiazdorską pewnością. To był jego osobisty sposób na wyrażanie siebie. A któż wie więcej o wyrażaniu siebie, jeśli nie ja? Halo. Szanuję to. Żyję tym. Mimo to uważam, że męska apaszka nie jest dobrym substytutem porządnego krawata. Po prostu nie jest. I nigdy nie będzie.

- Jesteś zwycięzcą - powiedziałam, odwołując się do jego ego. - To takie wyjątkowe! To naprawdę wielka, wielka sprawa. Zaszczyt i przywilej. Zwycięzcy noszą piękne garnitury, frakowe koszule, krawaty i lśniące buty. To takie seksowne.

- Naprawdę? - spytał.

- Absolutnie. Gdybym zobaczyła cię w czymś takim, od razu bym na ciebie wskoczyła.

- I tak na mnie wskakujesz.

- Wiem, ale wtedy NAPRAWDĘ bym na ciebie wskoczyła.

- Te łąchy kosztują mnóstwo szmalu, dziecinko - odparł. - Nie mam takiej forsy.

Powiedziałam, że mogę przymknąć oko na garnitur, frakową koszulę i dobre buty (w końcu miłość polega na negocjacjach i kompromisach - choć to strasznie upierdliwe - dlatego trzeba ostrożnie wybierać pole walki), ale apaszka musiała ODEJŚĆ.

- Proszę, kochanie, załóż krawat - rzekłam słodkim głosem. - Dla mnie.

-Nie.

- Kupię ci go - zaproponowałam radośnie. - To będzie wczesny, bożonarodzeniowy prezent. Jedwabny!

-Nie.

- Po wszystkim pozwolę ci się nim związać. Co ty na to? - To był bardzo „Nagi instykt”.

- Hmm.

- Dobrze?

- Przykro mi, skarbie. Nie. Poza tym, widziałem, jak Hef nosił apaszki.

- Gdzie? W którym momencie Hef nosił apaszki?

- Nie pamiętam. Wiem tylko, że nosił. Naprawdę.

- Dobrze. Nie będę dyskutowała na temat tego, czy Hugh Hefner jest, czy też nie jest wielbicielem apaszek. Chcę tylko powiedzieć, że zastanawiam się, jak przeżyć na TaBie i Parlamentach dla TWOJEJ chwili sławy. Czy naprawdę ten jeden raz nie możesz mi się podlizać? To wszystko dla TWOJEGO dobra.

- Cóż...

- Dobrze?

-Nie.

- Dlaczego NIE?

- Te kolczyki są dla CIEBIE, skarbie. Nie dla mnie. Wiecie co to jest? Ja wiem. To ta twarda skorupa, którą mają niektórzy z nich. Raki. To Raki. Nie można im nic powiedzieć. Powinien być parą postrzępionych kleszczy pędzących po dnie cichego morza. W APASZCE. Przysięgam na Boga, rzuciłam perły od Bergdorfa Goodmana przed najprawdziwszego wieprza. Rzuciłam je przed skorupiaka.

Posłuchajcie. Jeśli kobieta o niebywałym guście i stylu oferuje swą pomoc Kowbojowi o niebywałym... niczym, a on ma czelność jej odmówić, to co jeszcze można zrobić? Zadzwoń do Bergdorfa Goodmana i zamówić Te Kolczyki. A skoro już przy tym jesteśmy, należy również zamówić zabójczy, czarny, moherowo-kaszmirowy pulower z odkrytymi ramionami. To nauczy skurwiela (przynajmniej do czasu, gdy nie przyjdzie rachunek z karty Visa). To, że uważa, iż apaszka czyni go „buntownikiem”, wcale nie oznacza, że ja muszę poddać się tym trendom. *Ja* buntuję się, kupując kolczyki, na które mnie nie stać.

Tydzień później przybyła moja paczka od Bergdorfa Goodmana. Żeby spokojnie otworzyć te niebiańskie, srebrne pudełeczka z wytłoczoną nazwą sklepu i cyklamenową fasadą Piątej Alei, musiałam zażyć Ativan. Najpierw sweter. Bibułka. Bibułka. Oooo! To było *dobrze*.

Sweterek powstał w 525 America. Był lekki niczym zefirek, doskonale dopasowany, miłutki w dotyku, sięgający uda, z głębokim dekoltem, który w razie potrzeby można było zsunąć z ramion. (Zdecydowałam się na tę opcję, aby podkreślić ramiona i Te Kolczyki).



Teraz Kolczyki. Uspokój się moje galopujące serduszko. O... mój... Boże, ZAKOCHAŁAM się! Były to grube, opalizujące, dyndające, owalne kolczyki, długie na 5 centymetrów, szerokie na 2 centymetry, wykończone u góry delikatnym, dziesięciokaratowym złotem z haczykami z czternastokaratowego, lśniącego złota. Nie chcąc niczego zeszpecić, założyłam parę bawełnianych rękawiczek i przymierzyłam je. Jejku! Będąc na jego miejscu, oszalałabym na swoim punkcie.

Nadszedł czas, aby przymierzyć resztę mojego *Play-boyowego* stroju. (Żadnych różowych króliczych uszek ani bawełnianych ogonków - przynajmniej do zakończenia gali). Kolczyki. Sweter z 525 America założony na szyfonową spódnicę w kolorze kości słoniowej, którą miałam na sobie tysiąc lat temu w The Forge. Pamiętacie? Uwielbiam opierające się wszelkim trendom, ponadczasowe ubrania. Są takie długowieczne i uniwersalne. Mogę bez końca dopasowywać je do kolejnych pór roku i mężczyzn. Dobre ubrania zawsze przetrwają złych „byłych” i mają swe zastosowanie pomimo upływających lat. Mogę założyć szyfonową spódnicę na spotkanie z moim Leonardem Cohenem w Waszyngtonie, a dla niego będzie to zupełna nowość.

Na czym to stanęłam? Ach, tak! Kryjące, czarne pończochy. Czarne, aksamitne buty na niskim obcasie. Mała, czarna, aksamitna torebka (ozdobiona po bokach maleńkimi złotymi krzyżykami) ściągana tasiemką, z plecionym, czarnym, jedwabnym uchwytem i dyndającymi pod spodem drobnymi frędzelkami. Żadnych innych dodatków. Tylko pociągnięte Gladiatorem usta. *Oto prawdziwa poezja.*

Przyleciał do miasta w przeddzień ceremonii, tak więc mogliśmy spędzić ze sobą trochę wysokooktanowego czasu. Takie schadzki zawsze wypadają cudownie, kiedy odbywają się w pełnym przepychu hotelowym apartamencie, za który płaci ktoś inny. Dzięki ci, „Playboyu”. (Choćby za ten minibar. Jejku!). Po tym, jak naszym głośnym zachowaniem zraziliśmy do siebie hotelowych gości i obsługę, założyliśmy na siebie mięciutkie szlafroki i przypuściliśmy perfidny atak na hotelowe menu. Czy istnieje coś lepszego niż idealne jedzenie po idealnym seksie? Nie. Dzięki ci, „Playboyu”.

Poeta i ja dzieliliśmy się prawie wszystkim, tak więc owa dekadenska kolacja była równie podniecająca, jak mogłaby się wydawać. Naprawdę sprośna w swojej baśniowości. Zaczęliśmy od przepysznego Chardonnay z winiarni Napa Valley, o wdzięcznej nazwie *Cakebread*. (Czyż to nie piękna nazwa? *Cakebread*. Brzmi niemal baśniowo). Do tego talerz wielkich jak pięć grzybów, nadziewanych sporymi kawałkami krabów, miska zapiekanej zupy cebulowej i sałatka Cezara. (Osobiście mogłabym na tym poprzestać, ale po co zatrzymywać się w pół drogi? Przecież ostatnie dwie godziny spędziłam, wrzeszcząc: „Nie przestawaj!”). Następnie przyszła kolej na wino Behringer Cabernet Sauvignon, skandalicznie pyszne steki z gęstym sosem béarnaise (moim ulubionym. Mogłabym go pić wprost ze srebrnego dzbanuszka), grillowane szparagi z masłem cytrynowym i frytki, które bezceremonialnie zanurzyłam w keczupie. Dopiliśmy wino i zrobiłam sobie długo wyczekiwaną przerwę na Parliamanta. W końcu czekało na mnie jeszcze ciasto Czekoladowy Grzech, obsypane kruszonką z makada-

mii. Taaak! Rozkruszyć kruszonkę, rozgnieść skorupę kraba, dorwać się do mięszu!

- Wiesz, moglibyśmy tak codziennie - powiedziałam, wypuszczając dym. Po dużym, obfitym posiłku było mi niezmiernie dobrze. - Tak mogłoby wyglądać nasze życie.

- Tak? - spytał, chichocząc. - To jest *sen*, kochanie.

- Nie, nie chodzi mi o to - odparłam. - Nie o to. O *to*. Ciebie i mnie.

Podał mi kawę w porcelanowej filiżance ze złotymi zdobieniami i takim samym spodeczkiem. Porcelanową biel pokrywał skomplikowany wzór splecionych ze sobą, błękitnych, lawendowych, pomarańczowych i zielonkawych kwiatów oraz złotych girland. Złoczone akcenty przypominały mi obraz Gustava Klimta „Pocałunek”.

- Mam na myśli kolację i rozmowy - powiedziałam, spinając włosy spinką ze skorupy żółwia. - Picie wina, kochanie się i... takie tam. Rozumiesz? Jak kwiaty na filiżance. Splecionych.

Odstawiłam filiżankę na stół, dopaliłam papierosa i odwróciłam spodeczek do góry dnem.

- William Yeoward - powiedziałam.

- Co? - spytał, siadając obok mnie na krawędzi łóżka. Schrupał kawałek kruszonki z makadamii, a kolejny wepchnął mi do ust. To była potwornie dobra kruszonką.

- Porcelana. Jest na niej napisane, że została wyprodukowana w Anglii, przez kogoś nazwiskiem William Yeoward.

- Hej, kiedy zobaczę twoje nowe kolczyki?

- Jutro wieczorem - odparłam, zanurzając palec w słodko-gorzkiej polewie i wkładając go do ust. Mmm...

Czekoladowy Grzech w pełni zasługiwał na swą nazwę.  
- Teraz nie możesz ich zobaczyć. To przynosi pecha.

- To samo mówią o sukniach ślubnych.

- Tak, mój ty panie młody - odparłam. - Tak właśnie mówią.

- Masz takie ładne oczy. Błyszczące. - Mówiąc to, wziął mnie w ramiona i namiętnie pocałował. Poczułam, jak pocałunek przetacza się po moim ciele. Chwilę później Kowboj zlizął z mojej brody zabłąkaną smużkę Grzechu i wyjął mi z dłoni spodeczek. Ściągnął mi z włosów spinkę. Zdjął ze mnie szlafrok. Odłożył na bok moje okulary. Pieścił całe moje ciało dotykiem tak ciepłym i gładkim, jak sos béarnaise i Grzech.

- Są ładne, ale nie widzą - wymamrotałam, zamykając oczy. - Nie widzą pana młodego.

- Co? - szepnął, odchylając mnie na łóżku.

- Moje oczy - odparłam z westchnieniem. - Nie widzą pana młodego.

- Nigdy się ze mną nie ożeni - powiedziałałam Jean-Paulowi, podając mu leżący na kolanach kawałek aluminiowej folii. Był poranek następnego dnia. Podczas gdy mój Poeta-Kowboj odbierał przy śniadaniu nagrodę „Playboya”, prowadził pogaduszki, jadł lunch i prowadził kolejne pogaduszki, ja poszłam do fryzjera, aby przygotować włosy na wieczorny bankiet. Kolor, pasemka, cięcie i modelowanie. Prawie cztery godziny siedzenia w salonie.

- Nigdi siem zie mną ni ożeni, prosię - odparł Jean-Paul.

- Tak, ale mam przecież nowe kolczyki...

Jean-Paul przewrócił oczami. Przerabialiśmy już ten temat tak wiele razy, że był on równie wyświechtany jak znoszone mokasyny Ermenegildo Zegna, które Jean-Paul miał na nogach.

- Co jeszcze jest nowe? - spytał. Jego przedziwny, lekko europejski akcent przypominał Francka Eggelhoffera, organizatora wesel w „Ojcu panny młodej”. Może tak właśnie mówią ormiańsko--libańscy chrześcijanie tacy jak Jean-Paul? Przeczesał moje długie, kręcone włosy spiczastym, czarnym grzebieniem, pochwycił folię i wsunął ją pod wybrane pasemka. Chwilę później pociągnął je gęstą, białą pastą, która miała przemienić mnie w skąpaną słońcem piękność, i używając grzebienia, złożył folię w idealną, małą kosteczkę. Zanim na moich włosach pojawiły się w końcu „naturalne” pasemka, powtórzyliśmy tę samą procedurę kilkanaście razy. Końcowy efekt zawsze usprawiedliwia wysiłek i wydane pieniądze.

Kiedy raz znajdziesz dobrego fryzjera, nigdy nie pozwól mu odejść - oto moje motto. Ja podążałam za Jean-Paulem i jego nożyczkami, szczotkami i zwiężłymi, epigramatycznymi radami na temat życia od wielu lat. Wlokłam się do Watergate, kiedy tam pracował, a teraz wlokłam się na plac Foxhall w północno-zachodnim Waszyngtonie, gdzie miał swój własny salon przy New Mexico Avenue. Nawet kiedy mieszkałam w Raleigh, w Północnej Karolinie, jeździłam do Jean-Paula (273,23 mile W JEDNĄ STRONĘ). Tu, w New Jersey, także za nim podążam. Co miesiąc.

Siedziałam pod suszarką, czekając, aż moje pasemka nabiorą koloru, sącząc kawę i czytając „W”. Zastanawia-

łam się, czy Helena Christensen też miała swego Poetę-Kowboja albo kogoś jego pokroju. Nieosiągalny (i dzięki temu jeszcze bardziej pożądany) obiekt westchnień. Helena Christensen z łatwością mogła sobie pozwolić na kolczyki z masy perłowej od Bergdorfa Goodmana. Sęk w tym, że (w przeciwieństwie do mnie) wcale nie potrzebowała kolczyków, aby zatrzymać przy sobie mężczyznę. Była po prostu Heleną Christensen.

Poeta-Kowboj był ze mną, ale nie w sposób, jakiego od niego oczekiwałam - czyli codziennie. Każdej nocy. I nie chodziło wcale o ten sam kod pocztowy. O ten sam dom. Chciałam, abyśmy byli spleceni jak Chris Isaak i Helena w teledysku „Wicked Game”. Jak kwiaty na angielskiej filiżance do kawy. Razem, we własnym łóżku. „Wszystko zależy od tego, jak blisko mnie śpisz”, śpiewał Leonard Cohen. Pragnęłam, byśmy byli dwojgiem kochanków z obrazu Toulouse-Lautreca *Le Lit* („Łoże”). Byśmy leżeli zwrócenii do siebie twarzami, błodzy, bezpieczni i spokojni, opatuleni w koce, z włosami rozrzuconymi na białych poduszkach.

Cholera.

Te Kolczyki będą musiały zdziałać cuda.

Uwielbiam hotele. Kocham wszystko, co ich dotyczy. Uczucie zniecierpliwienia, kiedy wchodzisz do nich po raz pierwszy; zupełnie jak gdyby za chwilę miało się wydarzyć coś niesamowitego. Towarzyszące im poczucie anonimowości, gdzie nawet we własnym mieście czujesz się jak ktoś zupełnie obcy. I cały ten przepych! Czysty luksus! Ustawione na korytarzach upiorne, srebrzyste maszyny do lodu. Boże, jak ja je uwielbiam! Uwielbiam

mieć łazienkę tylko dla siebie, pięć bilionów porozrzucanych kosmetyków, tłącego się w popielniczce Parliamanta i szklanki TaB z lodem (wiedząc, że w żadnym hotelu nie podają TaB, zawsze zabieram ze sobą własny sześciopak). Taka scenografia niesamowicie mnie podnieca.

Mój Kowboj zostawił notatkę pod torebką z Gladiatorami i błyszczkami, oznajmiając, że przybędzie po mnie o siódmej. Była 6:15. Moje włosy były zJeanPau-lowane do granic możliwości, lśniące i proste niczym satynowe zasłony (tak naprawdę moje włosy są kręcone, ale Jean-Paul pogardza lokami, nazywając je „tandetnymi” i prostując do granic możliwości). Włosy nad czołem spięłam czarną, aksamitną spinką z maleńkimi, czarnymi kryształkami, tak aby łatwo było zauważyć moje ramiona i Te Kolczyki. Makijaż - świeży i idealny. Do wykonania zostały mi jeszcze cztery zadania. Po pierwsze, musiałam spryskać się nowymi perfumami. Ubiegłej nocy na znak pojednania w kwestii apaszki mój Poeta-Kowboj podarował mi paryskie, kwiatowe perfumy od Yves Saint Laurent. Powiedział, że Paryż jest „szykowny, mięciutki i słodki jak ja”. (Wciąż jednak miał na sobie apaszkę). Następnie musiałam się ubrać (nigdy nie róbcie makijażu ubrane do wyjścia), założyć Te Kolczyki (hurra!) i dla uzyskania perfekcyjnego rezultatu pomalować usta szminką.

Kowboju-Poeto! Spełnij moje

Isaakowsko-Christensenowsko-Klimtowsko-Cohenowsko-Toulouse-Lautrecowskie marzenia! Natychmiast!

Dobrze. Zostało jeszcze czterdzieści pięć minut. Będzie ciężko (idealna aplikacja czerwonej szminki wymaga niesłychanej cierpliwości i precyzji), ale chyba zdążę na

czas. Zamknęłam drzwi do łazienki. Nie lubię, gdy mężczyźni zaskakują mnie, kiedy nie jestem w pełni gotowa. Kiedy odprawiam rytuały upiększające, lepiej zostawić mnie w spokoju. „Sio!” - mówię. „Sio!” - i macham pędzelkiem do pudru. „Wynocha! Wynocha!” Przecież nie chcę zepsuć całej niespodzianki.

Siódma. Usłyszałam, jak wszedł do pokoju i zawołał moje imię.

- To ja, Hugh Hefner, skarbie - powiedział, śmiejąc się. - Przyszedłem pokazać ci moją apaszkę.

- Gratulacje! - odparłam, wybiegając z łazienki. Wpadłam w jego ramiona, ostrożnie, by nie zepsuć makijażu.

- Jej, dziecinko. Jestem staruchem. Niech no na ciebie spojrzę.

- Tak się cieszę, że cię widzę! - odparłam, przytulając go i nie pozwalając mu wyslizgnąć się z moich ramion. - Jak było?

- Ja też się cieszę, że cię widzę, skarbie. Chryste, twoje włosy. To wszystko...

- Wiem.

- I pięknie pachniesz.

- To twój Paryż - odparłam. - Pachnę domem? - W jednym ze swoich wierszy Kowboj radził dziewczętom, aby „poślubiały mężczyzn pachnących domem”.

Wpuścił mnie z objęć i cofnął się, stając na wyciągnięcie dłoni. Westchnął.

- Boże, wyglądasz tak pięknie - rzekł. - Odwróć się, żebym mógł cię dokładnie obejrzeć. Chyba nie powinienem wypuszczać cię z tego pokoju. Będiesz miała mnóstwo adoratorów.



- Podobają ci się kolczyki? - spytałam, przechylając głowę tak, by mógł dotknąć jednego z nich.

- Wszystko mi się podoba - odparł, muskając moją nagą szyję i ramiona. - Są świetne. Lśnią przy twojej skórze niczym małe księżycy.

- Masa perłowa. Głęboka jak kocie oczy.

- Maleńkie ziarenko piasku, co? Zamienione w perłę. „Wenus” Botticellego.

- Hej, to ty jesteś krabem. Człowiekiem rakiem. Ty mieszkasz z innymi mięczakami pięć sążni pod wodą.

- A twoje oczy to perły te. - Bawiliśmy się Szekspirowskimi cytatami, przy czym jedno z nas zaczynało, a drugie musiało dokończyć lub chociaż spróbować dokończyć cytat.

- Muszę zacząć od początku - powiedziałam, kiedy szliśmy pod rękę w kierunku windy. W moich aksamitnych bucikach niemal sięgałam mu do tweedowych ramion. - „Pięć sążni w dół twój ojciec na dnie... A oczy jego to perły te...”

- Opuściłaś linijkę, panienko.

- Naprawdę?

- Z kości...

- Ach, tak - odparłam. - „Z kości jego wyrosły korale/ A jego oczy to perły te/Nie zginął bowiem wcale/Podlega morskiej przemianie/W coś dziwnego niesłychanie”.

Pokój pełen ludzi „Playboya” i ani śladu Hefnera? Przecież to czysta perwersja.

- Christie powiedziała, że jej ojciec nie mógł przyjechać - wyjaśnił Kowboj. - Najwyraźniej coś go zatrzymało.

- Pewnie przywiązane do łóżka jedwabne krawaty -zauważyłam.

Dookoła nas kręcili się ubrani w smokingi kelnerzy, serwując niekończące się ilości srebrnych tac z szampanem i przekąskami godnymi Marthy Stewart. Była to miła odmiana w porównaniu z tradycyjną kolacją. Jadłam, co chciałam i kiedy chciałam. Gdy Kowboj poszedł po kolejne kieliszki szampana, a duch Hefnera wciąż jeszcze unosił się w powietrzu, ja wprowadziłam w życie swój żydowski plan, który od wieków służył mojemu narodowi: Pomiń bzdury. Zdobądź jedzenie.

Pod koniec Pierwszej Rundy Polowania na Kolację byłam tak obładowana czerwonymi, płóciennymi chusteczkami pełnymi krabowych paluszków z paprykowo-limetkowym sosem aioli, oblanych melasą żeberek i chińskich kuleczek ryżowych z sosem szalotkowo-sojowym, że musiałam wrócić do stołu i zrzucić je na blat. Dopiero wówczas mogłam rozpocząć część drugą - Polowanie na Desery.

Dzięki Bogu, że mogłam zrzucić obżarstwo na siedzących przy moim stole ludzi. Poza tym w pomieszczeniu było ciemno (rozświetlały je tylko tony małych, grubych świeczek), więc jedynymi rzeczami, jakie można było dostrzec, były moje kolczyki i umalowane usta. Mimo to było na co popatrzeć. Niebawem poznałam przystojnego młodzieńca z Playboy Enterprises w Chicago, który wysunął dla mnie krzesło. Inny przystojniak z „New York Magazine” zaoferował, że przyniesie mi szampana. Kolejny młodzieniec z Los Angeles spytał, czy jestem spokrewniona z Michelle Pfeiffer. Czułam się jak panna

Scarlett na grillu, otoczona bliźniakami Tarleton ubranymi w eleganckie koszule, jedwabne krawaty i lśniące buty.

Dziękuję ci, „Playboyu”.

Młodzieniec z „New York Magazine” i mój Kowboj zjawili się przy stole w tym samym czasie. Obaj trzymali w dłoniach dwie musujące lampki szampana i obaj zmierzyli się wrogim spojrzeniem.

*Mam was!*

- Dziękuję - zaszczębiotałam. - Dajcie tu tego szampana.

- Pan wybaczy - Kowboj zwrócił się do nowojorczyka, zajmując jego miejsce. - Ona jest ze mną.

- Ależ nie ma problemu - odparł młodzieniec, podając mi szampana i siadając na innym krześle. - Jestem tylko służącym, który przyniósł pani szampana. - To chyba mój oficjalny tytuł.

- Ta kobieta jest cudowna - wtrącił mężczyzna z Playboy Enterprises. - Wyjątkowa.

- Jasne, i tak nie będę dla was pozowała - odparłam, gryząc krabowego paluszka. (Jakiż on był pyszny!). - Żadnej nagości w miejscach publicznych.

- Jest taka świeża! - wykrzyknął dziennikarz z L.A. - Właśnie mówiliśmy Gigi, jak bardzo jest podobna do Michelle Pfeiffer. Ma to coś w okolicy ust, może to ich kształt.

- Tak, a ja mówiłam im, jakimi są psychotykami - odparłam.

- Mogę z tobą porozmawiać? - wtrącił Poeta-Kowboj, delikatnie chwytając mnie za ramię.

- Przypilnujcie mojego miejsca, chłopcy - rzuciłam w kierunku stołu. - I nie zjedzcie wszystkich kuleczek ryżowych.

Kowboj zaprowadził mnie do najodleglejszego kąta. Czując, jak musuje we mnie szampan, pieszczotliwie pogłaskałam jego policzek. W odpowiedzi Kowboj ujął moją dłoń i pocałował ją. Chwilę później złapał mnie za nadgarstek. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, by dać do zrozumienia, o co mu chodzi.

- Wiedziałem, że nie powinienem wypuszczać cię z pokoju - rzekł. Słyszając to, wyrwałam nadgarstek z jego uścisku i dokończyłam szampana.

- Wszyscy chcą cię przelecieć. -I?

- Pomyślałem..., że może te kolczyki tak na nich działają.

- Masz na myśli nieodpowiednich facetów - wtrąciłam. - Kupiłam je dla ciebie.

- Tak, ale one działają tak na wszystkich. No i ten sweter. Wiesz... cała ta czerń przy twoich nagich ramionach i włosach... Zamierzam wrócić do tego przekłętogo stołu i przywalić im w pysk.

Myśląc o tym, wybuchnęłam takim śmiechem, że nieomal straciłam równowagę. *Przywalić im w pysk?* To takie staromodne. Już widziałam krzyczące z pierwszych stron gazet nagłówki: *KOWBOJ POETA WSZCZYNA AWANTURĘ NA GALI „PLAYBOYA”!* Kilkoro gości odwróciło głowy w naszym kierunku, więc przezornie zakryłam usta dłonią.

- Przepraszam - rzekłam. - Czy ty powiedziałeś „przywalę im w pysk”?

- Dokładnie tak. Nauczę ich, że nie należy romansować z moją kobietą.

- O Boże! Czy my jesteśmy na jakimś cholernym Dzikim Zachodzie?

- Owszem.

- Posłuchaj, skarbie. To nie jest żaden Dzik Zachód. Jesteśmy na wschodzie i za wyjątkiem Bronksu jest tu dość nudnawo. I wiesz co? Hef może lubi apaszki, ale nie przepada za przemocą. A przecież to właśnie on jest twoim wzorem do naśladowania.

- Po prostu nie podobało mi się to, co zobaczyłem. To wszystko.

- Więc co twoim zdaniem powinnam zrobić? Założyć burkę? - spytałam. - Czy dzięki temu poczułbyś się lepiej?

- Nie sądzę, aby sprzedawali je u Bergdorfa.

- Skąd wiesz? Karl Lagerfeld mógłby zaprojektować burkę dla Chanel. Czarną z naszytymi z przodu białymi liliami. To dopiero byłoby szykowne! Chodzi o to, że jesteś tak cholernie daleko. Skąd w ogóle mógłbyś o tym wiedzieć? Oczywiście, jeśli Karl faktycznie by coś takiego zaprojektował.

- Skarbie - powiedział - zaczynasz mnie wkurzać.

- To ty mnie wkurzasz - odparłam. - Nie musisz być zazdrosny. Po dzisiejszym wieczorze wrócisz do domu. Ja też wrócę do domu. To wszystko. Kocham cię, ale to wszystko jest naprawdę śmieszne. Wcale nie zamierzasz być ze mną. Sam powiedziałeś, że to tylko fantazja.

- Powiedziałem *sen*.

- Tysiąc razy proponowałam ci, że się przeprowadzę i za każdym razem mówiłeś „nie”. Mówiłeś, że na pewno

nie polubiłabym nowego miejsca, że byłabym w nim samotna albo że nie jestem kowbojką. Wymyślałeś setki kiepskich wymówek!

- Nie spodobałoby ci się tam. Nie na tyle, aby tam zamieszkać. Mnie nie podoba się tutaj. Mieszkałem już na wschodzie i wiem, że nie jest to miejsce dla mnie. Czuję się tu ograniczony. Proszę, nie kłóćmy się już o to.

*Kolejna kłótnia, Kolejna panna młoda, Kolejny czerwiec...* Szampan przestawał działać. Czulałam, że potrzebuję więcej.

- Nasze kuleczki ryżowe stygną na stole - powiedziałam.

Kiedy wyszłam z kąta i wróciłam do stolika, ukradkiem dotknęłam kolczyków. Były chłodne, gładkie i twarde. Wystarczyły, żeby omamić mężczyznę. Do cholery, trzech mężczyzn w trzech eleganckich garniturach.

Ale nie Poetę-Kowboja w apaszcze.

## Rozdział 5

### Czarna Sukienka z Odkrytymi Plecami

Miles i ja uczęszczaliśmy na te same zajęcia - Klasyka współczesnego teatru: realizm i jego następcy, na Uniwersytecie Maryland w College Park. Nie mogłam go znieść. Miles przeszkadzał. Miles brał w krzyżowy ogień pytań. Miles popisывał się. Zdominował zajęcia, intelektualnie obezwładniając i zastraszając profesora, który stał, wpatrując się w Milesa z beznadziejnym brakiem wiary w siebie.

To samo Miles robił dziś. Wydawać by się mogło, że są to jego zajęcia i że to Miles uczy nas o „Krwawych godach” Federica Garcii Lorki. Według Milesa, powodem, dla którego wszyscy w sztuce byli tak bardzo skrzywdzeni i nieszczęśliwi, był fakt, że stanowili oni grupę ukrywających swoje skłonności gejów i lesbijek. Tym samym Miles tłumaczył zresztą wszystkie niedole tego świata.

Rozglądałam się po sali. Oprócz twarzy mojej i Milesa wszyscy zdawali się bierni i posłuszni niczym owce. Prawdziwe milczenie owiec. No i Miles - ich gadatliwy, gejowski pasterz. Boże. Niektóre cioty człowiek naprawdę chce zamknąć w szafie. Błagam! Włóż tam i ZAMKNIJ SIĘ! Ten jednak nie chciał. Wiedziałam, że jeśli wkrótce

czegoś nie zrobię, ja także skończę jako jeden z przeżuwaczy Milesa.

Akt 2, Scena 1: Bohater Lorki o imieniu Leonardo mówi: „Płonać z pożądania i milczeć to największa kara, jaką możemy sobie zadać... Kiedy tak bardzo stłumisz to w sobie, nikt nie będzie w stanie ci pomóc”.

Pojęłam, Señor Lorca!

Nagle wstałam (Miles zawsze stał, żeby móc lepiej rozprawiać na różne tematy) i powiedziałam, nie tyle do niego, co do naszego profesora: „Przepraszam. To bzdura! Kto, do cholery, prowadzi te zajęcia?” Spojrzałam na profesora. Miał spuszczone głowę. *Spuszczoną*. „Wiem, że nie pan. OK, rozumiem, że nie jest to Harvard, ale moja rodzina i ja wciąż płacimy grube pieniądze za moją edukację w tym miejscu”. Tym razem odwróciłam się w stronę Milesa. „I nie płacimy ich po to, aby wysłuchiwać TWOICH wywodów na temat każdej, cholernej rzeczy, która przychodzi ci do głowy. Złaź więc z tej przeklętej ambony, BĄDŹ CICHO i pozwól WYKŁADOWCY prowadzić te pieprzone zajęcia”.

Cisza.

Chwilę później z tyłu sali dały się słyszeć pojedyncze oklaski. I kolejne. Wkrótce cała klasa (łącznie z Milesem) eksplodowała gromkimi brawami. Usiadłam, bardziej poirytowana niż pokrzepiona. Ciężko być prowodyrem. Chwilę później mój zażenowany profesor odchrząknął, poprawił okulary, wziął głęboki oddech, z wdzięcznością spojrzał mi w oczy i zaczął omawiać to, co jeszcze zostało do omówienia.

Szczerze powiedziawszy, po części żałowałam tego, co zrobiłam. Miles był dużo bardziej bystry i zabawniejszy



od naszego nauczyciela. Nie o to jednak chodziło. Raz czy dwa widziałam, jak usta Milesa gotują się do rzucenia jakiejś uwagi, jednak za każdym razem posyłałam mu piorunujące spojrzenie, które najwyraźniej wprawiało go w osłupienie. Miles szybko się uczył. Z pewnością był to odruch warunkowy.

Po zajęciach, kiedy zbierałam swoje książki, papiery i przybijałam piątki z innymi studentami, usłyszałam za sobą potulny, wysoki głos.

- Jejku. Jestem pełen podziwu.

Za moimi plecami stał Miles z szerokim uśmiechem na swej dziwnie małej, nowofalowej, germańskiej twarzy. Małe, wąskie oczka. Szeroki nos. Pełne usta. Wydepilowane brwi. Jeśli mnie wzrok nie mylił, rzęsy Milesa były pociągnięte fioletowym tuszem. Wydawał się tak bardzo nie z tego świata, że czułam się przy nim jak mężczyzna z reklamy papierowych ręczników Brawny.

- Dzięki - odparłam, przerzucając torbę przez ramię.

- Nikt nigdy nie stawiał mi czoła w ten sposób - rzekł, idąc za mną korytarzem niczym chora z miłości owca. - Jesteś taka stanowcza. Podoba mi się to. Mogę postawić ci kawę, skarbie? Jesteś wolna? Powinnaś wpaść do mnie na kolację. Lubisz indonezyjską kuchnię?

- Miles mówi, że jesteś podżegaczką, a do tego jesteś zabawna. To mi się podoba - powiedział Izraelita swym ciężkim, hebrajskim akcentem. Akcent ten sprawiał, że wszystko, co mówił, brzmiało zarazem zabawnie, ponuro, agresywnie, stanowczo, chojracko, pewnie siebie i ironicznie.

Spotykaliśmy się po raz pierwszy u Milesa na kolacji. Miles mieszkał nieopodal Univeristy Boulevard w Adelphi. Co mogę powiedzieć na temat Adelphi? Że jest obrzydliwe? Zanedbane? Że jest kompletną dziurą? Że możesz tam trafić wyłącznie dlatego, że się zgubiłeś, chcesz kupić tanio benzynę albo odczuwasz dziwną, nieodpartą chęć na autentyczne *pupusas*<sup>1</sup>? Cóż, Adelphi ma jedną tak ekstatycznie dobrą rzecz, że można przymknąć oko na tandetę tego miejsca. Ledo. Pizza Ledo. Ta pizza potrafi zainspirować człowieka do śpiewania arii. Jest prostokątna, tłusta, wysokokaloryczna i piekielnie dobra. W mieście można znaleźć inne pizzerie Ledo, ale to nie to samo. Trzeba odwiedzić właśnie tę, choćby dla wyjątkowego smaku, rodem z lat 50-tych.

Mieszkanie Milesa było ciemnym, ponurym, wynajętym pokojem z małą kuchnią i łazienką w starym, mrocznym, odrażającym domu z zanedbanym ogródkiem i jednookim psem, który wyglądał niebezpiecznie i nie przestawał szczekać. Krótko mówiąc, był to południowy, gotycki dom w upiornym stylu Boo Radleya. Po moim ubiegłotygodniowym wybuchu Miles opowiedział mi o swym izraelickim kochanku. Siedzieliśmy wówczas w stołówce Związku Studentów Uniwersytetu Maryland, popijając kardamonowo-imbirową kawę i jedząc kuskusowo-cynamonowe ciastka (zważywszy na to, że była to „zdrowa żywność”, ciastka wcale nie były aż tak obrzydliwe).

---

<sup>1</sup> Pupusas - kukurydziane placki podawane z nadzieniem z warzyw, mięsa, sera itp.

Izraelita niedawno przeniósł się z Tel Awiwu do Stanów. Jak sam mówił, chciał w ten sposób uciec od osoby tak strasznej, że bał się o niej mówić inaczej niż Mademoiselle X, i aby studiować w szkole filmowej. Tak oto poznał Milesa na zajęciach z historii kina europejskiego.

- Nie jestem podżegaczką - powiedziała mu, śmiejąc się z akcentu, który w zabawny sposób zniekształcił jego wypowiedź. - Ja tylko... jestem asertywna.

- Jasne - odparł Miles. Wręczył mi plastikowy kubeczek taniego, czerwonego wina i niemytą, aluminiową popielniczkę. - Śmiertelnie mnie wystraszyłaś, skarbie.

Szczerze wątpiłam, aby to, co mówił, było prawdą. Miles podał Izraelicie zimną puszkę Schlitza i zanim posuwistym krokiem ruszył w kierunku kuchni, pieśczośliwie pogłaskał czubek jego głowy. Izraelita nie zareagował na ten gest, ale nie wyglądał na niezadowolonego. Odpalił mojego Parliamanta i swojego Kenta. Pomyślałam, że dym papierosowy pachniał dużo lepiej niż emanujący z kuchni obrzydliwy smród. Co to było? Przypalające się curry?

Zdawało się, że ja i Izraelita świetnie się rozumiemy, bowiem z chwilą, gdy o tym pomyślałam, mój towarzysz zatkał nos i przewrócił oczami. Może łączyła nas ojczysta, hebrajska więź, ale czułam, że istnieje między nami nic porozumienia i było mi dobrze w jego towarzystwie. Intrygował mnie. Jego oczy miały błękitny kolor morza, a jasne włosy i opalona skóra przywodziły na myśl kolor piasku. Zupełnie jak jego ojczyzna - Izrael. Nie był wysoki, miał około 173 centymetrów wzrostu, ważył może

63 kilo. Był jednak dobrze, proporcjonalnie zbudowany i elegancki. Seksowny Izraelita.

Chociaż był studentem drugiego roku, a ja studentką trzeciego, był ode mnie dwa lata starszy. Wszystko przez obowiązkową izraelską służbę wojskową, do której powoływano chłopców po ukończeniu szkoły średniej.

Zastanawiało mnie jednak, czy facet był gejem, hetero, bi, poli czy może lubił trójkąty albo seks grupowy? Najwyraźniej płaścił się w nieodwzajemnianych pieszczotach Milesa i nie miał dziewczyny. Czy więc Miles był dla mnie konkurencją? A jeśli tak, jak mogłam przewyciężyć gejowską miłość? Czy dla mojego Izraelity będę zmuszona walczyć z sodomitą?

- *Atjar bening*, kochani - powiedział Miles, stawiając przed nami plastikową miskę czegoś, co okazało się marynowanymi warzywami. - Pyszne. Kwaśno-słodkie.

Izraelita i ja wymieniliśmy spojrzenia i ostrożnie spróbowaliśmy plasterków ogórka. Chwilę później oboje sięgnęliśmy po nasze drinki i wybuchnęliśmy śmiechem.

- Jest coś, o czym nie wiem? - spytał Miles. Następnie szczegółowo opisując każde danie, postawił na stole miski pełne *bami goreng* (klusek ze smażonych jajek), *sam-bal goreng telur* (potrawy z gotowanych na twardo jajek z mlekiem kokosowym i pastą z owoców tamaryndowca) i *boeboer ajam* (pikantnego puddingu ryżowego z kawałkami kurczaka). Każde kolejne danie było bardziej mdłe i paskudne od poprzedniego, przy czym wszystkie wyglądały jak odrażający kleik: ohydne, niedoprawione, przesolone, wodniste, suche, niedosmażone, przesmażone. Żadnej harmonii ani ładu pomiędzy poszczególnymi składnikami.

Jestem pewna, że właściwie przygotowane indonezyjskie jedzenie jest całkiem dobre (zasada ta sprawdza się w większości potraw). Dziś jednak nie miałam szczęścia ani do potraw, ani do kucharza i z tego, co widziałam, Izraelita w pełni podzielał moje zdanie.

- Moi kochani, jecie jak PTASZKI - powiedział Miles, częstując się dokładką brejowatego *bami goreng*. - Czyżbyście zostawiali sobie miejsce na deser?

- Ja na pewno - odparłam, wycierając usta papierowym ręcznikiem.

- To dobrze - ucieszył się Miles - ponieważ przygotowałam sernik. Cytrynowo-limonkowy!

Izraelita przeprosił nas i poszedł do łazienki, podczas gdy ja pomagałam Milesowi sprzątnąć ze stołu i szepcząc, w pośpiechu wymieniałam z nim ploteczki.

- Czy jedzenie naprawdę jest aż tak straszne? - Tak.

- Ale czy Izraelita nie jest wystarczająco dobry, by go schrupać?

- Tak - odparłam. - Sypiasz z nim?

- Jeszcze nie. Na razie próbuję trafić do jego serca przez żołądek.

- To się nie uda - odparłam.

- Jesteś po prostu zazdrosna - rzekł Miles, chrząknięciem sygnalizując powrót Izraelity.

- Mogę jakoś pomóc? - spytał Izraelita.

- Nie, skarbie - odparł Miles. - Posadź ten piękny, bliskowschodni tyłeczek i odpocznij. Przyniesiemy ci kawę i deser.

Cytrynowo-limonkowy sernik okazał się wodnisty, ciepły i przesolony. Miles pożarł swój kawałek i sięgnął

po dokładkę, podczas gdy my topiliśmy widelce w serowym błocie, popijając kawę i paląc papierosy. Niebawem Miles rozpoczął z Izraelitą ciekawą grę. Ktokolwiek przegrał, miał zapłacić zwycięzcy dolara. Reguły gry przypominały filmowego ping-ponga. Zaczynał Miles.

- Renoir czy Bergman? - spytał. - I tym razem żadnych Amerykanów, kotku.

- Bunuel - odparł Izraelita. - Bertolucci czy Truffaut?

- Godard - rzekł Miles. - Visconti czy De Sica?

- Cocteau. Eisenstein czy Fellini?

- Anderson. Lean czy Wenders?

- Kurosawa - odparł Izraelita. - Herzog czy Lang?

- Polański. Wertmüller czy Rohmer?

- Ophüls. Lelouch czy Antonioni?

- Charbol - rzekł Miles. - Angelopoulos czy Kubrick?

- Kubrick jest Amerykaninem - przerwał Izraelita. - Technicznie rzecz biorąc.

- Naprawdę? - wtrąciłam. - Myślałam, że jest Brytyjczykiem

- Brytyjczykiem z Bronksu - odparł Izraelita. - Dolar dla mnie.

- Nie powinienem mieszać piwa z winem - wtrącił Miles.

A ja nie powinnam mieszać gejów z mężczyznami o niewiadomych preferencjach. W każdym razie byłam gotowa zdzielić ich obu po głowach. To tak, jak być w towarzystwie ludzi, którzy rozmawiają ze sobą w obcym ci języku. Nie do zniesienia! Mimo to byłam ciekawa tych

wszystkich zagranicznych reżyserów. Moja wiedza na temat nieamerykańskiego kina zdecydowanie wymagała poszerzenia. W końcu studiowałam wyłącznie historię sztuki brytyjskiej.

- Podobał mi się „Tootsie” - powiedziałam. - Kto go nakręcił?

- Sydney Pollack - odparli jednogłośnie. - Ale to Amerykanin.

- A co z „Diner”? - spytałam. - Uwielbiam ten film.

- Barry Levinson - odpowiedzieli. - Też Amerykanin.

- Naprawdę? Wiecie co? - powiedziałam. - Robicie właśnie coś z tego filmu i nawet nie macie o tym pojęcia. Eddie i Coltonie.

- Masz na myśli B-B-B-Bennie i Jetsów?

- O CZYM ty mówisz? - spytałam. Mówię o „Diner”, nie o jakiejś cholernej piosence Eltona Johna!

- Dobra, poddajemy się - wtrącił Izraelita.

- Eddie z filmu? Steve Guttenberg? Jest zaręczony z dziewczyną o imieniu Elyse. Eddie jest takim fanatykiem Baltimore Colts. Upiera się, aby barwy drużyny były barwami na ich ślubie.

- Jakie to barwy? - spytał Miles.

- Nie o to tu chodzi - odparłam. - A więc Steve Guttenberg do tego stopnia boi się ślubu, że każe Elyse zdać sportowy test. Jeśli dobrze pamiętam, musi ona zdobyć przynajmniej sześćdziesiąt pięć punktów. Jeśli obleje, Eddie się z nią nie ożeni.

- Dobrze, kotku, dobrze - przerwał wciąż zakłopotany Miles. - Nie denerwuj się.

- Hmm - zwrócił się do mnie Izraelita. - Twój siejący zamęt umysł pracuje w zadziwiająco tajemniczy sposób. Ciekawy. Inny.

- Założę się, że żaden z was nie zrobiłby tego samego z historią sztuki - odparłam. - Moglibyście na przykład zacząć od Renoira. Ja bym tego nie zrobiła, ale wy moglibyście. Renoir jest dla dzieci i starszych pań. Przynajmniej tak myśli mój profesor. Manet, oto prawdziwy artysta!

- Twój Renoir był synem naszego Renoira - odparł Miles, wstając, aby dla odmiany pogrzebać w kieszeniach dzinsów. - Renoir *syn*.

- Taaa - odparłam.

- Czy zamiast pieniędzy nie wolałbyś grać na pocałunki, skarbie? - Miles zapytał Izraelitę, trzepocząc bordowymi rzęsami niczym zdirowata krówka Elsie<sup>2</sup>.

- Będę musiał przemyśleć to w nocy - odparł Izraelita, podnosząc się od stołu. - Mam mnóstwo nauki.

- Nie zapomnij, kochany - powiedział Miles, głaszcząc jego policzek. - W czwartek wieczorem oglądamy „Małżeństwo Marii Braun”.

- Tak, wiem - odparł Izraelita, naciągając bordowo-złotą czapkę The Washington Redskins i spłowiła, dzinsową kurtkę. - Fassbinder.

- Mam wrażenie, jakbyśmy ukrywali się przed Milesem - powiedziałam Izraelicie, wieszając w jego szafie kilka letnich sukienek. - To tak, jakbyśmy wymykali się ukradkiem za plecami tatusia.

---

<sup>2</sup> Elsie - reklamowa maskotka produktów firmy Borden Company.



- Bo tak jest - odparł. - Hej, właśnie robię miejsce dla trzech tysięcy twoich kobiecych szpargałów. Trzeba przyznać, że w tej małej łazience zaczyna się robić trochę ciasno. Jakoś damy sobie radę. Co to za narzędzia tortur? - spytał, podnosząc szklankę z zalotką firmy Shu Uemura i pęsetą od Tweezermana.

- Co z Milesem? - spytałam.

- Miles jest we mnie zakochany albo przynajmniej mną zauroczony. Dobrze wie, że nie interesuje mnie coś takiego. To prawie smutne. Przegrana sprawa, ale on sam nie umie sobie pomóc. To dla niego prawdziwa agonía.

- Dlaczego więc z nim nie porozmawiasz?

- Nie musimy rozmawiać. Wiedział o tym od samego początku.

- Skąd?

- Choćby ze sposobu w jaki wyrażam się o kobietach. Poza tym on nie chce o tym rozmawiać. Nie chce niczego popsuć.

Szczerze powiedziawszy, ja również nie chciałam. Jak na dwoje tak gadatliwych Żydów istniała między nami kwestia, której - mimo narastającej zażyłości - nigdy nie poruszaliśmy. Chodziło o to, że nie sypialiśmy ze sobą, co z kolei sprawiało, że czułam się odrzucona. Od czasu pamiętnej nocy u Milesa, Izraelita i ja staliśmy się nierozłączni. Stopniowo zaczęłam zostawiać w jego mieszkaniu w Takoma Park setki niezbędnych drobiazgów - przyborów toaletowych, kosmetyków i zapasy TaB. Było to prostsze niż wleczenie ich ze sobą za każdym razem, kiedy zostawałam na noc, co zdarzało się dość często. Uwielbiałam przebywać w jego mieszkaniu. Niby nic szczególnego, ale - cytując Hemingwaya - było ono

czyste, dobrze oświetlone i z pewnością bardziej domowe i osobiste niż przerażające akademiki czy wynajmowane przez studentów pokoje.

Izraelita i ja, ja i Izraelita. Wszystko wydawało się tak naturalne. Po tym, jak miesiąc temu opuściliśmy mieszkanie Milesa w osobnych samochodach, Izraelita zatrąbił na mnie, prosząc, bym się zatrzymała. Chciał wiedzieć, czy nie byłam głodna. Byłam. Pojechaliśmy do Ledo, gdzie dosłownie obżarliśmy się pieczonym mięsem, serowymi ravioli z sosem robusto marinara i przepyszną pizzą. Pizza była tak dobra, że po jej zjedzeniu miałam ochotę odśpiewać całą arię.

Kiedy zmarłam (po jedzeniu zawsze dostaję dreszczy; czasami tak bardzo szczękam zębami i mam tak zmarznięty nos i palce, że obcy ludzie myślą, że jestem chora i uprzejmię pytają, czy zadzwonić na 911<sup>10</sup>), Izraelita okrył moje ramiona spłowiałą, dzinsową kurtką firmy Levi's. Zauważył też, że jestem chyba odrobinę zbyt „lekką” ubrana.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytałam. - Jest marzec. Wiosna, kochanie.

- Tak, ale ty masz na sobie lekką sukienkę bez rękawów. Będzie ci zimno.

- Zgoda. Chyba powinnam była wziąć ze sobą kurtkę albo przynajmniej jakiś sweter. Ale dzień był taki piękny i ciepły. No i uwielbiam tę sukienkę!

Naprawdę ją uwielbiałam. To była świetna sukienka. Idealna do (bardzo ostrożnego) spożywania dużych ilości pizzy. Sukienka z zabudowanym dekoltem, zwiewna,

911 - numer pogotowia.

bez rękawków, z podwyższoną talią obszytą kwiecistą, bawełnianą koronką. Miała szerokie ramiączka, marszczony, wielowarstwowy dół, sięgający połowy łydki. Krótko mówiąc, była kapitalnym, wybaczącym zjedzone kalorie dziełem sztuki. Oczywiście, że była bardziej letnia i zdecydowanie mniej wiosenna, ale są takie chwile, gdy człowiek nie może się już doczekać kolejnej pory roku. Nosiałam ją w komplecie z perłowymi kolczykami w kształcie łez, pięknymi, meksykańskimi bransoletkami z ucha morskiego, misternie inkrustowanymi srebrem, czarnymi, skórzanymi sandałami na koturnie i pomalowanymi na czerwono paznokciami u stóp.

Dzinsowa kurtka Izraelity świetnie pasowała do tego zestawu i sam fakt, że tak właśnie było, sprawił, że pomyślałam: *Zanim Bóg krzyknie, słysząc jego szept. To właśnie jest PRZEZNACZENIE. Kiedy wszystko układa się bez problemu, to nie tylko styl. To MIŁOŚĆ. WIELKA MIŁOŚĆ.*

A więc mieszkam z pięknym Izraelitą, który nie chce się ze mną kochać. Dlaczego to takie cholernie frustrujące? Ponieważ wszyscy wiedzą, że to nie jest normalne! Izraelici uwielbiają seks. Mężczyźni to zwierzęta! Kiedy Bóg powiedział: „idźcie i rozmnażajcie się”, natychmiast Go posłuchali. Nawet ci reformowani. Co więc jest ze mną nie tak? Przecież cały czas skomlałam jak Lucy Ricardo<sup>11</sup>. Poważnie.

Mieszkaliśmy razem, korzystaliśmy z tej samej, maleńkiej łazienki, dzieliliśmy obowiązki domowe

<sup>11</sup> Lucy Ricardo - bohaterka popularnego w Stanach Zjednoczonych serialu „Kocham Lucy”.

(uwielbiał sprzątać, dajecie wiarę?), wspólnie jedliśmy macę (jest doskonała, kiedy przez pięć minut podgrzewa się ją w piekarniku i wsypie do zupy pomidorowej. Pięciogwiazdkowy posiłek w porównaniu z kuchnią Milesa), uwielbialiśmy The Pretenders, The Police i The Redskins, no i *spaliśmy w tym samym łóżku. Zero seksu.*

Wiem, co sobie myślicie. Ja też o tym myślałam, ale opcja „gej” byłaby zbyt łatwa, a w moim życiu *nic* nie jest łatwe. Wydawało mi się, że prawdziwym problemem nie była orientacja seksualna mojego Izraelity. Tu chodziło o izraelską eks mojego Izraelity, jego pierwszą, poważną miłość. *Femme fatale* specjalizującą się w wywoływaniu urazów u swych ofiar. Pamiętacie tajemniczą Mademoiselle X, o której opowiadał mi Miles? Oto, kim była.

Mój Izraelita poznał ją zaraz po szkole średniej, kiedy oboje służyli w Izraelskich Siłach Obrony. On był mechanikiem pokładowym, pracującym na jednym z samolotów podobnych do tych fajnych śmigłowców bojowych Kobra. Mademoiselle X była sekretarką w tym samym szwadronie. Nigdy nie widziała prawdziwej walki, ale wiedziała, jak strzelać z Uzi i nie chybić. Była również kompletnie szurnięta i podobna do Nastassji Kinski.

Taka kombinacja z pewnością nie poprawiała mojej sytuacji. Podobnie zresztą jak fascynacja mojego ukochanego prawdziwą Nastassją Kinski. W przejściu naszego mieszkania zawiesił długi, poziomy, oprawiony w ramy plakat *Nastassją Kinski i Wąż* - słynną fotografię Richarda Avedon z 1981 roku, przedstawiającą leżącą na boku, nagą (za wyjątkiem masywnej bransolety z kości słoniowej) Nastassję z ogromnym pytonem, oplatającym

jej ciało i niemalże wsuwającym swój rozdwojony język do jej ucha.

Witajcie w moim świecie.

Bilans: Mademoiselle X narobiła bałaganu w życiu mojego Izraelity. Przynajmniej tym tłumaczył swoje seksualne problemy. Choć była dwa lata młodsza od niego, była bardziej doświadczona i to ona zdominowała ich związek. Była modliszką, która brała sprawy w swoje ręce (co moim zdaniem jest kompletnie zbędne, mimo piosenek Hall & Oats). Mój względnie niewinny Izraelita nie miał z nią żadnych szans. Po półtora roku związku Mademoiselle X zostawiła go i wymieniła na pilota, czyli na śmietankę izraelskiego społeczeństwa. Gdy trzy miesiące później ich związek wypalił się i rozpadł, Mademoiselle X pognąła z powrotem do swego mechanika. Jak się okazało, nie miała już do kogo wracać. Izraelita był załamany, niskim rangą mechanikiem. *Un mécanique tragique!* Nie wiedział nawet, jak się pozbierać. Wolał zachować czarno-białe fotografie Mademoiselle X, niż ją samą. Wiem, bo wielokrotnie pokazywał mi te nastrojowe zdjęcia. Jak gdyby czarny strój, ładnie zarysowany obojczyk i posępne zdjęcia w filmowym stylu czyniły ludzi głębszymi!

Przepraszam, ale niektóre kobiety są romantycznymi flejtuchami! To szczerą prawdą. Są niechlujne. Oczekują, że inni pozbierają ich śmieci i posprzątają bałagan, jaki po sobie zostawiły. Ta tutaj zmieniła mojego Izraelitę w Humpty Dumpty<sup>3</sup> i doprowadziła go do upad-

---

<sup>3</sup> Humpty Dumpty - postać występująca w angielskim wierszu (czasem śpiewanym) pod postacią jajka poddanego personifikacji, znana także z książki Lewisa Carolla „Po drugiej stronie lustra”.

ku. *I wszyscy konni i wszyscy dworzanie złożyć do kupy nie byli go w stanie.* Mimo to wierzyłam, że ja będę tą, która tego dokona. Miałam przecież Krazy Glue. Mogłam na powrót posklejać rozbite kawałki. Dzięki jednej Mademoiselle X mój Izraelita doświadczył wszystkiego - od kompletnego zamętu, poprzez brak pewności siebie, aż do całkowitego, seksualnego paraliżu. Oto, co dostają w spadku takie szczęściary jak ja. Istniały dwa wyjścia - albo nauczę się żyć z tym bałaganem, albo go posprzątam.

Mam ochotę na sprzątanie. *Uwielbiam* sprzątać i jestem w tym dobra. Może mam w sobie ukryte zadatki na gospodynię domową? Dla przykładu powiem, że ostatnio z przyjemnością kupiłam w Costco nowy odkurzacz (Eureka Boss SmartVac z SuperDokładną Turbo-Szczotką - cudeńko). Byłam też naprawdę podekscytowana odkryciem Windexu o zapachu lawendy. Sprzedają go w fioletowych opakowaniach i wierzę mi lub nie, ale naprawdę pachnie lawendą z nowojorskim akcentem.

Musiałam pomyśleć. Co poza środkami do dywanów, podłóg i wonnymi środkami czyszczącymi, byłoby w stanie zdeMademoiselleować mojego Izraelitę? Wiedziałam, że to musi być dobre, naprawdę dobre. Może nawet odrobinę perwersyjne, jak Kinski i jej wąż. Tyle że w grę nie wchodziły żadne gady. Błagam. Są takie obrzydliwe.

Odsunąć od siebie wszystkie obrzydlistwa. Może właśnie od tego powinnam zacząć. W końcu Izraelita śledził wzrokiem węzowy ogon, wetknięty zgrabnie pomiędzy

kształtne uda Nastassji, kiedy tylko wchodził bądź wychodził z domu. Ten ogon był dla niego niczym osobista mezuz<sup>13</sup> . .

Wiedząc o tym, zadzwoniłam do jednej z moich najlepszych przyjaciółek - Chorobliwie Mistycznej Meksykanki. Tam, skąd pochodzi, ludzie zdecydowanie znają się na herpetologii. Być może istniały jakieś egzotyczne talizmany chroniące ludzi przed węzowym urokiem, o których nie wiedziałam.

- Twój Izraelita nigdy nie będzie wolny - stwierdziła - Jest *una alma perdida*. Zagubioną duszą.

- W porządku, a więc jest żydowskim Travisem Bickle<sup>14</sup> królem hebrajskiego bólu. Nieważne - odparłam. - Czy istnieje jakaś cudowna, meksykańska seks zabawka? Coś czego jeszcze nie próbowałam? Coś, co wyczyniacie w Meksyku z węzami, jaszczurkami i iguanami? Jak w „Nocy iguany”?

- Przecież iguany są jaszczurkami - odparła La Mexicana.

- I wy je jecie, prawda? Ale czy to daje wam jakąś wyjątkową moc czy coś podobnego? To jakiś eliksir miłosny *numer dziewięć*?

<sup>13</sup> Mezuz<sup>13</sup> – (z hebrajskiego – odrzwia) w judaizmie to mały pojemnik wykonany z drewna, metalu lub szkła, zawierający zamknięty wrurkę zwitek pergaminu z naniesionymi dwoma fragmentami Tory (Księga Powtórzonego Prawa 6,4-9 i Księga Powtórzonego Prawa 11,13-21) Mezuz<sup>13</sup> ma wartość symboliczną, historyczną i religijną.

<sup>14</sup> w Travis Bickle - bohater filmu „Taksówkarz”, grany przez Roberta De Niro.

- Nie sądzę, aby udało ci się naprawić swoją iguanę -przerwała. - Przykro mi, skarbie. To o ciebie się martwię, nie o niego. Martwię się o twoje serce. Jak tam twoje serduszko? Dbasz o nie?

Zaciągnęłam się Parliamentem i wypuściłam dym.

- Skarbie, znasz może jakiegoś ludowego psychiatrę? - spytałam, sięgając po TaB. - Wiesz... jakiś proszek? Tabletki? Modlitwa?

- *Kochana*, mieszkasz z nim od MARCA.

- Wiem, wiem, wystrzegaj się id marcowych. Do tego zmierzasz? Chcesz powiedzieć, że zostanę zamordowana jak Juliusz Cezar, a ty jesteś wróżbitką, której proroctwa mam sobie za nic?

- Dobra, w ogóle nie zrozumiałam tego, co przed chwilą powiedziałaś.

- Przepraszam. „Juliusz Cezar”. Czytamy go na seminarium dotyczącym Szekspira.

- Ależ nie. Chciałam tylko powiedzieć, że jest lato. To *miesiące* bez seksu, skarbie. *Miesiące*.

- Ale przecież my uprawiamy seks - wyjaśniłam. - Tyle że nie ze sobą. No wiesz, chodzi mi o taki seks... *samemu*. Gdyby nie on, pewnie już dawno rzuciłabym się z okna.

- Dlaczego z nim nie porozmawiasz?

- Nie mogę z nim o tym rozmawiać.

- Dlaczego?

- To by wszystko zepsuło. To zbyt osobiste.

- Posłuchaj laluniu, wydaje mi się, że już za późno na *curaderos*.

Uwielbiam moją meksykańską przyjaciółkę, ale nie bez powodu nazywamy ją Chorobliwie Mistyczną. Ona



wierzy w *curanderos* - ludowych uzdrowiaczy - i uwielbia śmierć. Każdy dzień to dla niej *Día de los Muertos*. Aż dziw bierze, że nie fascynuje ją Szekspir. Przecież to prawdziwa krwawa łaźnia. Wystarczy spojrzeć na Kleopatę i żmiję. „Dajcie mi szatę, załóżcie koronę. Czuję tęsknotę do nieśmiertelności”. Cóż za poetyckie słowa. Wymówiwszy je, Kleopatra kładzie żmiję na swej piersi i umiera od jej ukąszenia. La Mexicana pokochałaby ten dramat, byłaby w niebie.

Hej. Chwileczkę. Kleopatra-żmija. Nastassja-wąż. Helikopter-Kobra. Może po prostu wystarczyłoby, gdybym znalazła coś węzowego do ubrania! Albo chociaż coś podświadomie węzowego, jak w hebrajskiej biblii, gdzie węże są subtelne i zakazane, ale w żadnym wypadku nie są symbolem szatańskich mocy. „Mam jabłko pokusy”, śpiewała Joni Mitchell, „i diamentowego węża wokół ramienia”. Gdzieś, kiedyś widziałam zdjęcie mojej muzycznej bogini, „ubranej” w taką właśnie bransoletę. Widziałam też slajdy z podobną węzową biżuterią na zajęciach z historii sztuki. Każda z ozdób pochodziła z okresu starożytności. Na ścianach królewskich grobowców w Egipcie można znaleźć reliefy i malowidła ukazujące, w jaki sposób robiono i noszono podobną biżuterię. Piękne diademy, kolczyki, naszyjniki, wisiory, opaski na ramię, bransolety, łańcuszki noszone na kostkach i szpilki do włosów, które nie tylko dodawały ludziom uroku, ale - jak mawiał mój profesor - były amuletami, chroniącymi ich właścicieli od złego.

- Czyż nie jest powszechnie wiadomo, że węże pożerały własne ogony? - spytałam.

- Oto przemówiła półszlachetna Gigi Anders - odparł profesor, zwracając się do grupy, i z uśmiechem przełączając projektor.

Zauważcie, że w ogóle nie odpowiedział na moje pytanie. Nie poruszył również tematu „Antoniusza i Kleopatry”, a przecież chodzi tam o Egipt.

Na marginesie notatnika narysowałam serię oślizgłych ósemek. Czego tak naprawdę potrzebowałam? Sukienki z węzowym nadrukiem? Dżinsów z węzowym nadrukiem? Okularów przeciwsłonecznych z węzowymi oprawkami?

Chyba żartowałam! Już samo przejście obok akwariów z gadami w PetSmart wywołuje we mnie absolutną panikę Cholera. Niektórzy mężczyźni naprawdę potrafią zmusić cię do tego, abyś dokładnie przemyślała swoje gusta Mój Izraelita ze swoją nieśmiałą tajemnicą z pewnością był jednym z nich. Wiedziałam, że potrzebuję czegoś innego, aby zgłębić ten sekret i sprawić, aby mój starotestamentowy Izraelita zapalał do mnie biblijną miłością. Potrzebowałam czegoś bardziej... nie wiem... ciepłokr wis tego

- Jak często jest na haju? - spytał mój terapeuta, Manny, kiedy dyskutowałam z nim na temat mojego życia intymnego, a raczej jego braku.

- Codziennie - odparłam. - Po obiedzie. Czasami po południu. Wyciąga swoją fajkę i pali hasz. Brązowy hasz, jak ja to nazywam. Raz nawet go spróbowałam Był strasznie mocny. Obrzydliwość.

- W takim razie zawsze przed pójściem do łóżka jest kompletnie zaćpany - podsumował Manny.

- Dokładnie. Przez bite cztery godziny jest kompletnie do niczego. Upalony siedzi na sofie, popijając kawę

po turecku, pałac Kenty, słuchając The Pretenders i oglądając bez dźwięku telewizję. Chodzi mi o to, że lubię The Pretenders. Ta Chrissie Hynde jest naprawdę...

- Wiesz, że palenie jakiegokolwiek zioła może uczynić mężczyznę impotentem? - przerwał Manny.

- Nie. Naprawdę? A więc o to tu chodzi?! Nie o Mademoiselle X?

- Jeśli przestanie palić hasz, możliwe że niemal natychmiast odzyska potencję - dodał Manny. - Oto dobra wiadomość. Co do Mademoiselle X, w ogóle nie kupuję tej bajki.

-NIE?

- Nie. Brzmi dość podejrzanie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Myślisz, że on jest GEJEM?

- Nie wiem, czy jest gejem, podglądaczem czy obojnakiem - odparł. - Nigdy go nie spotkałam, ale nie wierzę w tę jego wymówkę. Jeśli potrafi osiągnąć orgazm w czasie masturbacji...

- On twierdzi, że pali hasz po to, żeby uciec; że czuje się niezdarny i przegrany - odparłam. - Wciąż czyta Hermanna Hessego, twierdząc, że utożsamia się z jego posepnymi bohaterami. Do tego każe mi oglądać te pretensjonalne, nafaszerowane seksem filmy, jak „Ostatnie tango w Paryżu”. Czy powinnam kochać ten film, tylko dlatego, że uwielbiają go Pauline Kael i mój facet? On autentycznie nie trawi samego siebie. Chce być filmowcem, ale chwilę później mówi: „Artysta jest jak dyktator, a ja nie wiem, czy potrafię go w sobie obudzić”. Jest taki przygnębiony. To naprawdę smutne. No i wciąż strzela we mnie tym swoim aparatem.

- Ciekawy dobór słów. Strzela? Strzela ci zdjęcia, kiedy jesteś naga? A może chce cię zastrzelić?

- No cóż, czasami robi mi zdjęcia w negliżu, ale nie zawsze. To zależy. On jest jak piękna, inteligentna układanka. Jestem jego muzą, przynajmniej tak mówi. Ostatnio oprawił w ramki i powiesił na ścianie moje zdjęcie. Tak przy okazji, jestem na nim ubrana.

- Ubrana w co? - spytał Manny.

- W białą sukienkę - odparłam. - To była biała, koronkowa sukienka, którą miałam na sobie podczas naszego pierwszego spotkania.

- A zatem całkiem możliwe, że wyobraża sobie ciebie jako pannę młodą. Niestety, wyłącznie na zdjęciach. Nie w rzeczywistości.

O cholera. Znowu. Manny znowu miał rację. Nienawidziłam tego.

Jest takie piękne zdjęcie. Uwielbiam je od lat. Zrobił je Robert Capa i jest ono dość znane. To czarno-biała fotografia zrobiona w niezwykle słoneczny dzień w roku 1948. Są na niej Pablo Picasso, jego przepiękna, czterdzieści lat młodsza, francuska kochanka - Françoise Gilot - i siostrzeniec Picassa - Javier Vilaro - idący od strony morza na plaży w Golfe-Juan, we Francji. Zmierzające w kierunku obserwatora postaci wyłaniają się kolejno zza siebie, jak gdyby ktoś ustawił je w kolejności od najwyższej do najniższej. Jako pierwsza idzie Françoise, za nią Picasso, a na samym końcu Javier. Ubrany w rozchełstaną koszulę z krótkim rękawkiem i sięgające kolan szorty, bosostopy Picasso niesie w dłoniach wielki, plażowy parasol, którym osłania Françoise przed słońcem.

Robi to tak, jak wy zrobilibyście to w piękny dzień dla Afrodyty, Kleopatry czy Deneuve.

Zdjęcie to zawsze nosiło tytuł „Picasso z...” albo „Picasso i...”, jednak niewątpliwie Françoise jest tutaj postacią pierwszoplanową. Patrząc na nią, człowiek ma wrażenie, że jest niezwykle szczęśliwa, dostojna niczym cesarzowa i świeża jak lawenda. Ma na sobie duży, słomiany kapelusz z wystrzępionym i celowo niewykończonym rondem, coś ozdobnego wokół szyi - skrecony szal, grube, białe korale albo naszyjnik z białych muszli (ciężko powiedzieć) oraz bladą, dopasowaną, długą do kostek bawełnianą sukienkę z kimonowymi rękawkami.

Ideał.

„To był czas zadowolenia” - napisała kiedyś. Prawdę powiedziawszy, to właśnie jej książka „Życie z Picasssem”, jak również portret Cappy i fakt, że fascynowała mnie historia sztuki, popchnęły mnie do tego stopnia, iż postanowiłam stać się dla Izraelity współczesną Françoise. Zamierzałam stać się najlepszą muzą, jaką ludzkość widziała na własne oczy. Po prostu musiałam znaleźć sposób, aby przenieść nasz związek na kolejny, *zabawny* poziom, który - w przeciwieństwie do Françoise i Picassa - zakończy się prawdziwym happy endem. Wszyscy bowiem wiedzą, że spośród wielu kochanek i żon Picassa, tylko Françoise, której nigdy nie poślubił, zdecydowała się go porzucić. Strasznie go to zdenerwowało i nigdy nie wybaczył jej tej decyzji. Françoise powiedziała, że po dziesięciu latach życie z pomnikiem przestało być zabawne. Do tego czasu Picasso stał się „świętym potworem”.

Reprodukcje jego rysunków, obrazów i *dzieł sztuki* pojawiały się na pamiątkowych kubkach do kawy,

kalendarzach ściennych i podkładkach pod kawę w każdym muzeum. Oto yuppiefikacja artysty. To, co niegdyś było czyste, zostało skalane. Nie mogąc tego znieść, Françoise uciekła z dwójką małych dzieci - Claudem i Palomą i koniec końców poślubiła Jonasa Salka. Czyż to nie urocze? Czy nie kochacie Palomy? Przecież jest cudowna. Wypuściła na rynek swoje własne perfumy i projektuje biżuterię dla Tiffany ego. Kocha czerwone szminki do tego stopnia, że stworzyła swoją własną i nazwała ją Mon Rouge. Moja Czerwień. Lata później przeprowadzałam z nią wywiad dla „The Washington Post” na temat mojego artykułu o historii czerwonych ust. Była taka miła!

Otworzyłam album Capy i spojrzałam na jej piękną matkę. Patrząc na nią, wyobrażałam sobie, że jej śliczna, letnia sukienka ma odkryte plecy. To był jej ciepło-krwisty sekret. Picasso patrzył na nagie, opalone plecy Françoise i dlatego ten „święty potwór” zdawał się tak niebywale szczęśliwy. *Artysta jest jak dyktator, a ja nie wiem, czy potrafię go w sobie obudzić.* Ależ potrafisz, kochanie. Potrzebujesz jedynie odpowiedniej stymulacji. I zaufaj mi, nie będzie ona związana z węzami.

Teoria. Teoria przybyła mi na ratunek i nieomal doprowadziła do bankructwa. W czasie przerwy wybrałam się do Bloomingdales w White Flint. Pracowałam wówczas na pół etatu jako kasjerka przy stoisku Clinique. Nienawidziłam tego białego poliestrowego fartucha, który musiałam nosić, ale uwielbiałam swoją pracę. Dostawałam całe mnóstwo darmowych próbek, miałam dwudziesto-procentową zniżkę dla pracowników, a przy tym byłam najbardziej pożądaną wizażystką na całym piętrze.

Sprzedawcy kosmetyków w ogóle nie mają pojęcia, na czym polega ich praca. Kiedy mówisz im „potrzebuję ciepłej, czerwonej szminki”, sądzą, że masz na myśli szminkę podgrzaną w mikrofalach. Są kompletnie *ciemni*, jeśli chodzi o kolory. Ja zawsze powtarzam moim klientom: „Nie kupuj niczego od ludzi, którzy mają makijaż jak RuPaul<sup>4</sup>”. Często słyszę słowo *neutralny*, na przykład „absolutnie neutralna konturówka MAC Spice”. Wcale nie. Fioletowo-różowo-brązowe usta wcale nie wyglądają naturalnie i żywo. Nie ma czegoś takiego jak *neutralny kolor* (chyba że mówimy o niebiesko-fioletowym, którego jednak nie poleciłabym do ust). Dlatego właśnie kobiety są tak zdezorientowane. Są bombardowane przez magazyny mody, widocznych w Internecie i E! słynnych ludzi, widzą wszystkie te rzeczy w Sephorze i na swoich przyjaciółkach, wierząc, że i one wyglądałyby w nich ładnie. Dopiero później zastanawiają się, dlaczego wyglądają fatalnie i szukają pomocy w Botoksie, Restylane i liftingach twarzy. (Nie to, żebym miała coś przeciwko operacjom plastycznym. Osobiście uważam, że są czymś fantastycznym. Oczywiście pod warunkiem, że w ogóle ich nie widać, a lekarzem, który je wykonuje, jest Roger Oldham - *mój* lekarz. Dr Oldham jest NAJLEPSZY).

Tak więc chodzę sobie po dziale sukienek u Bloomingdale's i - jakby to powiedziała Blanche DuBois - „nagle spada na mnie jak grom z jasnego nieba”.

Zesłana przez niebiosy. Boska. Najpiękniejsza mała czarna (MC), jaką kiedykolwiek widzieliście na własne

---

<sup>4</sup> RuPaul Andre Charles - amerykańska drag queen, znana m.in. z programu *The RuPaul Show*.

oczy. Coś w stylu „wskrzeszę Izraelitę z martwych i uczynię z mego dyktatora". *Zadziwiające*. (I niezbyt węzowe Dzięki Bogu teoria nie jest czymś podstępny)

Oto miałam przed sobą finalny dodatek do swego okazałego, kobiecego arsenału. Wiskozę z domieszką spandeksu. Dekolt karo. Krótkie rękawki. Obniżona tafia z marszczoną na gumkach, ozdobną szarfą zawiązaną wokół bioder. Falbaniaste, sięgające kolan wykończenie Coz za słodycz! Ale zaraz, zaraz, to jeszcze nie wszystko Oto cos naprawdę powalającego: obróćcie ją, a zobaczycie, że ta MC jest... Z ODKRYTYMI PLECAMI. Zupełnie tak, jak wyobrażałam sobie Françoise Gilot na zdjęciu Cappy! Wycięcie na plecach było szerokie, geometryczne i niemalże architektoniczne - elegancko wycięty, pionowy prostokąt sięgający dołu pleców niczym w świetnie skrojonym kostiumie kąpielowym. (Rękawki podtrzymywała zarzucona na ramiona, szeroka na pięć centymetrów, pozioma szarfa). Całość przypominała skrzyżowanie ażurowej sukienki od Rudiego Gernreicha i projektu Yves Saint Laurenta z okresu mondriańskiego. POWALAJĄCA

Odważna z tyłu, skromna z przodu. Stojąc w przymierzalni, spoglądałam przez ramię na swoje odbicie w ogromnym, trzyczęściowym lustrze. Spróbuj tego Mademoiselle X. Spróbuj tego, Nastassjo. Spróbuj tego! Miles. O Boże, biedny Miles. Ta sukienka oznaczała dla mego śmierć. Czułam się winna, kradnąc mu chłopaka. Ale, jak to mówią: *c'est la guerre*.

Izraelita i ja postanowiliśmy, że przyszłą sobotę spędzimy w Annapolis. żadne z nas nigdy tam nie było a oboje uwielbialiśmy dalekie przejażdżki. Hmm Bez-plecowość w stolicy stanu Maryland? Czy jeden Izraelita



i 4.000 aspirantów marynarki wojennej z amerykańskiej Szkoły Morskiej byli w stanie tyle znieść? Byłam tak podniecona teorią małej czarnej, że nie spojrzałam nawet na dużą, białą metkę. Wręczyłam sprzedawczyni kartę kredytową, zacisnęłam powieki i modliłam się o zmiłowanie. Sądząc po tym, co wydarzyło się chwilę później, Bóg w tym czasie zrobił sobie przerwę.

- Dobrze. 327,60\$ - rzekła ekspedientka. - Jest naprawdę urocza. Uwielbiam tę sukienkę.

- Przepraszam - odparłam. - CO pani powiedziała?

- Że jest urocza?

- Nie. Ta druga rzecz. Ta z cyferkami.

- Ach. 327,60\$ - odparła, otwierając brązową torbę do pakowania prezentów.

- Policzyła pani moją zniżkę? -Tak.

- Ale...

- Wszystko w porządku? - spytała, dotykając mojego ramienia.

- Jakim cudem jest taka droga?! - wrzasnęłam. - To niemożliwe! Przecież ona nie ma pleców! Jak mam zapłacić tyle pieniędzy za coś, czego w ogóle nie ma?!?

- Sukienka kosztuje 390\$...

- Naprawdę?

- Minus dwadzieścia procent zniżki, to daje 312\$. Plus pięć procent podatku, to 15,60\$. Razem...

- PROSZĘ TEGO NIE POWTARZAĆ! - krzyknęłam. W myślach starałam się obliczyć, ile balsamów nawilżających będę musiała sprzedać, aby zapłacić za moją sukienkę. Zobaczmy. Licząc 21,50\$ za buteleczkę, to wychodzi... do diabła z tym. Dajcie mi moją teorię,

nałóżcie szminkę. Czuję tęsknotę do nieśmiertelności. Nazwijmy to Teorią Wielkiego Wybuchu.

Widziałam w jego oczach żaglówki. Pontony i szkunery. Widziałam ich odbicia w szklach okularów przeciwsłonecznych od American Optical.

Izraelita i ja jedliśmy ciasto krabowe na tętniącej życiem Compromise Street - historycznym nabrzeżu Annapolis, na południe od doków. Ulica *Kompromisów*. Dokładnie. Tak właśnie wyglądała historia naszego związku. Mimo że był to ciepły, letni dzień, przed wyjściem z domu zarzuciłam na ramiona dzinsową kurtkę Izraelity (naturalnie z wywiniętymi rękawami). Chciałam poczekać na odpowiedni moment, aby obudzić w nim prawdziwą męskość. W tym celu zrezygnowałam z biustonosza - który niewątpliwie popsułby całą teorię - i zdecydowałam się na rozłożyste kolczyki w kształcie pawich ogonów, duże, czarne okulary przeciwsłoneczne, niezwykle czerwone paznokcie u rąk i stóp oraz fantazyjne pantofle bez pięt (na dwunastocentymetrowych koturnach) z czarnymi, skórzanymi paseczkami i ozdobnymi pomponami. Innymi słowy, drobny, żeglarski akcent.

Dopiłam mrożoną, malinową herbatę, podniosłam się od stolika, zdjęłam kurtkę i podchodząc do balustrady - z której rozciągał się widok na zatokę Chesapeake, zacumowane w niej białe statki i błękitne niebo stanu Maryland - oparłam się o nią, eksponując to, co miałam najlepszego. Słyszałam, jak siedzący za moimi plecami Izraelita pstryka swą zapalniczką BiC.

- To doprawdy niezwykła sukienka - powiedział po chwili.

- Ach tak? - odparłam, nie odwracając się. Czułam jak jego spojrzenie i ciepłe promienie słońca prześlizgują się po moich plecach. To było wspaniałe uczucie. Sekretne i oczywiste zarazem, niczym w piosence Leonarda Cohena: „Uwielbiam oglądać cię naga, zwłaszcza kiedy stoisz do mnie tyłem”.

- Obnażasz się - dodał Izraelita. - Obnażasz swoje plecy. - Usłyszałam, jak otwiera przegródkę w plecaku, jednak - niczym rasowa modelka - nawet nie drgnęłam. Chwilę później pstryknął kilka zdjęć i odłożył aparat.

- Mam się odwrócić? - spytałam.

- To twój przywilej - odparł. - Nie zamierzam wchodzić między ciebie, a twoją sukienkę.

- Dlaczego?

- Już wcześniej widziałem cię w dziwnych kreacjach - odparł, leniwie sącząc kawę. - Dlatego nie jestem zaskoczony. Lubisz dość nietypowe rozwiązania. Jesteś ekstrawagancka. Oto cała ty.

Nie byłam pewna, jak rozumieć te uwagi. Jeśli mężczyzna nie mówi „wyglądasz oszałamiająco, zazdrozczą ci wszystkie kobiety, jestem taki dumny, że mogę być z tobą”, rozumiem, że mnie krytykuje. Spojrzałam ponad wodą na kołujące w górze mewy i poczułam się jak w jednym z tych snów, kiedy okazuje się, że jesteś jedyną nagą osobą wśród ludzi. Dwóch, siedzących nieopodal, umundurowanych aspirantów podeszło do Izraelity i oznajmiło mu jasno i wyraźnie, że *to*, co robiłam, było *niedopuszczalne*.

- Posłuchajcie - powiedział im - może i jesteście marynarzami, ale ja jestem pilotem wojskowych sił powietrznych. Widzę, że nie macie jeszcze żadnego stopnia,

natomiast ja jestem sierżantem. Zanim więc osiągniecie to samo, odpieprzcie się.

Po tych słowach mężczyźni zasalutowali i odeszli.

- Mój bohaterze! - zawołałam, spiesząc, by przytulić mojego Izraelitę.

- Zjedz jeszcze trochę ciasta, kochanie - odparł, podając mi talerz z dużym kawałkiem cytrynowego ciasta. - Jest dużo lepsze niż cytrynowa kłapa autorstwa Milesa. - Mówiąc to, rozpiął kolejną przegródkę w swoim plecaku, wyjął z niej małe, granatowe, aksamitne pudełeczko i wręczył mi je. Zaskoczona, odłożyłam widelec. - To taki mały dowód uznania - rzekł.

Pudełko wydało stłumiony trzask i powoli uchyliłam jego wieczko. W środku był pierścionek z brylantem. Filigranowy, złoty pierścionek w kształcie piwonii. Jej pączek wykonano z brylantu.

- Mój Boże! - zawołałam. Moja Teoria! Działała! Aż za bardzo! WIEDZIAŁAM, że wszystkie te węże będą w błędzie!

- Lubisz piwonie - stwierdził Izraelita.

- Kocham je - odparłam, a do oczu napłynęły mi łzy. - Kocham cię.

- To dobrze. Przymierz go.

- Zaraz. Czy to... Czy to znaczy, że ty...?

- Chcesz za mnie wyjść?

- No cóż, no... tak - wyjąkałam. - Teoretycznie.

- Jesteś pewna?

- To naprawdę piękny pierścionek. Naprawdę piękny. Wyjątkowy. Ja tylko... och.

- Tak? - spytał.

- Po prostu to powiem, dobrze? Nie mogę poślubić człowieka, który nie jest moim kochankiem. Ja... Kocham cię, ale nie mogę.

- Podobają ci się tamte statki? - spytał niewzruszony. - Pomyślałem, że w trakcie miesiąca miodowego moglibyśmy popłynąć w rejs dookoła świata. Niedawno odziedziczyłem trochę pieniędzy. Mógłbym spłacić wszystkie twoje karty kredytowe.

Tu mnie miał. Karty kredytowe. Zmora mojego życia.

Nagle uświadomiłam sobie, jak gorąco jest mi w plecy. O nie! Nieee. Jasna cholera!

- Chyba potrzebuję Solarcaine<sup>5</sup> - powiedziałam, odwracając się tak, by mógł zobaczyć moje plecy. - Z aloesem. Spójrz na to. Bardzo źle wygląda?

- Nie wygląda dobrze - odparł Izraelita. - Boli?

Okryłam się jego kurtką, ale drażniący moją poparzoną skórę materiał jeszcze bardziej pogorszył sprawę. *Płonąć z rozkoszy i milczeć, to największa kara, jaką możemy sobie zadać...*

- Nie zniosę tego - powiedziałam.

Mówiąc to, miałam na myśli pierścionki i wiele innych rzeczy. Czy węże naprawdę zjadają własne ogony? Nie wiem. Wiem jednak, że zrzucają skórę. Teraz przyszedł czas na mnie.

Schowałam moją MC z powrotem do szafy. Moją Izraelitę również.

---

<sup>5</sup> Solarcaine - krem lub żel stosowany w wypadku poparzeń skóry.

## Rozdział 6

### ***COCO***

Czy czujecie się ubrane bez perfum? Chciałam powiedzieć: „dobrze ubrane”. Ja bez nich nie czuję się nawet dobrze rozebrana. Perfumy. Pachnąca kropka na końcu kobiecego zdania. Choć zważywszy na to, że są potężnym, niewidzialnym dodatkiem, który pobudza zmysły, lepiej byłoby nazwać je wielokropkiem...

W każdym razie potrzebuję ich, by czuć się w pełni kobieco. Nawet jeśli w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby poczuć mój zapach. Czasami to właśnie stanowi problem. Troje ludzi (z których żaden nie był moim kochankiem) stwierdziło, że mają „alergię” na moje perfumy. Czwarta osoba powiedziała, że to „dziwne”, iż czuje zapach perfum w moich włosach. Naturalnie wszyscy oni to palanci. Nie zasługują na mnie ani na COCO - moje ulubione i najlepsze perfumy wszech czasów. Perfumy tak pewne siebie, że występują we wszelkich możliwych flakonikach.

PC (Przed COCO) byłam seryjną monogamistką, która od czasu do czasu pozwalała sobie na perfumowe szaleństwo. Uważam, że to trafne określenie, zważywszy, że zwykle skłaniam się ku francuskim perfumom. W przeciwieństwie do Lerner and Loewes Gigi *naprawdę*

rozumiem Paryżan i ich: *Kochajcie się, gdy tylko nadarzy się okazja. Trwońcie każdą uroczą noc na romans.* (Zauważcie, że nie ma tu żadnej wzmianki o tym, by obie te rzeczy robić zawsze z tą samą osobą. Nie wspomniano też, że Okazja i Romans są nazwami perfum Chanel i Ralpa Laurena).

W gimnazjum i szkole średniej, podczas gdy inne dziewczynki szalały na punkcie bezbarwnych szminek, *Love* od Yardleya, *Charcie* od Revlon i *Jovan Musk*, ja byłam oczarowana krzykliwie czerwoną szminką i perfumami *Rive Gauche* od Yves Saint. Laurent. W kampanii reklamowej występowała młoda francuska kokietka, która rozbierając się, mówiła: „Będę... sobą”. Będę... *moi*. Moje *moi* tętniło życiem, było współczesne, kobiece, chłodne niczym srebro, lekkie, świeże i pachniało omszałym dębem, różami i mirrą. Uwielbiałam je. Tak jak uwielbiałam flakonik, w którym je zamknięto - walcowatą, metalową tubkę w jasnoturkusowym kolorze otoczoną trzema czarnymi paskami i wykończoną cienkimi smugami srebra. Ależ to szykowne! Eleganckie flakoniki to klucz do sukcesu. Są one częścią magii zapachu, kobiecej tajemniczości stojącej na toalecie w twojej łazience. Są jak leżąca na kuchennym blacie biżuteria.

Pewnego dnia postanowiłam urwać się z lekcji francuskiego i powąłęsać się po dziale kosmetyków u Saksy. Miałam tam starszą od siebie francuską przyjaciółkę o imieniu Élodie. Odwiedzałam ją za każdym razem, kiedy odczuwałam potrzebę zajęć w terenie. Élodie była boską, wysoką, szczupłą blondynką pracującą w perfumerii. Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie musiała pracować. Jej żonaty kochanek płacił za wszystko, łącznie z ba-

jecznym apartamentem w Georgetown. To dopiero była utrzymanka! *Une femme gardée!* Do tej pory zdarzało mi się wyłącznie czytać o tak niesamowitych stworzeniach, ale Élodie była wytworna, elegancka, zmęczona życiem, światowa i czerwonousta. Była dla mnie prawdziwą men-torką we wszystkim co francuskie, a to oznaczało, że spotykając się z nią, tak naprawdę nie urywałam się z lekcji. Żadnego poczucia winy. Wina jest taka niefrancuska. Widzieliście przecież „The Sorrow and The Pity<sup>6</sup>”.

Élodie miała porcelanową karnację i zadziwiające, szaroniebieskie oczy podkreślone czarnym ołówkiem. Wraz z upływem dnia te ogromne oczy stawały się coraz bardziej łagodne, rozmazane i zagadkowo uwodzicielskie, jak gdyby mówiły: *Właśnie przed chwilą uprawiałam fantastyczny seks i wypitałam butelkę Veuve ze swym odjazdowym kochankiem, który wygląda jak Olivier Martinez.*

Oczywiście takie rzeczy sprawdzają się wyłącznie w przypadku Francuzek. Jeśli to ja podkreśliłabym oczy ołówkiem, wyglądałabym jak obłąkany szop pracz, pospolita dziwka czy inne, nocne stworzenie.

Élodie lubiła wyskoczyć za dnia w wyznaczone przez kochanka miejsce i poprzymierzać trochę ekskluzywnych ubrań od Chanel (oczywiście fajnie było wyglądać jak uciekająca modelka, pod warunkiem że w tym czasie nie spotykała się z innymi mężczyznami). Élodie lubiła też sama zarobić trochę kieszonkowego - „Tak na wszelki wypadek” - i nastawiona na zarabianie, znała się na perfumach.

---

<sup>6</sup> *The Sorrow and The Pity* - dokument przedstawiający życie Francuzów w okupowanej przez nazistów Francji.



Przebywanie w jej towarzystwie było jak uczenie się o winach od ich największego znawcy. To ona nauczyła mnie różnic pomiędzy trzema podstawowymi „nutami” - nutą głowy, serca i bazową. Opowiedziała mi też o czterech „rodzinach” perfum (lub, jak kto woli, czterech podstawowych kategoriach, opierających się na składnikach. A trzeba wam wiedzieć, że istnieje przeszło milion podkategorii): świeżej (owoce cytrusowe, zielone liście), kwiatowej (zmieszane, łagodne zapachy), orientalnej (przyprawy, wanilia i olejki patchouli) oraz *Chypre*, zwanej też rodziną leśną (miód, ziemia, tytoń).

Élodie rozumiała co to smak, osobowość, styl i niuanse. Wiedziała, jak i na co przepuszczać pieniądze. Wiedzieć jak używać perfum i jakie perfumy wybrać, to prawie to samo, co potrafić zawiązać apaszkę na setki różnych sposobów - to konieczność, trzeba tylko mieć świadomość, co jest dla ciebie dobre. Élodie potrafiła zanurzyć się w bezdennym morzu zapachów i wypłynąć na powierzchnię, trzymając w dłoniach jeden lub dwa flakoniki idealnych perfum. Kiedyś spytałam ją, czy powinnam kupić Chanel N°5 i zakończyć całą sprawę. Mówiąc to, miałam na myśli koniec romansu z próbkami Rive Gauche i oddanie się bez reszty N°5. Chciałam uprościć. Dorosnąć. Stać się żywym przykładem jedwabistego Warholowskiego sitodruku tych ikonicznych perfum, które wisiały na ścianie mojej łazienki. Przecież Marilyn Monroe - kolejna muza Warhola - powiedziała kiedyś, że „idąc do łóżka, ubiera wyłącznie kilka kropli N°5”.

Jednak Élodie pokręciła głową. Powiedziała, że Chanel *Numéro Cinq* to z pewnością prawdziwa klasyka, ale

klasyka, którą kupuje się mamie na Dzień Matki. Nie były to jednak perfumy dla mnie.

- Chcę, abyś pachniała tak *mon petit chou* (moja mała kapustko) - rzekła swym uroczym, francuskim akcentem. Słuchanie jej było jak wsłuchiwanie się w dźwięk dzwoneczków zawieszonych na kobiecej bransoletce. Po tych słowach pokazała mi nowy, jasnozielony zapach Chanel o wdzięcznej, prostej nazwie N°19 i delikatnie spryskała nim mój nadgarstek.

- Mmm! - powiedziałam. - *Il sent merveilleux!* - Pachnie cudownie! Ponieważ uczyłam się francuskiego w szkole, Élodie była dla mnie świetnym obiektem do ćwiczeń. - No i ten flakonik. Piękny. Elegancki.

Mówiłam tu o pionowym, kryształowym prostokącie z polerowaną, srebrną nakrętką i prostych, nowoczesnych, ale eleganckich, czarnych, wypukłych literach, obecnych na wszystkich produktach Chanel.

- *Pas mai, eh?* - spytała Élodie. Niezłe, co? Francuzi niełatwo wpadają w zachwyty. Właściwie

nie zachwycają się *rien*. Niczym. Być może sądzą, że nadmierny entuzjazm jest oznaką naiwności - wyjątkowo niefrancuskiej cechy. W obecności Élodie czułam się często jak bohaterka Henryego Jamesa - uosobienie klasycznego konfliktu pomiędzy amerykańską niewinnością a europejskim doświadczeniem. *Pas mal. Pas mai* to francuski odpowiednik amerykańskiego, wielokrotnego orgazmu.

- Te perfumy zostały stworzone specjalnie dla Coco Chanel - ciągnęła Élodie. - To jej osobisty zapach. Czyż to nie zabawne? Niekonwencjonalne. To przecież ty. *C'est*

*toi*. Odrobinę zuchwałe. Masz, spróbuj jeszcze troszkę. Pozwól, aby przez chwilę dojrzały na twoim nadgarstku. Delektuj się nimi.

-Mmm! - odparłam, podnosząc nadgarstek do nosa. - Ale dlaczego 19?

- Z okazji urodzin Coco, dziewiętnastego sierpnia. Prawdziwy Lew, *n'est-ce pas?*

- Są inne niż Rive Gauche - odparłam. - Bardziej... wyraziste. Delikatne i młodzieńcze, a zarazem bardziej stonowane. To kwiatowa, leśna zieleń?

- *Voilà* - rzekła Élodie, kiwając z aprobatą głową. Kilka pasemek długich prostych włosów, zaplatało się w jej długie, czarne rzęsy. Kiedy mrugała, one także mrugały, lecz wciąż pozostawały na swoim miejscu. Chciałabym mieć proste, blond włosy i czarne oprawki oczu.

- To zapach lasu. Jaśminu, róży, irysów, ylang-ylang, drzewa sandałowego i mchu.

Ta nieograniczona wiedza o zapachach była znacznie ciekawsza od doskonalenia mojego *passé composé* czy *imparfait*.

- Twój facet nie zasługuje na ciebie, Élodie - powiedziałam. - Podobnie, jak ten sklep. Powinnaś pracować we francuskim „Vogue”, z Jacquesem Polges na Rue Cambon i to *on* powinien być twoim kochankiem. - Élodie tłumaczyła mi kiedyś, że Jacques Polges to „nos numer jeden” w domu mody Chanel przy Rue Cambon.

- Weź je do domu, *chérie* - odparła Élodie, pakując w bibułę kilka maleńkich flakoników N°19. Zawsze dawała mi tony próbek. Zawsze francuskich. Zupełnie jakby chciała, żebym prowadziła bogate życie seksualne.

Musiałam to uszanować. Miałam setki flakoników *Fracas* Roberta Piquet, *Shalimar* od Guerlain, *Joy and 1000* Jeana Patou, *Aperçu* od Houbigant i *Fleurs* od Quelques, oraz *Calèche* od Hermès. Dysponowałam też małym legionem Annick Goûtai (*Ce Soir ou Jamais* i *Quel Amour!* A także *Hadrien Absolu*, które technicznie rzecz biorąc, są przeznaczone dla mężczyzn, ale nie należy się tym przejmować, ponieważ pachną niemal tak samo jak *Eau d'Hadrien Femme*, a do tego można je kupić w poręcznych, oszczędnych i wystarczających na dłużej Dużych Flakonach) oraz całym mnóstwem Christiana Diora (*Diorissimo*, *Diorella*, *Dioressence*). Wszystkie one były cudownymi wariacjami francuskiej baśniowości; zwłaszcza *Hadrien Absolu*. (Tego zapachu najczęściej używała Élodie, choć zwykle mieszała go z innymi. Reszta, podobnie jak adres oraz charakter i szczegóły jej romansu, była objęta szczególną tajemnicą. To bardzo francuskie. Francuzi uwielbiają pielęgnować roztaczaną przez nich aurę tajemniczości).

Jak na mój nos, nic nie było w stanie przebić nowego Chanel N°19. Nawet moje zaufane Rive Gauche. *Pardonnez moi*, Yves, ale N°19 był rewelacyjny. Pachniał jak dojrzały Rive Gauche po ukończeniu szkoły, z lepszą garderobą, na wyższych obcasach i z ciekawszym kawalerem.

- Weź je do domu i wypróbuj - rzekła Élodie, wzruszając ramionami. - Bawisz się, wyczuwasz, widzisz.

To bardzo francuskie podejście.

- Nie. Kupię je od razu, moja droga - odparłam, grzebiąc w portfelu w poszukiwaniu AKV lub jak kto woli Awaryjnej Karty Visa. - Są cudowne. Najlepsze, jakie

do tej pory udało mi się spotkać. Tylko mi nie mów, ile kosztują. Nie chcę wiedzieć.

To z kolei było bardzo amerykańskie podejście.

Trzydzieści lat później, w roku 1984, najważniejszą wiadomością, która wstrząsnęła całym moim światem, nie była piosenka Madonny *Like a Virgin*, reelekcja Ronalda Reagana czy wypuszczenie na rynek komputera Macintosh. Nie, nie, nie. Były nią COCO. Nowe, marzycielskie perfumy Chanel, stworzone przez Jacquesa Polges - złote niczym koniak, barokowe i drogie. Ich bukiet kompletnie różnił się od N°19. Był bardziej długotrwały. Głębszy. Pełniejszy. Intensywny. Był czymś więcej niż omszałe zielone lasy, kwiaty i przeświecające przez korony drzew słoneczne promienie; niż skradzione w sekretnych miejscach ukradkowe pocałunki. To był senny pomruk kobiecości. Purpurowy aksamit zapadający nad miastem, zimowy zmierzch i czerwone od wina kobiece usta. Przywodził na myśl boskie, erotyczne rozgorączkowanie, szaloną żądzę, którą Francuzi nazywają *amour fou*. *Après N°19, le COCO déluge*.

Po raz pierwszy dowiedziałam się o COCO nie od Élodie, ale od „Vogue”, który zamieścił reklamę wraz z paskiem zapachowym. Zwykle natychmiast wyrywam takie rzeczy, wacham i wyrzucam, jeszcze zanim usiądę i zabiorę się do czytania.

Mówiąc to, nie mam na myśli wyłącznie pasków zapachowych. Mam manię „odchudzania” magazynów i wyrzucania wszelkich reklam. Reklamy doprowadzają mnie do szału. Zwłaszcza grube, tekturowe karty członkowskie, które albo rozsypują się po podłodze, albo wkurzają

mnie, przyklejając się do grzbietu magazynu. Reklamy z perforowanymi końcami muszą być natychmiast powstrzymane i zniszczone, w przeciwnym razie będziecie je wrywać, a i tak małe, poszarpane kawałki przykleją się do grzbietu. Wrr. A co powiecie na wielostronicowe okładki magazynów, które zwijają się pod sobą, niczym niechciane niespodzianki? NIENAWIDZĘ ich! Jestem bezwzględna, ale muszę taka być. Zwykle kartki z obustronnymi reklamami? *Adieu!* Naprawdę jestem w tym dobra. Nie potrzebuję nawet specjalnych narzędzi czy innych rzeczy. Zwykle potrafię wrywać kartki jak mało kto. Jedynymi publikacjami, które mogą stanowić wyzwanie, są magazyny „People”, „W” i sezonowy dodatek do „New York Times” - „Style”. „People” jest zszywany i kiedy dotrze się do środka, można rozedrzeć go za mocno, a wówczas cały magazyn rozpada się w rękach. „W” jest wydawany w zbyt dużym, nieporęcznym i opornym formacie, dlatego trudno jest go pochwycić i bezboleśnie wyrwać zbędne strony. „The New York Times” łączy w sobie najgorsze cechy „People” i „W”, a do tego ma cienkie, matowe kartki. Mimo to biorę nad nim górę. Moja obsesja jest tak silna i mimowolna, że wrywam nawet strony z magazynów innych ludzi. Dzieje się tak w mieszkaniach moich przyjaciół, gabinetach lekarskich, w kolejce do kasy czy u mojego fryzjera - po prostu zaczynam wrywać. To straszne. Nie mogę się powstrzymać. Mimo to ludzie nie mają mi tego za złe. Poza tym, gdyby się nad tym zastanowić, wyświadczam im przysługę. Przygotowuję magazyny i ulepszam doświadczenia czytelników, wydzierając to, co nieistotne, i dosłownie czyniąc czytanie lżejszym. (Czy jest ktoś, kto poradzi

sobie z pełnym numerem wrześniowego „Vogue”? Nie sądzę. Przecież to ważący trzydzieści funtów, prawdziwy odbój drzwiowy. Można nim zmiażdżyć dziecko).

Jednak tę reklamę COCO zatrzymałam dla siebie. Była wystarczająco dobra, abym mogła ją przypiąć do tablicy informacyjnej. Jej slogan brzmiał: *Un Nouveau Parfum, Une Nouvelle Femme*. Nowe perfumy, nowa kobieta. Ależ naturalnie! Po tak wielu latach N°19 byłam gotowa na nowości starego świata. Patrzyłam na twarz COCO, typową Francuzkę Inès de La Fressange, jej mlecznobiałą cerę, ciemne oczy, czerwone usta i towarzyszący jej wytworny, choć ekscentryczny przepych. *Mon Dieu!* Inès niemalże błyszczała na śliskim, połyskliwym papierze. Jej kruczoczarne włosy zostały upięte z tyłu, odsłaniając parę złotych kolczyków zdobionych klasycznym wytłoczonym logo Chanel - parą nachodzących na siebie, odwróconych liter C (oznaczających Coco Chanel). Jej obwieszona złotymi bransoletami i klejnotami skrzyżowane nadgarstki, a także krótkie, czarne, skórzane rękawiczki okalały jej piękną, kształtną brodę. Twarz miała tajemniczą, uwodzicielską i zamyśloną. Czy była to ta sama twarz, która wprowadziła na rynek tysiące perfum COCO i spaliła paryskie wieże? Słodka Inès, złóż na mych ustach nieśmiertelny pocałunek COCO!

Od lat byłam zadurzona w Inès. Nawet proste dziewczęta, takie jak ja, raz na jakiś czas zakochują się w innych dziewczętach. To pewien rodzaj wrażliwości, jak wydzieranie reklam z magazynów. Coś, nad czym nie można zapanować. Po prostu jestem zafascynowana niektórymi kobietami. Są albo piękne, albo zniewalające, albo zabawne, albo ekscentryczne, albo utalentowane,

albo *jakieś*. W każdym razie mają w sobie to *coś* trudne do zdefiniowania. Tak właśnie postrzegałam Élodie.

Élodie! Musiałam się z nią zobaczyć! W reklamie napisano, że COCO była dostępna wyłącznie u Saksa. Te *Nouveau Parfum* będą idealnie pasowały na randkę w ciemno, na którą niebawem planowałam się wybrać z facetem uzależnionym od kokainy. Chciałam powiedzieć, obrońcą sądowym, który kiedyś był uzależniony od kokainy. Rozumiecie? Koka-COCO. Boże, czasami życie naprawdę działa tak, jak należy.

Sonny - jak go nazywałam - był synem koleżanki, której rodzina pochodziła z dalekiego południa. Łączyła mnie z nią matczyino-córczyzna przyjaźń, jednak pewnego popołudnia, w czasie lunchu, zaczęła o nim mówić. Matki samotnych, dorosłych dzieci potrafią być niezwykle przebiegłe. Zwłaszcza żydowskie matki.

- On naprawdę jest uroczy - rzekła, przegryzając sałatkę Cobb. - Miał trochę problemów. Głównie z kokainą. Ale to wszystko, jeśli chodzi o...

- Głównie? - odparłam.

- Przede wszystkim. Był jeszcze bardzo, bardzo krótki epizod z heroiną, ale to było...

- Brzmi świetnie - odparłam, w myślach kasując jego dane z mojego miłostnego Rolodeksu<sup>7</sup>. - Mam nadzieję, że teraz jest czysty. - Zaczęłam rozgrzebywać widelcem

---

<sup>7</sup> Rolodex - obrotowy wizytownik z dwustoma przezroczystymi koszulkami na wizytówki.



swoją porcję chińskiej sałatki z kurczakiem, mając przy tym nadzieję, że nie byłam zbyt nieuprzejma dla matki ćpuna. W końcu to nie jej wina, że miała popieprzonego dzieciaka.

Doprawdy? Jestem kompletnie niedoświadczona w sprawach narkotyków. Skąd więc mogłam wiedzieć, jak to jest? W tamtym czasie koka była ostatnim krzykiem mody, ale żeby pozwolić sobie na dobry towar, trzeba było mieć kupę kasy. Tak jak Scarface, Eric Clapton czy John Belushi - ludzie, których nigdy nie poznam i z którymi nigdy się nie umówię.

Moja koleżanka wyciągnęła z torebki portfel, wyjęła z niego fotografię i wręczyła mi ją. Było to zdjęcie jej uzależnionego od kokainy syna i jego syna. Obaj stali na słonecznej plaży, uśmiechając się i mrużąc w słońcu oczy. W kąpielówkach wyglądali na wysokich i dobrze zbudowanych. Musiałam przyznać, że tatusiek był naprawdę niezły.

- Nie wiedziałam, że jesteś babcią - powiedziałam. - Jest uroczy.

- Mój jedyny wnuk, czy mój jedyny syn?

- Obaj. Są do siebie bardzo podobni. Szczerze powiedziawszy, wyglądają jak młodsza i starsza wersja Santino z „Ojca chrzestnego”. Naturalnie z „Ojca chrzestnego I”.

- Jak kto?

- James Caan. Santino Corleone? „Sonny”? Kręcone włosy? Budowa ciała?

- To dobrze?

- Nigdy nie widziałaś „Ojca chrzestnego”? Kochana. Nie wiem, co powiedzieć.

- Myślę, że widziałam ten film, ale bardzo dawno temu - odparła.

- Cóż, twój syn, „Sonny”, jest naprawdę słodziutki. Jego żona też musi być śliczna.

- Są po rozwodzie, więc...

- Mieszka z kimś? - spytałam, przywracając jego dane do miłosnego Rolodeksu.

- Nie. Zainteresowana?

- Może - odparłam.

Jeszcze tego wieczoru „Sonny” do mnie zadzwonił. Jego głos zdawał się ożywiony i skomputeryzowany. Mówił prawie tak dużo i szybko jak ja, co w istocie oznacza bardzo dużo. Śmialiśmy się z tego, w jaki sposób jego matka stała się naszą pośredniczką. Słyszałam, że coś przeżuwał; głośno i bez ustanku.

- Podwójne markizy - odparł „Sonny”. - Zastąpiłem dragi tanim żarciem. Przed nocą muszę najeść się cukru.

- Gadaj zdrów - odparłam. - Nigdy nie bawiłam się w narkotyki, chyba że weźmiemy pod uwagę substancje zawarte w M&Msach i Snickersach.

- Myślę, że te zostałyby sklasyfikowane jako środki pobudzające drugiego stopnia - rzekł ze śmiechem. Chwilę później zaczął coś pić. - Mleko. Dobra popitka dla markizów. Zaraz otworzę butelkę wody i zapalę Marlboro. Palisz?

- Tak. Jestem na tym punkcie naprawdę sfiksowana.

- Ja lubię palić. Kiedy coś zawalę, wypalam naraz całą paczkę - odparł, wydychając dym. - Wtedy wszystko wydaje się euforyczne.

- Dajesz popalić swemu ciału - powiedziałam.

- To cud, że w ogóle żyję - odparł. - Wszyscy lekarze w trzech ośrodkach resocjalizacji powiedzieli dokładnie to samo. Prawnicy, z którymi pracowałem, też. Tuż przed tym, jak mnie wylali. Przepraszam, powinienem powiedzieć, tuż przed tym, jak pozwolili mi odejść, bym mógł rozwijać się w innych, profesjonalnych dziedzinach.

- O Boże.

- Tak. Miałem do wyboru albo to, albo fakt, że zostanę pozbawiony uprawnień adwokackich. Jeśli się nad tym zastanowić, wybrałem chyba lepszą opcję.

- Aresztowali cię za narkotyki?

- Aresztowali i skazali. Za posiadanie. Wszystko przez to, że przejechałem na pieprzonym, czerwonym świetle. Dasz wiarę? To była rutynowa kontrola. Kazali mi się zatrzymać, przeszukali samochód, zrewidowali mnie. Znaleźli trochę koki. Dopiero ją kupiłem. To mnie naprawdę wkurzyło.

- Jesteś obrońcą sądowym i zostajesz zamknięty za prochy, a później wynajmujesz innego obrońcę, żeby reprezentował cię jako obrońcę, który jest także obrońcą sądowym?

- Wiem. Trochę to wszystko szalone, co? - Usłyszałam, jak odpala kolejnego papierosa.

- Czy teraz też jesteś na haju? - spytałam.

- To cukier, moja droga. Tylko cukier.

- Chyba naprawdę lubisz ten biały proszek. Jest w nim mnóstwo pieniędzy.

-Co?

- Co „Sonny” powiedział swemu ojcu - Don Vito, kiedy próbował przekonać go, żeby ten wprowadził go w tajniki narkotykowego biznesu? W „Ojcu Chrzestnym?”

- *Mój syn jest bombą. Mieszka ze swoją matką. Dajesz wiarę? Zrobiliśmy sobie dziecko w czasie miesiąca miodowego w Paryżu.*

- W Paryżu...

- Jest fajnie. Małżeństwo nie przetrwało, ale jesteśmy dobrymi rodzicami dla naszego synka. Po moim procesie - z nakazu komisji dyscyplinarnej - wzięłem trochę wolnego, żeby doprowadzić się do porządku.

- Masz na myśli ośrodek resocjalizacji? - Tak.

- A więc trzy razy doprowadzałeś się do porządku? Mówiłeś, że byłeś w ośrodku trzy razy.

- Za trzecim razem zadziałało.

- A co to takiego „komisja dyscyplinarna”? - spytałam.

- To specjalny komitet wewnątrz Departamentu Sprawiedliwości, który rozpatruje każdą skargę przeciwko prawnikom. Panel dyscyplinarny analizuje twój status licencjonowanego prawnika, kiedy skarga zostaje złożona przez biuro prokuratora stanowego.

Prawdziwy zbrodniarz. Prawdziwy zbrodniarz, który - jak dowiedziałam się od jego matki - zdobył tytuł prawnika dzięki najprawdziwszej Lidze Bluszczowej<sup>8</sup>. Jego łacińskie motto musiało mieć coś wspólnego z prawdą, Bogiem i światłem.

---

<sup>8</sup> Liga Bluszczowa (ang. *Ivy League*) - stowarzyszenie ośmiu elitarnych uniwersytetów amerykańskich znajdujących się w północno-wschodniej części USA. Używa się też angielskiego określenia „The Ancient Eight” (Stara Ósemka). Nazwa pochodzi od bluszczu typowego dla starych budynków.

- Później radca stanowy i mój prawnik pokłócili się przed komisją dyscyplinarną - ciągnął „Sonny”.

- Włączyli do dokumentacji pozwu i inne rzeczy. Komisja przejrzała je i niespełna miesiąc później wydała pisemną opinię. Biuro etyki prawniczej nakazało zbadać sprawę. To coś w rodzaju wewnątrzskładowego procesu, tyle że tu mogą pozbawić cię uprawnień adwokackich. Miałem cholernie dużo szczęścia, że nie posłali mnie do więzienia. Straciłem pracę, ale nie licencję. Skazano mnie na trzy lata prac społecznych, musiałem zapłacić wysoką grzywnę i iść do ośrodka resocjalizacji. To była najlepsza rzecz, jaka przydarzyła mi się w życiu; oczywiście oprócz narodzin syna. Tego lata otworzyłem nieopodal domu niedużą, prywatną praktykę. Mogę chodzić do pracy na piechotę. Zatrudniłem seksowną asystentkę z Brazylii. Wychodzę na prostą. Ale, ale... porozmawiajmy o tobie. Matka mówi, że jesteś bardzo ładna i radosna. Naprawdę?

- Nie wiem.

Czułam, jak od jego gadulstwa lasuje mi się mózg. Musiałam jakoś przetworzyć ten ogrom informacji. Z drugiej strony wydawało mi się, że „Sonny” nie przetwarzał niczego. U niego wyglądało to tak: bla bla bla, to się wydarzyło, tamto się wydarzyło, czas na kolejne ciastko i kolejnego papierosa. Najwyraźniej mój rozmówca był za pan brat z Ciemną Stroną Życia. *Moją* Ciemność mogłabym streścić w kilku, prostych zdaniach: Moi wierzyciele depczą mi po piętach/Robię się gruba/Czuję się samotna/Natychmiast potrzebuję zwierzęcego seksu/Jakim cudem kiedykolwiek zostanę pisarką, jeśli do końca swego życia będę asystentką w „Washington Post”?

Żyjąca we mnie młoda, naiwna dziewczynka nie wyobrażała sobie „Sonny ego” zamkniętego cały dzień w sądzie. W jej oczach był on kimś, kto większość czasu spędzał w zakazanych, mrocznych miejscach, zdobywając narkotyki. Wyjętym spod prawa wyrzutkiem, niebezpiecznym, romantycznym, pięknym, potępionym i Naprawdę Tragicznym. Kimś w rodzaju Ala Pacino w „Narkomanach” i Katharine Hepburn w „U kresu dnia”.

Czy „Sonny” kiedykolwiek zastąpi mną swoje markizy? Być może. Najpierw jednak musiałam zdobyć swój własny narkotyk: COCO. Szłam o zakład, że zapach ten da mi nadludzką siłę. Siłę, która sprawi, że „Sonny” będzie na większym haju niż po markizach Oreos czy kokainie.

- Nie ma znaczenia, czy chodzi tu o pełnomocnika w sprawach karnych; w zależności od stanu będzie to przestępstwo o wysokiej szkodliwości społecznej - powiedział Ray. - Myślę, że wyrok za posiadanie heroiny lub kokainy kwalifikuje się jako czyn naganny i grozi pozbawieniem uprawnień adwokackich.

- Tak, ale tu chodziło wyłącznie o kokainę i nie pozbawili go żadnych uprawnień - odparłam. - Po prostu wywalili go z firmy prawniczej, w której pracował.

Ray był znajomym znajomego pracującym w dziale „Metro”. Był również prawnikiem. Nie było wątpliwości, że „Sonny” mnie zaintrygował. Jednakże powiedzenie „ufaj, ale sprawdź”, nie dawało mi spokoju. Tak to już jest, kiedy pracuje się dla gazety, nawet jeśli zajmuje się tam wyłącznie stanowisko asystenta. Praca w gazecie uczy takiego właśnie myślenia.

Ponieważ w tamtych czasach nie było jeszcze wyszukiwarki Google (Boże, jak myśmy w ogóle bez niej żyli?), zaczęłam przekopywać strony Actual Live Human. (Naturalnie nie zamierzałam uprzedzać się do „Sonny ego” i narażać się na plotki ze strony jego matki).

- Cóż, mogą tu wystąpić okoliczności łagodzące - rzekł Ray - takie jak zażywanie narkotyków po raz pierwszy, wcześniejszy pobyt w ośrodku resocjalizacji, rozpoczęcie leczenia, fakt, że osoba nigdy wcześniej nie była karana czy brak wcześniejszych oskarżeń.

- Tak, to było to. Niekarałność. *Niekarałność*. Uwielbiam prawnicze gadki. Za każdym razem, gdy je słyszę, mam wrażenie, że oglądam „Hill Street Blues”<sup>20</sup>.

- Jeśli występują inne zarzuty, takie jak handel narkotykami - dodał Ray - daj sobie spokój. W przeciwieństwie do alkoholu, heroina i kokaina są uważane za substancje uzależniające. Gdzieś między tym wszystkim jest jeszcze marihuana. Powinnaś zadzwonić do adwokatury stanowej i poprosić ich o szersze wyjaśnienie tej kwestii. Sadzę jednak, że powiedzą ci to samo. Sytuacja wcale nie jest taka oczywista, a okoliczności łagodzące muszą zostać wnikliwie zbadane. Pomogłem ci jakoś?

- Jasne - odparłam. - On już nie bierze. Jest teraz zupełnie nowym człowiekiem.

*Un nouvel homme. A teraz, dzięki un nouveau parfum, stanę się une nouvelle femme z moim nowym homme.*

Tydzień lub dwa później nowy mężczyzna zaprosił nową kobietę na kolację. Zamierzał przyjechać do miasta

<sup>30</sup> *Hill Street Blues* - popularny serial kryminalny nadawany przez stację NBC.

na weekend i zatrzymać się w hotelu. To miło z jego strony, że nie *założył* od razu, że zatrzyma się u mnie. Dobrze wychowany żydowski prawnik-ćpun z Ligi Bluszczowej. To nam się podoba.

- Wiem, że lubisz francuską kuchnię i Paryż - powiedziałam. - Znam cudowne, malutkie bistro w Adams Morgan. Nie jest to może Miasto Świąteł, ale możemy przecież poudawać.

Moja absurdalnie piękna sukienka - ta, która z pewnością odwróci uwagę „Sonnyego” od narkotyków, przypominała elegancką piña coladę. Znalazłam ją u Loehmannsa i natychmiast się w niej zadurzyłam. Była to sukienka w stylu „New Look” Christiana Diora z wymyślnymi, kobiecymi akcentami. Patrząc na nią, człowiek miał wrażenie, że francuski projektant wyjechał w pośpiechu na Maui.

Moje cacko było uszyte z ciężkiej bawełny, dopasowane w biuście, z dekoltem w kształcie litery U, uroczymi, zabawnymi guziczkami w kształcie owoców, krótkimi, kimonowymi rękawkami i sięgającą za kolano, pełną spódnicą z klinów, która świszczała, kiedy się poruszałam i furkotała, gdy się obracałam. Całość miała kolor zielonej, tropikalnej cytryny, jednak tu i ówdzie na tkaninie pojawiały się owocowe wzory: wiśnie, plasterki ananasa i orzechy kokosowe.

Wszystkim, czego potrzebowałam, była fikuśna, kolorowa parasolka.

*Wypij mnie!* - krzyczałam.

Przy tak niecodziennej, stylowej kreacji musiałam znacznie ograniczyć wszelkie dodatki. Potrzebowałam



czegoś wesołego i zabawnego, a przy tym prostego. Czegoś sztucznego i słodkiego. Świetlistych kolczyków w kształcie wiśni i podobnej bransoletki? *Parfait*. Buty? Och, moje śliczne, czerwone, zamszowe szpilki bez pięt i z odkrytymi palcami. Będę musiała wydać fortunę na pedicure. Torebka? Urocza kopertówka z plecionej, czerwonej trawy, z ozdobnym, zamszowo-jedwabnym kwiatem. No i oczywiście tony Gladiatora - mojej ulubionej, czerwonej szminki. Pytam was, czy jakikolwiek narkotyk może być lepszy od takiego zestawu? Przecież on sam był jak narkotyk. Idealny na babie lato, jakie mieliśmy tamtej jesieni.

Ostrożnie zapakowałam wszystko (sukienkę, biżuterię, buty i torebkę) do torby na zakupy, aby pokazać je Elodie, kiedy wybiorę się do niej po moje COCO. W czasie drogi myślałam o wszystkich COCO podobnych słowach: Kokon. Coca-Cola. Kukuryku. Kakadu. Masło kakaowe. *Cocotte*. Cocteau. Kukułka. Cóż za szczęśliwe słowa.

Kokaina? Nie bardzo. Ale, co tam.

- Elodie? - spytała inna sprzedawczyni, w której rozpoznałam stojącą za ladą Amerykankę. - Elodie wyjechała, moja droga. W czym mogę pomóc?

- Wyjechała? - spytałam. - Dokąd? Wyszła na przerwę do Gitane? Zrobiła sobie przerwę na Gauloise a?

- Wyjechała na przerwę do Francji - odparła sprzedawczyni. - Na stałe.

- CO TAKIEGO?

- Ten jej facet... chyba im nie wyszło. To się stało kilka tygodni temu.

- Nic nie mówiła? Jestem jej przyjaciółką. Gigi.
- Ach, Gigi. Jasne. Zaczekaj. Zostawiła coś dla ciebie.

Mówiąc to, zaczęła przetrząsać otaczające ją rzeczy, aż w końcu wręczyła mi niewielką torbę od Saksa, na której zgrabną, francuską ręką wypisano moje imię.

- Dzięki - powiedziałam. Byłam zmieszana i zawiedziona, że moja francuska przyjaciółka nie poinformowała mnie, iż - *bonjour* - NA DOBRE WYJEŻDŻA Z KRAJU. Nigdy nie przypuszczałam, że tak bardzo weźmie sobie do serca moje rady. Nie cierpię zmian.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała ponownie sprzedawczyni.

- Cóż... nie wiem - odparłam z ociąganiem. Kątem oka spojrzałam na wystawę COCO, skąd kusila mnie przepiękna twarz Inès de La Fressange.

Chodziłam do Élodie i TYLKO do Élodie przez ponad dziesięć lat. Teraz czułam się nieuczciwie i dziwnie, wiedząc, że ktoś inny ma zamiar sprzedać mi moje perfumy. To zbyt osobista sprawa. Wzięłam do rąk testowy flakonik COCO i rozpyliłam go w powietrzu. Mmm. To było coś fantastycznego. Coś bardziej niesamowitego niż zapachowy pasek w „Vogue”. Spojrzałam na ekspedientkę. Nic nas nie łączyło. Nie było między nami żadnej, międzykontynentalnej chemii. Niczego wyjątkowego. Nigdy się w *niej* nie zadurzę.

Mimo to chciałam zdobyć moje COCO.

- Ładne, prawda? - spytała.

- Tak - odparłam, kiwając głową i sięgając po AKV (Awaryjną Kartę Visa). - Naprawdę luksusowe i bogate.

- Wpisać panią na listę oczekujących? - spytała. - Przykro mi, ale wszystko sprzedaliśmy. To samo dzieje się w całym kraju.

- Każdą wersję i pojemność?!? Wszystkie perfumy i wody...

- Co do sztuki - odparła. - Te perfumy cieszą się niezwykle wielką popularnością.

- Jakież próbki?!?

- Przykro mi - potrząsnęła głową. Kilkakrotnie spryskałam powietrze testerem, po

czym chodząc tam i z powrotem, zaczęłam przechadzać się w perfumowanej mgiele. Przynajmniej przesiąknę jej zapachem, a wraz ze mną ubrania i samochód. Chryste, co za porąbany dzień. Nie ma Elodie, nie ma COCO, nie ma niczego. Jakby tego było mało, „Sonny” będzie tu za trzy dni. Z tego co wiem, kupił już bilet, podczas gdy ja i moja sukienka byliśmy naprawdę wściekłe. *Merde.*

Kiedy dotarłam do domu, natychmiast nalałam sobie szklankę TaB z lodem, wyciągnęłam Parliamenty i otworzyłam małą paczuszkę od Saksa. Na stercie bibuły znalazłam wiadomość.

*Chere Gigi.*

*Proszę, wybacz mi. Wszystko odbyło się w takim pośpiechu. Musiałam wyjechać. To długa historia. Słowa, które powiedziałaś mi dawno temu, okazały się prawdę. W każdej chwili możesz odwiedzić mnie w Paryżu. Oto adres mojej rodziny... Niebawem będę mogła podać numer telefonu. Pamiętaj, to mój, ale też twój dom. Nowe perfumy Chanel są dla ciebie idealne, moja mała COCO.*

*Używaj N°19 i COCO po wsze czasy. (To idealna kwiatowo-orientalna mieszanka dobra na mroźną zimę i na noc. Pamiętaj jednak o zasadach!). COCO to francuski arcydzięgiel, bułgarska róża, goździk, indyjski jaśmin, karaibska cascarida, uroczyn, mandarynka, kwiat pomarańczy, drzewo sandałowe, skóra, drzewo, wanilia i mimoza.*

*Mówi się, że zapach ten przywołuje na myśl złoczone lustra, weneckie żyrandole i lakierowane, chińskie parawany, które Chanel miała w swoim mieszkaniu. Te i wiele innych rzeczy zobaczysz, kiedy przyjedziesz do mnie, do Paryża. Mam nadzieję, że to już bardzo niedługo, mon petit chou.*

*Affectueusement, Ton amie toujours, Élodie*

*PS Sklep sprzedał wszystkie perfumy COCO! Proszę, weź to, co udało mi się zdobyć i ukryć dla ciebie, xoxoo*

*Skończywszy czytać, natychmiast wyrzuciłam z torby całą bibułę.*

*Chère Élodie:*

*Sacré bleu! Siedemnaście próbek COCO w szklanych flakonikach!?! SIEDEMNAŚCIE?!? Élodie! Moja boska, francuska bogini! Po wieki będę chylić czoła przed twoją pachnącą osobą. Merci bien un millier défais ou au moins dix-sept mille. [Dziękuję cipo tysiąckroć albo co najmniej siedemnaście tysięcy razy]. To nieładnie z twojej strony, że nie powiedziałaś mi o swoim wyjeździe, ani nie podałaś*

powodu (wiem, to takie francuskie, pewnie i tak bym nie zrozumiała), aie znając ciebie, jestem pewna, że znowu spadłaś na cztery łapy i nawet nie rozmazałaś przy tym swej czerwonej szminki.

Tęsknię za tobą, Élodie. Za twoimi nienagannie pomalowanymi oczami. Muzyką twojego głosu. Za wszystkim.

*Amour toujours de ton petit choux, La Gigi xoxoo*

Dookoła wieży Eiffla, Łuku Triumfalnego i katedry Notre-Dame wirowały płatki śniegu. Z nieba spadało lśniące konfetti, a w powietrzu unosiły się maleńkie wisienki, podczas gdy Yves Montand śpiewał tęsknym głosem „Le temps des cerises” - ckliwą piosenkę (a właściwie wiersz) z końca osiemnastego wieku. To piosenka o czasie wiśni. Montand przestrzegał w niej swoich towarzyszy: *Luand vous en serez au temps des cerises, si vous avez peur des chagrins d'amour, évitez les belles.* „Kiedy nadejdzie czas wiśni, a wy boicie się smutków miłości, unikajcie pięknych (kobiet)”.

- To niesamowite - powiedziała do „Sonny'ego”. - Wiśnie i śnieg?!? „Wiśnie w śniegu” to nazwa starej szminki Revlon. Gdzie znalazłeś takie cacko?

- To taki malutki prezent - odparł. - Podoba ci się?

- To najpiękniejsza grająca kula śnieżna, jaką kiedykolwiek widziałam - odparłam. - Boże, nawet pasuje do mojego stroju! - Śnieżna kula. Śnieg. Dmuchanie. Czy właśnie dlatego ten seksowny potwór mi ją kupił? Chciał, żebym

miała po nim małą, zagadkową, kokainową pamiątkę? (Prawdę powiedziawszy, pamiątka wcale nie była taka mała i rozmiarem przypominała mikser od Waringa).

Sobotnie popołudnie w nijakim pokoju hotelowym „Sonnyego”. Powiedziałam mu, żeby ubrał się w coś wygodnego i swobodnego. La Fourchette, gdzie zarezerwo- wałam stolik na kolację, serwuje doskonałe, klasyczne potrawy, zachowując przy tym nieformalny charakter. „Sonny” miał na sobie to, w czym przyleciał: koszulkę polo firmy Lacoste z krótkim rękawem i zielonymi, granatowymi i białymi paskami (no i oczywiście z zielonym krokodylem Lacoste), parę spłowiałych dzinsów marki Levi's oraz granatowe mokasyny firmy Bruno Magli z gumowymi podeszwami. Wyglądał *dobrze*. Miał niesamowite, muskularne ciało. Mówię wam, wyglądał jak Santino po trzydziestce.

Ja sama byłam objawieniem. Byłam jak piña colada. Przesiąknięta testerem COCO numer jeden. (*Merci, Elodiel*). Podwinąwszy bosc stopy, siedziałam na ogromnym łóżku, otoczona sukienką, która rozłożyła się wokół mnie niczym ogromny, ogrodowy parasol. „Sonny” pochylił się i pocałował mnie. Nie był to żaden wielki pocałunek miłości, bardziej przyjacielski buziak w stylu „hej, jak leci?”. Chwilę później odpalił Marlboro i pociągnął łyk dietetycznej coli. Zjadł markiza Double Stuf (specjalnie dla niego przyniosłam całe pudełko), zrzucił mokasyny i nonszalancko rozwalił się obok mnie, podnosząc rąbek sukienki, aby jej nie pognieść. Położył popielniczkę na brzuchu i zaproponował mi, abym zaciągnęła się jego papierosem. Zaciągnęłam się, w milczeniu obserwując jego opalone stopy.

- O której wychodzimy na kolację? - spytał.

- Mamy jeszcze dwie godziny - odparłam, turlając się z łóżka, żeby wyprostować sukienkę. - Dwie, długie godziny. Co w tym czasie będziemy robić?

- Chodź tu - rzekł, odkładając popielniczkę na stolik nocny. Pociągnął mnie za rękę, chcąc żebym wróciła na łóżko i położyła się obok niego. - To dopiero sukienka. Jeśli włożyłbym ci do ust słomkę, mógłbym cię wypić?

- Podoba mi się twój krokodyl.

- Tak? A co powiesz o mnie? Jak sobie radzę?

- Cóż, Majorze Koch<sup>9</sup>, powiedziałaabym, że twoja paryska kula śnieżna z pozytywką zrobiła na mnie spore wrażenie.

„Sonny” prawdopodobnie nie zrozumiał aluzji do publicznego przemówienia majora miasta Nowy Jork, ale w tym momencie nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ mnie pocałował. Choć twierdził, że chodziło o sukienkę i słowem nie wspomniał o moim hipnotyzującym zapachu, wiedziałam (podświadomie), że ten namiętny pocałunek zawdzięczam potędze COCO.

Nie przestając mnie całować, „Sonny” rozpiął moją wisienkę. Ananasa. Orzech kokosowy. Kiedy to robił, czułam się jak wielka, podniecona piña colada. Bogu niech będą dzięki, że tego dnia założyłam śliczny, wiśniowy stanik i takie same majteczki. Czasami kobieta musi dopasować wszystko w najdrobniejszych szczegółach. (Fakt. Przyznaję, że może było odrobinę zbyt wcześnie, by pokazywać mu moje majteczki - w końcu to była dopiero pierwsza randka - ale od tygodni rozmawiałam z nim przez telefon,

---

<sup>9</sup> Edward I Koch - major miasta Nowy Jork w latach 1978-89.

więc miałam wrażenie, jak byśmy spędzili ze sobą godziny wirtualnych randek). W końcu on także się rozebrał. Jego żylaste ciało było naprężone i muskularne.

Kiedy pochylał się nade mną, miałam wrażenie, że jest sztywny, duży i gibki niczym trampolina.

I właśnie wtedy, właśnie wtedy, właśnie wtedy...

Oklapnął.

Czekałam, aż spłynie na mnie alkoholowe upojenie jagodowego Pinot Noir, które - jak mniemałam - przytępi powracające uczucie zakłopotania.

„Sonny” i ja siedzieliśmy przy uroczych oknach zatłoczonej, przytulnej La Fourchette, w milczeniu przeglądając menu. Nasz słodziutki, algierski kelner, o wdzięcznym imieniu Marcel, był niski, ciemnoskóry i przystojny. Patrząc na niego, pomyślałam, że jest bardziej interesujący od mojej randki. Nie był to dobry znak.

- *Je commencerai avec la salade vert avec la vinaigrette et le fromage de chèvre chauffé* - zwróciłam się do niego dokładnie w ten sam sposób, w jaki zwracałam się już 359 razy do jego przystojnych kolegów, czyli za każdym razem, kiedy odwiedzałam tę restaurację. - *Et alors j'aurai le filet mignon Au poivre, puit-cuisiné, et les hâtons frites de pommes de terre.*

- *Très bien, mademoiselle* - odparł. W miodowym świetle świec jego kruczoczarne włosy lśniły granatem. - *Et pour vous, monsieur?*

- Nie mówię po francusku - odparł „Sonny”.

- *Il ne parle le français* - powiedziałam. Pan nie mówi po francusku. - *C'est bien dommage.* To naprawdę wstyd.



- Co panu podać? - Marcel spytał „Sonnyego”, uśmiechając się i zerkając w moją stronę.

- Cóż, skoro już pretensjonalnie udajemy, że jesteśmy w Paryżu, zacznę od zupy z porów. Podajecie ją na zimno, prawda? Zimną jak lód? Zupę z ziemniaków i porów?

- *Out, monsieur* - odparł kelner.

- Następnie poproszę pieczeń jagnięcą z białą fasolką. *Haricots blancs*.

- Doskonale! - wykrzyknęłam. - *Haricots blancs*. Umiesz już powiedzieć biała fasolka.

- To miłe miejsce - odparł „Sonny”, rozglądając się dookoła. Ściany są tu pokryte malowidłami ściennymi. Motywami z życia kafejki.

- Tak - przyznałam, odpalając Parliamenta.

- Już wcześniej bywałam w Waszyngtonie, żeby odwiedzić matkę, ale ona nigdy mnie tu nie przyprowadziła.

- Cóż, to dość romantyczne miejsce.

- Skoro mówimy już o tym... co wydarzyło się w hotelu.

- To nic - skłamałam.

- No dobra, posłuchaj. Zanim wsiadłem do samolotu, trochę przypaliłem - zaczął, odpalając Marlboro. -Wiem, co sobie myślisz, ale to nie tak. Ja tylko trochę podpalam. Denerwowałem się tą podróżą.

- Wciąż bierzesz? - spytałam. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

- *Podpalam*. Nie biorę. Nie do końca. W każdym razie myślisz, że jesteś twardzielem. Jesteś napalony jak cholera. Ale... właściwie nie jesteś. - Mówiąc to pogłaskał mnie po rękę.

- Nie martw się. - Obrócił w palcach przyczepio-

ną do mojej bransoletki malutką wisienkę. Odsunęłam rękę, żeby sięgnąć po kieliszek.

- Dlaczego tu jesteś? - spytałam.

- Dlaczego nie? Chciałem sprawić przyjemność matce. Ona bez ustanku umawia mnie z ludźmi. Myśli, że dziewczęta „zbawia” mnie swoją... *dobrocią*.

- Jeśli spyta, powiem, że nic między nami nie zaiskrzyło, dobrze? - spytałam.

- Jasne - odparł. - Nie to, żeby nigdy wcześniej nie słyszała podobnych rzeczy.

Przy naszym stoliku pojawił się Marcel z przystawkami. Obsypując moją sałatkę czarnym, mielonym pieprzem, delikatnie otarł się o mnie i odszedł.

- Tamtego dnia, kiedy rozmawialiśmy, zapytałam cię, czy jesteś na haju - ciągnęłam. - Czy to naprawdę był wyłącznie cukier w markizach Oreos?

- Nie pamiętam.

- Czy ty w ogóle lubisz Oreos?

- Mmm. Lubię tę zupę. Jest doskonała. Chcesz spróbować?

Psychoanalityk zawsze powtarzał, że moją mocną stroną jest to, że nawet w największym gównie odnajdę szczyptę romantyzmu.

„Sonny” nie postrzegał siebie jako ćpuna, ponieważ prawdziwi narkomani nie nosili mokasynów od włoskich projektantów i krokodyli na koszulkach. Czyżby? Cóż. *Kolejny sen szlag trafił*, jak zwykła śpiewać Joni Mitchell. Tym razem zmarnowałam zaledwie miesiąc. Nie było tak źle. Wyjrzałam przez okno. Ulicami, trzymając się za ręce, spacerowali kochankowie sobotniej nocy. Śmiali się i rozmawiali. Wyglądali na tak szczęśliwych, że zaczęłam

się zastanawiać, czy to miłość, czy może po prostu byli na haju. Przytknęłam nadgarstek do nosa i wciągnęłam powietrze. Wciąż jeszcze pachniałam COCO. Tylko tyle mi zostało. No i oczywiście miałam jeszcze słodkie wspomnienia Élodie i czternastu maleńkich flakoników.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zostawić „Sonnyego” z jego zupą z porów, złudzeniami i fałszywymi erekcjami. Nie należę jednak do takich dziewczyn. W głębi duszy jestem niezwykle pragmatyczna. Od razu pomyślałam, że Marcel i jego idealna fryzura nie przynieśli jeszcze mojego *filet mignon au poivre*; a La Fourchette serwuje naprawdę miazdzący *mousse au chocolat*.

Koniec? Prawie. Podrzuciłam „Sonnyego” z powrotem do hotelu, a kiedy wysiadał, pocałował mnie w policzek i powiedział:

- Powodzenia. To dopiero był ubaw. - Miałam na to jedną odpowiedź. Chwilę później przyszła mi do głowy następna, a już za chwilę kolejne siedem tysięcy. Przede wszystkim jednak myślałam: dzięki Bogu, że przed wyjściem do restauracji zabrałam ze sobą grającą kulę śnieżną, bo chciałam jak najprędzej wrócić do domu i zdążyć na „Saturday Night Live”.

Kiedy dotarłam do Carter Barron Amphitheatre, na skrzyżowaniu szesnastej i Colorado Avenue żółte światło właśnie zmieniało się na czerwone. Widząc to, dodałam gazu. Nagle, w lusterku wstecznym pojawiły się migające koguty i usłyszałam syrenę.

Cholera.

Zatrzymałam się i opuściłam szybę. Do samochodu podszedł bardzo przystojny gliniarz, który wyglądał jak żywe wcielenie plastikowego Kena. Miłym głosem po-

prosił o moje prawo jazdy i dowód rejestracyjny, po czym spytał, czy zdaję sobie sprawę, że właśnie przejechałam na czerwonym świetle.

- Wiem, panie władzo - powiedziałam - ale właśnie przeżyłam najgorszą randkę w życiu! Facet, z którym się umówiłam, jest pieprzonym ćpunem. Uwierzyłby pan? Do tego jeszcze kupiłam COCO i...

- Proszę zostać w samochodzie.

Nerwowo odpaliłam Parliamanta i sięgnęłam po TaB. (Zawsze wożę w samochodzie jedną puszkę. Temperatura pokojowa nie stanowi dla mnie problemu).

Zerkając w tylne lusterko, zobaczyłam, że tak naprawdę było dwóch policjantów. Nazwijmy ich umownie Jeden i Dwa. (Jeden to Ken). Rozmawiali ze sobą. Chwilę później obaj podeszli do mojego samochodu. Dwa poświecił latarką na mnie i na siedzenia samochodu. Jeden powiedział:

- Pani Anders? Czy pani wie, że ma pani do zapłacenia mandaty na łączną kwotę 379\$ za nieprawidłowe parkowanie?

- Naprawdę? - spytałam, udając szczerze zdziwioną. - Jakie to straszne!

- Będziemy musieli poprosić, aby wysiadła pani z samochodu.

- Naprawdę? - spytałam znowu. - Dlaczego?

- Proszę wysiąść z samochodu - powtórzył Jeden. Chwilę później zwrócił się do swego towarzysza. - No dalej. Dzwon po posiłki.

- CO SIĘ DZIEJE?! - wrzasnęłam.

Dziesiątki samochodów stały na dwupasmowej ulicy, która teraz zmieniła się w wąską jednopasmówkę. Ludzie zwalniali, by gapić się na mnie, jak gdybym była jakimś

przestępcą. Przestępcą w stylu piña colady z wiśniową biżuterią od Lucite, ale jednak przestępcą. Świetnie. Świetnieświećnieświećnie.

Niebawem za pierwszym wozem policyjnym zaparkował drugi. Wsiadły z niego dwie policjantki. Nazwijmy je Trzy i Cztery.

- Przykro mi, ale będę musiała panią zrewidować - powiedziała Trzy.

Słyszając to, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

- Co takiego?

- Proszę się odwrócić, rozstawić ręce i nogi. Przynajmniej wszyscy używali słowa „proszę”.

- Przykro nam, ale naruszenie to naruszenie - dodała Cztery. - Musi pani zapłacić mandaty i przestać jeździć na czerwonym świetle. Przed chwilą mieliśmy podobny przypadek. Jakiś profesor z... skąd on był? Uniwersytetu Georgetown?

- Tak - odparła Trzy, poklepując mnie po udach.

- On też nie był zachwycony - dodała Cztery. - Zaczął wrzeszczeć coś w rodzaju: „Czego wy ludzie ode mnie chcecie? To na to płacę moje pieprzone podatki? Czemu nie ścigacie cholernych narkomanów?”.

Po tych słowach Jeden, Dwa, Trzy i Cztery zawyli z wściekłości. No dobra, może nie zawyli, ale wrzasnęli. Słuchając ich, stanęła mi przed oczami sytuacja rodem z książek Kafki. Zaraz, zaraz. *Ścigać narkomanów?* Czy nie TO właśnie przydarzyło się „Sonnyemu”? Przejechał na czerwonym świetle? *Cholera! Choleracholera!*

- Jest czysta - Trzy zwróciła się do Jeden. - I do tego ładnie pachnie. Masz kajdanki?

- KAJDANKI? - wrzasnęłam.

- Przykro mi, pani Anders - powiedział Jeden, dwoma kliknięciami zatrzasnął kajdanki. - Takie jest prawo. Musimy panią zabrać.

- ARESZTUJECIE MNIE?

- Tak, proszę pani. Zatrzymujemy też pani samochód. Będzie mogła go pani odebrać po zapłaceniu mandatów. - Mówiąc to, pociągnął nosem. Po chwili pociągnął nosem jeszcze raz. - Hej, ładnie pachnie. Co to za perfumy?

- COCO - odparłam, modląc się w duszy, aby Jeden nie okazał się jakimś chorym, seksualnym maniakiem.

- Pachnie pani gorącą czekoladą? - spytał.

- NIE - odparłam. - To COCO. COCO to nazwa perfum. CHANEL. KOJARZYSZ?

- Ej, chodźcie tu na chwilę! - zawołał pozostałych. - Musicie to powąchać. Przepraszam, ma pani coś przeciwko?

- JESTEM SKUTA KAJDANKAMI - ryknęłam. - CO PAN SOBIE MYŚLI?

Dwa, Trzy i Cztery stłoczyli się wokół mnie i zaczęli mnie obwąchiwać. W końcu zgodnie stwierdzili, że COCO był zapachem sfiksowanej miłości. Przede wszystkim upierał się przy tym Jeden.

Miło, kiedy cudowny wieczór kończy się komplementem z ust aresztującego cię policjanta.

- Dzięki - odparłam. - A tak przy okazji, jest pan zajęty?

## Rozdział 7

Był w moim życiu wykształciuch. Wiem, co sobie myślicie. *Ja. Z wykształciuchem. Celowo.* Każda kobieta powinna choć raz w życiu zapoznać się (a wierzcie mi, jeden raz wystarczy) z członkiem tego teoretycznie elitarnego podgatunku. To jak zanurzyć się w świecie Dewars, Docksiders i wabików na kaczki (najlepiej krzyżówki). To bardzo ciekawe. Zupełnie jak bycie turystą w L.L.Bean czy Brooks Brothers Land.

Zanim poszłam do college u, uczęszczałam do prywatnego liceum, choć lepiej powiedzieć: liceów (chodziłam do trzech różnych szkół, łącznie z zagraniczną praktyką), tak więc gatunek pokroju Holden Caulfielda<sup>10</sup> nie był mi obcy. W normalnych warunkach tacy ludzie budzą we mnie odrazę. Wiecie, o czym mówię - delikatni chłopcy należący do różnych bractw w najlepszych uniwersytetach, tyczkowaci sportowcy, od stóp do głów odziani w naturalne włókna, z wyraźną słabością do nazbyt wielu browarów oraz prostowłose, nadęte dziewczyny, których

---

<sup>10</sup> Holden Caulfield - bohater książki *Buszujący w zbożu* J.D. Salinger. Caulfield pochodzi z bogatej rodziny, jest przystojny i uczęszcza do renomowanej szkoły.

higiena osobista i podejście do makijażu zamykają się wyłącznie w słowach „mydło Ivory” i „pomadka ochronna firmy ChapStick”.

Na pierwszy rzut oka mój wykształciuch, którego przekornie nazywałam Dr. Bluszczem, niczym się od nich nie różnił. Był tylko starszy.

Wszystko zaczyna się, kiedy mężczyźni zaczynają używać wody po goleniu Eau Sauvage. Właśnie wtedy chłopięca mieszanka nonszalancji i pewności siebie staje się w ich wykonaniu rodzajem sztuki, a oni sami opanowują do perfekcji przedziwną sztukę łączenia kolorów w niekończącej się kolekcji pasiastych, jedwabnych pasków do zegarka z równie bogatą kolekcją pasiastych, jedwabnych pasków. Ale pod pozornie zwykłym opakowaniem, Dr Bluszcz był naprawdę niezwykły. Pociągałam go. Pociągały go moje czerwone usta, seksowna ekstrawersja i kręcone włosy.

Zostaje jeszcze pytanie, czy jakikolwiek uczeń potrafi cytować z pamięci całe wiersze Emily Dickinson albo choćby fragmenty F. Scotta Fitzgeralda? Być krzyżówką pomiędzy Alistairem Cookeern i Johnnym Carsonem? Albo gdy leżycie razem w łóżku, nazywać cię „transcendentalną zmysłowością”?

Kochałam też jego Midgeta. Był tak słodki, że nie byłam w stanie mu się oprzeć. Jadąc nim, czułam się jak Daisy Buchanan i wiedziałam, że był to jeden z tych samochodów, które z pewnością należałyby do Jaya Gatsby ego - ciemnozielony brytyjski MG Midget z 1963 roku, kabriolet z eleganckimi reflektorami i bliźniaczymi, polerowanymi, skórzanymi fotelami w głębokim kolorze spłowiałego karmelu. Była to prawdziwa duma i radość



Dr. Bluszcza, o której zwykł mawiać, że jest w „idealnym stanie”.

Przypuszczam, że po części miał rację, przynajmniej do chwili, gdy nie odpaliło się silnika. Fakt, mówimy tu o wyjątkowym samochodzie, któremu nie można jednak było ufać. Co dziwne, nigdy nie było z nim problemów, kiedy to ja do niego wsiadałam. Najwyraźniej Midget mnie kochał. Kiedy jednak mnie nie było, notorycznie się psuł, zawodząc swego właściciela w najmniej oczekiwanym momencie i w najbardziej niedogodnym czasie.

W takich chwilach Dr Bluszcza dzwonił do mnie o każdej porze dnia i nocy, nierzadko pijany i prosił o pomoc.

Z początku pędziłam mu na ratunek. Lubiłam go, a cała sprawa sprawiała mi frajdę, bo dzięki niej czułam się kimś ważnym. Jednak po czwartym albo piątym razie miałam już dość i nawrzeszczałam na niego, żeby zadzwonił po cholerną pomoc drogową. Następnie kazałam mu się głęboko zastanowić nad cholernym terminem „wyuczonej bezsilności”. Wtedy on nawrzeszczał na mnie, mówiąc, że jestem „cholernie niesprawiedliwa”. Wtedy ja, wrzeszcząc, kazałam mu zadzwonić do jakiegoś mniej cholernego studenta, który przyjechałby na ratunek swemu cholernemu profesorowi angielskiego i jego cholernemu Midgetowi, ponieważ ja miałam tego wszystkiego cholernie dość. Na koniec oboje wybuchnęliśmy śmiechem i zaczęliśmy robić plany na weekend. Z użyciem mojej Hondy Civic.

Ile cennego czasu zajmują w twoim życiu romantyczni wielcy przegrani? Pytanie to było tematem opowiadania, które będąc w collegeu czytałam w „The New Yorker”. Nie

pamiętam dokładnie wszystkich szczegółów, ale przypominam sobie, że autorką była kobieta, a całe opowiadanie brzmiało niczym powieść z kluczem. Historia traktowała o studentce Harvardu, która miała romans z profesorem angielskiego. Po kolejnym spotkaniu dziewczyna w strugach deszczu wracała do akademika, które studenci Harvardu wyniośle nazywają „domami”. Jej szpilki stukały na szarych, mokrych kamieniach. Stuk, stuk, stuk. Idąc, dziewczyna zastanawiała się, jak długo jeszcze potrwa ów romans i jak wiele godzin na zawsze skradnie z jej życia.

*Czas, czas, czas*, śpiewali Simon & Garfunkel, *zobacz, kim się stałem, szukając możliwości...* Niektórzy kochankowie trwają tygodniami, miesiącami, latami. W college'u odmierzasz czas za pomocą semestrów i nie musisz należeć do Ligi Bluszczowej ani pisać dla „The New Yorker”, aby mieć romans z profesorem. Możesz - jak ja - po prostu to zrobić. Mówiąc o tym, przychodzą mi na myśl takie filmy, jak „Tacy byliśmy”, czy „Love Story”, z tym wyjątkiem, że ja byłam studentką anglistyki, a Dr Bluszcz był jednym z moich profesorów.

Dr Bluszcz ukończył jeden z najbardziej prestiżowych uniwersytetów, o czym wspominał przy każdej nadarzającej się okazji. Na serdecznym palcu prawej dłoni nosił złoty sygnet z wytłoczonym herbem swojej Alma Mater, który - jak mniemam - miał przypominać zarówno jemu, jak i całemu światu, że to *on* był „ważną personą”, podczas gdy uczelnia, którą zwykł nazywać „pomnikiem mierności”, nie była godna jego osoby.

- Jeśli to miejsce faktycznie jest „pomnikiem mierności”, dlaczego pan jeszcze tu jest? - spytałam kiedyś na zajęciach.

- *Noblesse oblige* - odparł z uśmiechem.

- Harvard pana nie chciał, co? - drażylałam temat, sprawiając, że cała sala wybuchnęła gromkim śmiechem. - Cóż, *tantpis* (szkoda). Mnie też tam nie chcieli, więc chyba jesteśmy tak samo mierni.

- Może i nie jesteśmy na Harvardzie - odciął się, patrząc na mnie zza małych, okrągłych, szylkretowych okularów - ale wiele od was oczekuję i zamierzam to dostać.

- Co z wami jest? - spytała moja koleżanka, Dana, niewinna, farbowana brunetka, studentka amerykańistyki. Wybrała zajęcia Dr. Bluszcza jako przedmiot fakultatywny, ponieważ zamierzała studiować prawo i żyła w przekonaniu, że umiejętność pisania i czytania może jej się przydać. Po zajęciach ucinałyśmy sobie długie pogawędki, których wdzięcznym tematem był przede wszystkim nasz ulubiony profesor.

- To zabawne. Bawisz się nim. Jest dwukrotnie starszy od nas, a ty...

- Ja się bawię? - spytałam. - Naprawdę?

- Tak, bawisz się nim i dręczysz go.

- Nieprawda. Obudź się, moja droga. My tylko flirtujemy.

Było piękne, październikowe popołudnie. Siedziałyśmy na ławeczce w kampusowym pasażu, obserwując przemykających obok nas, skaczących i rzucających Frisbee graczy. To była moja ulubiona pora roku. Może dlatego, że październik był również tytułem jednego z wierszy Roberta Frosta, który oboje tak bardzo lubiliśmy.

*Październikowy cichy poranku, liść twój już dojrzał do jesieni/Spowolnij zegar godzin twoich, by dzień zdał się*

*nam mniej płochliwy/ Niech urok twój serca nam strawi,  
uwiedź nas swymi zaklęciami*<sup>11</sup>.

- Z tego, co widzę, ten facet wcale cię nie onieśmiela - ciągnęła Dana.

- Dlaczego miałabym być onieśmielona? - spytałam, wypuszczając dym. - Tylko dlatego, że chodził do...

- Jesteś zbyt wytworna z tą swoją hollywoodzką, czerwoną szminką, papierosami i puszkami TąB.

- To nie żadna tania, hollywoodzka szminka. To Chanel. To *miłość*, moja droga.

- Wcale cię to nie wzrusza?

- A co w tym wzruszającego? Facet nie jest nawet większy od swego samochodu, a jego samochód to przecież Midget.

- Szkoda, że jest naszym nauczycielem, prawda? - ciągnęła. - Bystre kobiety lubią inteligentnych mężczyzn. Inteligencja to podstawa.

- A więc o to cała ta afera. To dlatego Dr Bluszcz nie jest nikim wyjątkowym. Ile on mierzy, sześćdziesiąt centymetrów? Proszę. Ten facet to Munchkin<sup>12</sup>. To ciasteczkowy człowieczek Pillsbury<sup>13</sup>. Mój francuski chłopak, Bub, był o półtora metra wyższy, a sama wiesz, że Francuzi nie należą do szczególnie wybujałych. Oczywistym wyjątkiem jest ten przerażający Gérard Depardieu, ale nie wiem, co jest z nim nie tak. W każdym razie Dr Bluszcz z pewnością cierpi na kompleks Napoleona.

---

<sup>11</sup> Robert Frost *Październik* - przekład A. Dobrzańska.

<sup>12</sup> Munchkin - potoczna nazwa małego pączka bez dziurki.

<sup>13</sup> Ciasteczkowy człowieczek reklamuje produkty firmy Pillsbury.

- Ale on nie jest Napoleonem - odparła Dana. - Dr Bluszcz czuje się świetnie w swojej skórze.

- No dobrze, dobrze. A zatem nie jest *trującym* bluszczem - przyznałam, sięgając po puszkę TaB. W cywilizowanej epoce plejstocenu sprzedawali je w automatach. - Podobno tam też nie ma się czym pochwalić. Nie w ten wyjątkowo wyjątkowy sposób. Nie, żebym wiedziała to z pierwszej ręki albo nawet z drugiej.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Chwilę później w moje włosy zaplątał się czerwony, trójkątny liść. Dana zdjęła go z mojej głowy i włożyła do ręki.

- Proszę bardzo - powiedziała, patrząc na znalezisko. - Dr Bluszcz wpadł do ciebie z wizytą.

- *Merci* - odparłam, obracając w palcach szypulkę. - Dla ciebie to *Docteur Lierre*. To po francusku Doktor Bluszcz. I widzisz... to on przychodzi do mnie. Wcale nie muszę się za nim uganiać.

- Ach tak, twój wykształcony, francuski kochanek.

- Może i ma tupet, ale nie jest Galem - odparłam i wierzcie mi, wiedziałam, co mówię.

- Niemalże emanuje od niego patynowy magnetyzm starych monet; taka niechlujna elegancja - dodała Dana. - Jednak założę się, że w rzeczywistości w ogóle jej nie posiada.

- Moja droga, czy on przypadkiem nie wspominał, że mieszka w... gdzie to było? W zupełnie innym stanie? To oznacza, że jest biedny. Biedny pozer. Zresztą, według mnie, w pozowaniu jest równie kiepski. Cały czas blefuje, mówię ci. Jest w nim coś staroświeckiego. Zachowuje się jak konfederat. Cały czas próbuje przekonać wszystkich,

że jest nowoangielskim, protestanckim intelektualistą. Tak naprawdę to Strach, nie żadna Filozofia.

- W Mason-Dixon Line<sup>14</sup> też są lalusie.

- Ja mówię o wieśniakach z południa. O głębokim, głębokim południu. O zapalonych ewangelikach.

- Ewangelikach - powtórzyła sceptycznie Dana.

- W porządku. Może niezupełnie o ewangelikach, ale o baptystach. Dr Bluszcz sądzi, że jest lepszy od nich wszystkich, ponieważ spędził cztery lata, popijając piwo, doskonaląc swój francuski i dając się przelecieć w tym idyllicznym miejscu z milionami na koncie. W przeciwieństwie do tego, co jest tutaj.

- Moim zdaniem, to *ty* jesteś ponad tym wszystkim, ponieważ to *ty* spędziłaś semestr w Paryżu, popijając wino, szlifując swój francuski i dając się przelecieć...

- Tak, ale ja jestem naturalna. *La vrai chose*. Ja niczego nie udaję.

- Z pewnością nie udajesz orgazmów - odparła ze śmiechem Dana.

- *Jamais*, skarbie. Nigdy.

Dr Bluszcz może i sprawiał wrażenie szlachetnie urodzonego, ale według mnie to ja posiadałam bardziej światowe kwalifikacje. Mieszkałam w Paryżu, we Francji, a to było znacznie lepsze niż edukacja na jednym z najbardziej prestiżowych uniwersytetów. Umiliłam sobie całą

---

<sup>14</sup> Mason-Dixon Line - linia demarkacyjna pomiędzy czterema stanami, która tworzy granice stanów Pensylwania, Maryland, Delaware i Zachodniej Wirginii.

wiosnę, lato i część jesieni towarzystwem rozmaitych mieszkańców Paryża. Moim ulubieńcem był jednak Robert - uroczy kelner podający wino (prawidłowa wymowa jego imienia to Roł-Ba), który chciał, abym zwracała się do niego Bub.

W tamtym czasie czytałam w Jardin des Tuileries „Les fleurs du mai” (*Kwiaty Zła*) Baudelaire'a. Przede wszystkim jednak zakochałam się. Na 13 Rue de la Paix. Nie w mężczyźnie. W zegarku. *Le Tank*. Le Tank de Car-tier. Zegarku wszech czasów! Ach, cóż to był za zegarek! Prostokątny, a może kwadratowy... a może taki i taki? Z białym cyferblatem otoczonym osiemnastokaratowym, złotym złotem. Czarnymi, rzymskimi cyframi. Srebrzystą, opalizującą tarczą. Przypominającymi miniaturowe miecze wskazówkami z błękitnej stali, które odpowiadały kolorem ośmiokątnemu, szafirowemu kaboszonowi w ozdobnej, złotej koronie. Najważniejszą częścią zegarka był jednak czarny pasek ze skóry aligatora z najprawdziwszą sprzączką z osiemnastokaratowego złota. Oszałamiające. Eleganckie. Proste. Inteligentne. Szykowne.

Jak dość szybko zdążyłam się zorientować, moja miłość kosztowała więcej niż dwie paczki bawełnianych wacików firmy Swisspers, 450 sześciopaków TaB i powiększenie jednej piersi. Ja natomiast byłam biedną małolatą noszącą zegarek Seiko z okrągłym cyferblatem i łańcuszkową bransoletką z nierdzewnej stali. Był to prezent z okazji ukończenia szkoły średniej, który zakładałam dosłownie do wszystkiego.

Teraz jednak marzyłam o ekspatriacji i byciu uwiedzioną przez boski Le Tank z wystawy przy placu Vendome i hotelu Ritz. To tam ukrył się przed światem Hemingway.

To tam zaszył się F. Scott Fitzgerald. To tam bywała Coco Chanel. Czy naprawdę należałam do tego miejsca?

Zdjęłam okulary przeciwsłoneczne, aby móc lepiej przyjrzeć się mojemu Le Tank. Jestem krótkowzroczna, tak więc przycisnęłam twarz do szyby. Niemalże w tej samej chwili pojawiła się przede mną doskonale ubrana sprzedawczyni o imieniu Gabrielle de la Quelque Chose (ostatnią część jej imienia wymyśliłam sama i znaczyła ona mniej więcej tyle co „Coś albo Inna”), która z nachmurzoną po francusku, gniewną miną, ruszyła ku mnie z butelką sprayu i bawełnianą ściereczką.

- *Je suis désolée, madame* - zwróciłam się do niej moją najlepszą francuszczyzną. - *Mais je ne peux pas l'aider. Je suis dans l'amour! Cette montre-bracelet est si belle! Là-bas? Avec la bande noire d'alligator? Aussi, je suis myope.* „Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę się powstrzymać. Zakochałam się! Ten zegarek jest taki piękny! Tam! Z czarnym paskiem ze skóry aligatora! Do tego jestem krótkowzroczna...”.

Słyszając to, kobieta uśmiechnęła się. Chwilę potem zaprosiła mnie do środka, żebym mogła wszystko sprawdzić. Nie byłam pewna, czy powinnam to zrobić. To bolesne, kiedy jest się fizycznie tak blisko, lecz finansowo tak daleko od obiektu pożądania. Z drugiej strony, byłam przecież w Paryżu, a czyż Paryż już sam w sobie nie jest obiektem pożądania? Który zegarek z siedmiu różnych kolekcji chciałabym zobaczyć? Który z pięciu oferowanych rozmiarów, począwszy od naprawdę maleńkich, a skończywszy na superwielkich? Od tego francuskiego zbytku dostałam zawrotów nienaturalnie dużej, amerykańskiej głowy.



- Le Tankissime? (Żółta, biała albo złotoróżowa bransoletka do wyboru; bez albo z okrągłymi, białymi brylancikami, ciągnącymi się po obu stronach cyferblatu. Wyjątkowo niefunkcjonalny zegarek. Jeśli posiadacie Rolexa, lub - jak to było w moim przypadku - skromnego Seiko, wątpię, aby posiadanie tego cacka spędzało wam sen z powiek).

- Le Tank Divan? (Odwrócony bokiem duży, prostokątny cyferblat, którego kształt jest przez to niewiarygodnie szeroki i przysadzisty. Niektóre z zegarków w tej kolekcji były otoczone tonami maleńkich, białych brylancików. Wyjątkowo szeroki pasek. Limitowana seria. Zbyt błyskotliwy. Nadawał się wyłącznie dla raperów).

- Le Tank Française? (Karmelowy pasek ze skóry aligatora ze złotą otoczką lub dla odmiany - czarny pasek ze skóry aligatora ze złotą otoczką. Trzecia opcja była odejściem od motywu aligatora i oferowała w zamian stalową bransoletkę i różowy cyferblat z masy perłowej. Różne wariacje na ten sam temat. Jednak żadna z nich nie sprawiła, że ziemia zadrżała pod moimi nogami. Co do cen... cóż, tu ziemia musiała się poruszyć).

- Le Tank Américaine? (Chudy, długi, lekko wypukły, rozciągnięte pionowo, prostokątne cyferblaty. Bardzo kobiece).

- Le Tank Chinoise? (Różowe złoto, brylanciki, czarny, jedwabny pasek. Doskonały na wszystkie wytworne przyjęcia u chińskich cesarzy. Tyle ich jest w moim życiu, ale jak mawiają urzędnicy pocztowi: „Następny!”).

- Le Tank Louis Cartier? (Pasek w kolorze karmelu łączony z złotym złotem lub czarny pasek łączony

z białym złotem. Nie i jeszcze raz nie. Teraz wszystko zaczynało być dużo łatwiejsze. Eliminowałam to, czego nie chciałam, po to, aby znaleźć to, czego szukałam. Zupełnie jak mężczyźni).

- Le Tank Solo? (CHODŹ DO MNIE, MOJA MIŁOŚCI!).

Kiedy zauważę coś, czego chcę, zamieniam się w czarną wronę, która obniża lot, by pochwycić leżące na ziemi świecidełko. Tak też się stało tym razem. W pośpiechu zdjęłam mojego Seiko i zapięłam wokół nadgarstka Le Tank Solo. O, tak! Cartier! A niech mnie! Spoglądałam na niego pod różnym kątem. Patrzyłam na niego i na siebie, jak oboje odbijamy się w lustrze. Machałam ręką do niewidzialnych plebejuszy, przypominając sobie, jak robiły to Jackie O i świeżo zaręczona Lady Di, które również nosiły Le Tank.

Rozbawiona Gabrielle zaczęła wyjaśniać mi historię tego osławionego zegarka, podczas gdy ja (bezustannie machając) przysiadłam na obitym skórą krześle w cichym, przytulnym, złotym i pełnym najprzedniejszych żyrandoli sklepie.

Zanim Louis Cartier zaprojektował MÓJ Tank, w 1917 roku (należy wspomnieć, że był on jednym z wnuków założyciela firmy Louisa - François Cartie-ra) wszyscy nosili zegarki kieszonkowe. Louis Cartier chciał uhonorować amerykańskie oddziały z pierwszej wojny światowej. Projekt MOJEGO zegarka oparł na francuskich czołgach bojowych Renault. Pierwszy egzemplarz podarował generałowi Johnowi Josephowi Pershingowi - głównemu dowódcy amerykańskiego kor-

pusu ekspedycyjnego w Europie, zwanemu także „Black Jackiem”.

Oprócz swej niewątpliwej świetności, Le Tank był również wyjątkowy z powodu delikatnej elegancji oraz faktu, że projektowano różne wzory, zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet. Moim zdaniem, chodziło tu o proporcje. Duże zegarki wyglądają dobrze na mężczyznach, podczas gdy małe i drobne idealnie pasują do kobiet. Przypuszczam, że ja czułabym się najlepiej w średnim rozmiarze, który jest perfekcyjny pod każdym względem.

Wracając do historii... wkrótce każdy chciał mieć taki zegarek. (I jeśli każdy miałby wystarczającą ilość pieniędzy, z pewnością mógłby sobie na niego pozwolić).

- *Et voilà* - zakończyła swą opowieść Gabrielle, co po naszymu znaczy „Proszę bardzo”.

- To najpiękniejszy zegarek, jaki kiedykolwiek widziałam - powiedziałam z westchnieniem.

Podniosła atmosfera, cywilizowany sklep i moje no-wonabyte, kulturalne doświadczenia - wszystko to było takie niesamowite. Dlaczego ten semestr akademicki nie mógł trwać całą wieczność? Właśnie zaczynałam rozumieć, jak należy używać bidetów, ubierać się od stóp do głów na czarno i posypywać naturalny jogurt brązowym cukrem. Z ociąganiem zdjęłam z nadgarstka MÓJ cudowny Le Tank i zwróciłam go Gabrielle, czując się tak, jak gdyby ktoś zmuszał mnie do zrzucenia z siebie wszystkich ubrań. Nosząc Le Tank, człowiek miał wrażenie, jak gdyby był ubrany w markowe ciuchy od najlepszych projektantów.

- To marzenie - dodałam, z trudem powstrzymując łzy. - To marzenie. Pewnego dnia. „Pewnego dnia, kiedy

będzie mi smutno/kiedy świat pograży się w chłodzie/  
Poczuję ciepło na samą myśl o tobie..."<sup>15</sup>

- *Retournez quand vous voulez, mademoiselle*. Proszę tu wrócić, kiedy tylko pani zechce - odparła Gabrielle, całując mnie w oba policzki.

Tak też zrobiłam. Przez kilka kolejnych miesięcy co tydzień zaglądałam do Gabrielle, żeby odwiedzić MÓJ zegarek. Był dla mnie jak część zoo, w której pozwala się odwiedzającym głaskać zwierzęta. Może i nie stać mnie było na prawdziwy Le Tank, ale mogłam pozwolić sobie na coś, o czym śpiewał Mick Jagger i Stones: „Nie zawsze możesz dostać to, co chcesz, ale jeśli się postarasz, znajdziesz to, czego potrzebujesz”.

W weekendy zaczęłam włóczyć się po paryskich pchlich targach, *les marchés aux puces*, w poszukiwaniu idealnego Le Tank. Szukałam go wśród przedmiotów, które Francuzi nazywali *faux authentique*.

Niebawem zostałam prawdziwym doktorem w dziedzinie paryskich pchlich targów, z których część powstała w roku 1700. Wszystkie były równie niesamowite i fascynujące, jak ich nazwy: Aligre, Beauvau, Montreuil, Porte de Vanves, Saint-Quen. Raz udało mi się znaleźć oryginalne walizki Louisa Vuittona (nie żebym chciała taką mieć). Jeśli nie wozisz ze sobą orszaku służby, która będzie dźwigać twój bagaż, po co ci walizki, które ważą tonę, jeszcze zanim cokolwiek do nich włożysz? Ja od lat posiadam ten sam, czarny, nylonowy LeSportsac, który wciąż ma się dobrze. Kilka razy uprałam go nawet w pral-

---

<sup>15</sup> Fragment piosenki Franka Sinatry „The Way You Look Tonight”.

ce, a i tak wygląda jak nowy. Nic nie waży, jest odporny i wystarczająco duży, aby zmieścić wszystkie przybory toaletowe, kosmetyki do makijażu i pielęgnacji włosów, suszarkę z dyfuzorem, Parliamenty w dużym, otwieranym od góry pudełku, zapasową bieliznę, bezrękawniki, no i oczywiście TaB.

Po miesiącach sobót i niedziel spędzonych na *les marchés aux puces* nie znalazłam ani jednego Le Tank. Mimo to znalazłam i zakochałam się w cudownym, emaliowanym naszyjniku z wisiorkiem w kształcie Bazyliki Najświętszego Serca w Montmartre, który oczywiście kupiłam i którego nigdy nie zdejmowałam.

Mój rabbi, Bruce Kahn, mówi, że otaczająca nas boska potęga czeka tylko, abyśmy ją wykorzystali i jest dosłownie wszędzie. Jedyne, co musimy zrobić, aby do niej dotrzeć, to zaprosić Boga do naszego serca. Ponieważ Jezus był Żydem, a Bazylika Najświętszego Serca jest najważniejszym domem bożym zbudowanym w najwyższym punkcie Paryża, wymyśliłam, że byłoby fajnie, gdyby jedna z tych rzeczy mogła zastąpić drugą.

W końcu przecież wyjeżdżałam z miasta, a mój naszyjnik sprawiał, że czułam obecność *Dieu* - wielojęzycznego Boga, który był przy mnie, czuwał nade mną i w milczeniu prowadził mnie ku mojemu Le Tank.

Deszcz. Strugi deszczu. Ponura pogoda jeszcze bardziej podkreślała mój nastrój. Ostatni dzień mojego pobytu w Paryżu był burzowy i zimny, a powietrze zdawało się przesiąknięte chłodem. Patrząc, jak wycieraczki w samochodzie Buba zmiatają z szyby strumienie wody, pomyślałam o zegarze wahadłowym.

Bub był moim letnim przyjacielem, a od czasu do czasu również kochankiem. Odwoził mnie na lotnisko Charlesa de Gaullea, podczas gdy ja bez powodzenia starałam się zapanować nad łzami. Wiedziałam, że jeśli będę łkała przez długi czas, dostanę tej krępującej, bolesnej czkawki. Zamiast łkać, zaczęłam myśleć o tym, co powiedział kiedyś Hemingway: „Jeśli miałeś wystarczająco dużo szczęścia, by jako młodzieniec mieszkać w Paryżu, będziesz w nim zawsze, niezależnie od tego, dokądkolwiek się udasz. Albowiem Paryż jest jak ruchome święto”.

- *Prends la, chérie* - powiedział Bub, wyciągając w moim kierunku Gauloise bez filtra. Weź, skarbie.

Nienawidziłam francuskich papierosów, ale byłam tak przybita wyjazdem z Francji, rozstaniem z moim francuskim Bubem i faktem, że nie udało mi się znaleźć francuskiego Le Tank, że zapaliłam. Papieros był obrzydliwy, ale dobrze mi zrobił.

- Proszę, nie wychodź ze mną, Bub - powiedziałam, kiedy zatrzymaliśmy się przy chodniku mojego terminala.

Bub był romantykiem, podobnie jak miasto, w którym mieszkał i wiedziałam, że oczekiwanie na samolot w jego towarzystwie spotęguje tylko (i tak już niełatwe) pożegnanie. Nawet jeśli na zewnątrz nie było czterdziestu stopni, Bub ociekał potem, podając bagażowemu moje 783 torebki. Chwilę później wziął mnie w ramiona, przytulił i pocałował w usta tak namiętnie, że zmięłam w zaciśniętych dłoniach klapy jego niebieskiej peleryny.

- *Ne moubilespas* - szepnął, wtulając twarz w moje włosy. Nie zapomnij mnie.

Próbowałam się uśmiechnąć, a im bardziej się starałam, tym bardziej płakałam. Bub dotknął mojej wilgotnej twarzy. Na końcach jego długich, czarnych, kręconych loków przycupnęły krople deszczu, które zaraz spływały po jego policzku. Bub miał długą, szczupłą twarz; bardzo francuską twarz z brązowymi oczami, wysokimi kośćmi policzkowymi i pełnymi ustami. To była twarz, którą opuszczałam z własnej woli.

No i nadszedł czas na czkawkę. Bub wyjął z kieszeni płaszcza cienkie, prostokątne pudełeczko na prezenty i wepchnął mi je do ręki. Pudełeczko było zapakowane w piękny, zielono-biały papier i przewiązane czerwoną, satynową wstążeczką.

- *Un petit cadeau pour un bon voyage* - rzekł. - *Ouvres- le après que je parte, chérie. Avant que je commence pleurer et hoquer aussi.* Mały prezent na dobrą podróż. Otwórz je, kiedy odjadę, kochana. Zanim ja też się rozplaczę i złapię czkawkę.

Bub wrócił do samochodu i wysiadł z niego, trzymając w ręce małą buteleczkę wody mineralnej Perrier. Wypiłam ją, wstrzymując oddech. Oto jedyne lekarstwo na czkawkę.

Po raz ostatni pocałowałam i przytuliłam Buba i zanim odeszłam, uścisnęłam jego długie, delikatne dłonie. Chwilę później patrzyłam jak odjeżdża w strugach deszczu swym szarym Renault. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek wcześniej czuła się tak nieszczęśliwa. Wrzuciłam pudełeczko do torebki i weszłam do środka.

Gdzieś nad Atlantykiem zaczęłam rozpakowywać swój prezent, ale chwilę później zmieniłam zdanie.

Podarunek od Buba mógł poczekać. Nie, stwierdziłam. Nie mógł. W końcu otworzyłam pudełko. *Sacré bleu* i *Sacré Cœur!* W pudełeczku był Le Tank! Le Tank Soło! Jedyne w swoim rodzaju *faux authentique!* Nie za duże i nie za małe. Po prostu PERFEKCYJNY! Le Tank, który umykał przede mną długimi miesiącami! Po wielu pchlich targach i odległych stacjach metra w całym Paryżu! Bóg istnieje! Nawet we Francji!

Do prezentu dołączono krótki liścik napisany niestarannym pismem Buba: *Gigi, Gabrielle de Cartier connaît un gars qui vend ces Tanks. Un américain de Los Angeles, peux-tu le croire? P. Gigi, Gabrielle od Cartiera zna gościa, który sprzedaje te zegarki. Jest on Amerykaninem z Los Angeles. Dasz wiarę?*

Dobra teza i inteligentny komentarz. Choć (jak zauważyłaś w trakcie prowadzonych na zajęciach dyskusji) w niektórych swoich założeniach odbiegasz za bardzo od tematu. Twoja analiza jest bystra, a chwilami nawet zbyt wnikliwa. Jak do tej pory jest to najlepsza praca z całej grupy. 5-

Dr Bluszcz przemówił. No dobrze, powinnam raczej użyć słowa „skomentował” mój esej swym drobniutkim, prawie nieczytelnym, charakterystycznym pismem.

- Ma pan poczucie smaku, jeśli chodzi o studentów -powiedziałam mu po zajęciach. Mimochodem przeczesalam włosy palcami lewej ręki z nadzieją, że zauważy



to, co miałam zapięte wokół nadgarstka. Mój magiczny Le Tank.

Był to pierwszy raz, kiedy założyłam go publicznie i byłam święcie przekonana, że nie umknie on uwadze tego amerykańskiego lalusia, który już niebawem miał się stać moim osobistym jeńcem wojennym. Więźniem Rozwiązłości.

- W pełni podzielałam pani zdanie - odparł z uśmiechem. Po tych słowach podniósł leżącą na drewnianym krześle starą tweedową marynarkę i przerzucił ją sobie przez ramię. - Znajdzie pani czas na kawę?

- Jasne.

- Ładny zegarek - dodał.

Jak po francusku powiedzieć MAM CIĘ! Haaa.

- Jest pani aż tak bogata?

- Potwornie - odparłam, chichocząc.

Poszliśmy do najświętszego przybytku, czyli pokoju nauczycielskiego na wydziale anglistyki, gdzie Dr Bluszcz nalał do styropianowych kubków zwietrzałą, czarną kawę. Muszę przyznać, że nie była to *café crème* w Le Café de Flore na Saint Germain des Prés w towarzystwie Buba. Boże, powrót do Ameryki był potworny. Nieopodal nas przeszło kilku moich profesorów, którzy powiedzieli „dzień dobry”, jednak wyglądali na dość zmieszanych. W odpowiedzi pomachałam im ręką jak Jackie O i Lady Di.

- Przypominasz mi zielone światło w „Gatsbym” - powiedział Dr Bluszcz, wyciągając swoje krótkie nogi i rozsiadając się na długiej, brązowej, podniszczzonej sofie. Jak zwykle był bez skarpet. Dziś jednak miał na nogach prastare, brązowe mokasyny, których cholewki były

przymocowane do podeszwy grubą na trzy cale, srebrną taśmą tkaninową. Bardzo stylowe. Oto, co najwyraźniej robią wykształciuchy, kiedy ich mokasyny zaczynają rozpadać się na kawałki. Oni lubią starocie. Jeśli już mają coś nowego, chcą, aby to coś wyglądało jak antyk tak szybko, jak to tylko możliwe. Reguła ta - jak mniemałam - nie dotyczyła dziewczyn.

*Zielone światło w Gatsbych.* He podatnych na wpływ młodych dziewczyn dało się złapać na ten numer? Niektóre studentki, jak moja koleżanka Dana, patrzą na wykładowców z takim podziwem, jak gdyby byli co najmniej gwiazdami rocka. Ja z całą pewnością wyrosłam z tego gówna, kiedy tylko zobaczyłam obklejone taśmą buty Dr. Bluszcza. Oczywiście byłam w nim odrobinę zadurzona, ale według mnie, był on co najwyżej mierną imitacją Francji. Prawda? Musiałam jednak przyznać, że był niezwykle wygadany. Miał w sobie coś z Billa Clintona. Był charyzmatyczny, błyskotliwy i zabawny, a przy tym dysponował niezwykle głupim życiem osobistym. W dodatku, podobnie jak Clinton, był dużą głową, która do myślenia używała wyłącznie małej główki. To by tłumaczyło, dlaczego się rozwiódł; nie mówiąc już nawet o taśmie.

W „Wielkim Gatsbych” Daisy Buchanan powiedziała, że ma nadzieję, iż jej córka Pamela wyrośnie na ślicznego, małego głuptaska. „To najlepsze, na co może liczyć w tych czasach dziewczyna; że wyrośnie na śliczną głuptaskę”. Czyja również stałabym się Pamela, jeśli poszłabym z Dr. Bluszczem, który (jak się zdawało) potrafił poradzić sobie tylko z tym, co przydarzyło mu się ostat-

nio? Czy mogłam traktować go poważnie? Czy naprawdę tego potrzebowałam w życiu? Może, może i jeszcze raz może. Chciałam się bawić i zachować swoją niezależność. To jedna z tych pozycji, których nie można stymulować. W wielu sprawach mężczyźni mogą być naprawdę ograniczeni, ale nigdy, jeśli chodzi o kobiecą niezależność. Oni potrafią ją wyczuć. To jak feromony.

- O co chodzi z tym zielonym światłem? - spytałam.

- Och, zielone światełko na końcu przystani Daisy.

- Myślisz, że jestem łatwa? Słyszac to, roześmiał się i rzekł.

- Jesteś naprawdę orzeźwiająca.

- Dziękuję bardzo. Jestem jak TaB.

- A teraz poważnie, o co ci chodzi? - spytał, zniżając głos i rozglądając się dookoła. - Pytam, bo od miesiąca wyczuwam, że coś między nami iskrzy. A jeśli nie, to czuję, że mogłoby zaiskrzyć. Mam na myśli to, że jestem wolny, a ty... z nikim się nie spotykasz. Prawda?

- Podrywa mnie pan w pokoju nauczycielskim? - szepnęłam.

- Nie dosłownie, ale skoro o tym mowa, chciałbym cię poderwać i rzucić na moje łóżko.

- Muszę już iść - odparłam, zerkając na zegarek. - Mam zajęcia. Skały.

- Co takiego?

- Geologia. Albo skały, albo robale. *Entomologia*. Wymagania naukowe. Kiedyś spojrzalam na stawonoga i wybiegłam z sali, krzycząc jak mała dziewczynka. Skały są zdecydowanie lepsze. Mniej obrzydliwe.

- Im starsze tym lepsze, co? - odparł, a na jego twarzy pojawił się łobuzerski uśmiech.

- W niektórych założeniach za bardzo odbiega pan od tematu - zauważyłam, atakując go jego własnym komentarzem.

- Nie każda stara skała się nadaje. To samo jest z mężczyznami. Mam swoje standardy.

- Właśnie widzę. Masz również poczucie smaku, jeśli chodzi o wykładowców.

- A pan okleja swoje mokasyny taśmą.

Mój gejowski przyjaciel, Billy, mówi, że będę umawiać się wyłącznie z mężczyznami na zasiłku. W tej kwestii Dr Bluszcz chyba się nadawał. Z kim miałabym się umawiać po Paryżu i Bubie? Jednym z tych nieopie-rzonych, milczących graczy we Frisbee? Jakimś dzieciakiem w bluzie z kapturem i džinsach, który myśli, że fajnie jest zawiązać bandanę wokół szyi własnego psa i posiadać własną kolekcję fajek do palenia trawki? To był wystarczająco ciężki powrót do rzeczywistości i jedyną rzeczą, która złagodziła ten transatlantycki, kulturowy szok i dawała mi pocieszenie, był mój zegarek, który jednocześnie sprawiał, że coraz bardziej tęskniłam za domem.

Francja mnie prześladowała i niewykluczone, że zrujnowała mi życie, ponieważ od czasu powrotu nie chciałam mieszkać w żadnym innym miejscu. Czasami prawie żałowałam, że doświadczyłam tego wszystkiego. To przez Francję Ameryka zaczęła wydawać się taka dziwna. Płaska. Niedojrzała. Parafrazując moją ukochaną Joni Mitchell, w Paryżu byłam wolną kobietą, czułam się nieograniczona i żywa...

Jak tu przedłużyć to uczucie? Oto pytanie.

- Dr Bluszcz jest jak podstarzały Ralph Lauren - powiedziała Dana.

Jak zwykle po zajęciach z angielskiego siedziałyśmy na naszej ławce, rozmawiając na ulubiony temat. Dana o niczym nie wiedziała, ale w tym czasie zdążyłam się już umówić z wdzięcznym obiektem naszych rozmów. Jako że książki były „absurdalnym, wewnętrznym przymusem” mojego wykładowcy, poszliśmy do kafejki połączonej z księgarnią, która znajdowała się nieopodal domu wynajmowanego przez Dr. Bluszcza. Jak łatwo się domyślić, poszliśmy również do jego domu.

Pominąwszy fakt, że samo dostanie się w to miejsce zajęło mi i mojej Hondzie dobrą godzinę, czas, który spędziłam, jeżdżąc po okolicy starym Midgetem, należał do całkiem udanych. (Problem wynikający z umawiania się z nauczycielem jest dokładnie taki sam, jak problem wynikający z umawiania się z żonatym mężczyzną. Nigdy nie można z nimi wyjść. „Randki” odbywają się w pokojach hotelowych, twoim lub - jak było w tym przypadku - w jego mieszkaniu).

Kafejka w księgarni była kompletnym dziwactwem. Poszliśmy tam tylko raz, a Dr Bluszcz i tak zachowywał się jak kłębek nerwów. Mój stary kochaś miał też nosa do pieniędzy i faktycznie pochodził z południowych Stanów. Lubił jednak podkreślać, że nie chodziło o „jakieś tam stany”, ale jedną z trzynastu pierwszych kolonii. (Dlatego też zaczęłam potajemnie nazywać go Bubba. Nazwa ta wydawała mi się odpowiednia, a przy okazji przypominał mi Buba i Francję).

Dr Bluszcz był naprawdę dobrym rozmówcą, świetnie całował, a jego oddech był niezwykle słodki. Po seksie

zwykł mawiać „Jestem twój” i trzeba przyznać, że robił to tak naturalnie, jak Barbara Lewis w swojej piosence „Baby, I'm Yours”.

Może zachowywał się odrobinę dziwnie, kładąc na łóżku gumowe mokasyny od L.L.Bean, jak twierdził: „dla lepszej przyczepności”. Kiedy zdejmował resztę ubrań, nie wieszał ich w szafie, ani nawet nie kładł na oparciu krzesła. Po prostu starannie układał je na dywanie, tak że przypominały miejsce potrójnej zbrodni i obwiedzione kredą ciała ofiar. Tyle że nie były to ciała, a ubrania porzucone na podłodze niczym papierowe lalki.

Poza tym wydawał się względnie normalny. Jak na wykształciucha.

- Dr Bluszcz lubi wygodę - powiedziała Dana, która o niczym nie miała pojęcia. - Mówię tu o szerokich, prążkowanych, sztruksowych spodniach w kolorze piasku, które pasują do jego włosów.

- Albo spodniach khaki z mankietami - dodałam, odpalając Parliamanta.

- Szafirowych koszulach Izod ze stójką albo koszulkach od Lacoste, również ze stójką.

- Założonych pod rozpinane, błękitne lub różowe koszule z wywiniętymi rękawami.

- Albo bez wywiniętych rękawów, jeśli zakłada na to gruby sweter z norweskiej wełny. Ten granatowy z białymi wypustkami.

- Tak. Założony pod sfatygowaną, tweedową marynarkę - dodałam, sącząc TaB. - Z jasnobrązowymi, zamszowymi łatami. Nie można o nich zapomnieć.

- Uważam, że wygląda bardzo seksownie - przyznała Dana. - Te gumowe mokasyny...

- O tak, gumowe mokasyny są naprawdę podniecające - dokończyłam, mając nadzieję, że mój sarkazm zniechęci ją do dalszych wywodów. Na tym właśnie polega dochowywanie tajemnic. Pozorna przejrzystość jest tu niezbędna.

-1 żadnych skarpet?

- Nigdy! I to właśnie jest najdziwniejsze! Sto dziesięć kilogramów ubrań i ani jednej pary skarpet. Moja kochana, ci ludzie nie noszą skarpet i już. Może są na nie uczuleni?

- Kto wie? - odparła Dana, potrząsając głową i wzruszając ramionami. - W końcu jesteśmy Żydówkami.

- Eee-mily Dickinson - powiedział Dr Bluszcz, otwierając tomik poezji.

Siedział na swoim niepościelonym łóżku zupełnie nagi, z wyjątkiem okularów i osławionych, gumowych mokasynów. Na stojącym po jego stronie łóżka nocnym stoliku leżały: wypite do połowy piwo Miller Lite i zegarek z kraciastym, wełnianym paskiem firmy Steward Black (pasiasta rypsowa tasiemka na wiosnę i lato, kraciasta wełna na jesień i zimą). Na moim stoliku wałały się trzy puste puszki TaB, paczka Parlamentów, popielniczka z trzema petami, zapalniczka, para brylantowych kolczyków i mój naszyjnik z wisiorkiem w kształcie Bazyliki Najświętszego Serca.

- Och, słodka Emily - ciągnął Dr Bluszcz. - Była taką dziwną, poważną osobą.

- Chcesz powiedzieć, że nie miała poczucia humoru? - spytałam.

Byłam w łazience i ubrana jedynie w stanik i majtki spinałam włosy w koński ogon. Był późny listopad, czas egzaminów semestralnych. Sypiałam z moim wykładowcą od przeszło dwóch miesięcy i - podobnie jak fikcyjna studentka Harvardu z mojego opowiadania - zastanawiałam się, jak długo potrwa jeszcze ten cudownie niestosowny romans. Wierzyłam, że tak długo, jak będę miała mój cudowny zegarek, tak długo Dr Bluszcz będzie przy mnie trwał. W końcu zaprosił mnie na kawę tego samego dnia, kiedy po raz pierwszy pokazałam światu mój magiczny Le Tank. Tym samym wyrwał nas z niewinnego, klasowego flirtu i pokazał mi głębsze dowody swego uznania. Już samo to oznaczało, że Le Tank posiadał nadnaturalne zdolności.

- Emily to ulotna osobowość i wprawiająca w zakłopotanie poetka - ciągnął Dr Bluszcz. - Nie chciałbym jej niczego zarzucać, ale wszystkie te rzeczy, o których myślała w swoim pokoju! Jest naprawdę dobra, ale to kompletna wariatka!

- Cytując słowa Mego Ludu, czyżby? - spytałam.

Usiadłam na krawędzi łóżka i zaczęłam zakładać biżuterię. Nigdy nie noszę biżuterii w łóżku i nie lubię, kiedy robią to inni. Był kiedyś w moim życiu facet, który odmówił zdjęcia swego afrykańskiego wisiorka. Przez cały czas - jedyny zresztą - kiedy na mnie leżał, dostawałam po głowie Przylądkiem Dobrej Nadziei.

- Lubię jidysz - powiedział Dr Bluszcz. - Co robisz?

- Muszę lecieć - odparłam, sięgając po sweter, który - podobnie jak dzinsy i skarpetki - leżał ciśnięty na końcu



łóżka. Kupiłam go we Francji. Był to długi do bioder, czarny, dopasowany, rozpinany sweter z golfem i długim rękawem. Wykonano go z grubej wełny i bawełny, a zamiast guzików wszyto krzykliwy, mosiężny zamek, który można było zapiąć aż po samą szyję. Podobał mi się tak bardzo, że kupiłam jeszcze jeden w kolorze kości słoniowej. Gdzie ja posiałam moje czarne, zamszowe buty? (Czy jest na świecie coś lepszego niż czarne, zamszowe buty? Albo w ogóle cokolwiek zamszowego?).

- Nie idź - poprosił Dr Bluszcz.

- Mam egzaminy, do których muszę się przygotować. W tym również z twojego przedmiotu. Widywanie się z tobą nie podniesie mojej średniej...

- Twoje krągłości sprawiają, że wciąż czuję się głodny - odparł. - Budzisz we mnie żądzę, którą muszę wyzwolić. Wypluć ją z siebie.

- Cieszę się, skarbie. Naprawdę się cieszę, ale muszę iść. Jest środek tygodnia, a jutro rano mam skały. - Spojrzałam na zegarek. Była północ. Chryste!

- Pieprzyć skały. Zostań. Nie daj się prosić. Zostań na noc. Przecież tego właśnie chcesz. Mam popcorn, a za godzinę w telewizji zaczyna się maraton z Kojakiem.

- To się nazywa sztuka sprzedaży - odparłam.

- Wiesz, że w tej kwestii jestem kompletnym beztalenciem - dodał, zdejmując okulary i biorąc mnie w ramiona. - Kojak ma w sobie tyle uroku, co włosów na głowie.

- Naprawdę powinnam już iść - wymamrotałam. Wówczas pocałował mnie, a ja zamknęłam oczy i bez reszty oddałam się chwili. Łatwizna. Dr Bluszcz położył poduszkę w miejscu, gdzie lada chwila miały spocząć

moje biodra, zdjął ze mnie bieliznę, położył mnie na brzuchu i okrył mnie swym krępy, silnym ciałem.

- Naprawdę nie powinnaś nigdzie iść - rzekł.

Był twardy niczym skała, a trzeba przyznać, że znałam się na skałach.

- Odkąd cię poznałem, stałem się naprawdę podniecony. Delektuję się słowami. Najwyraźniej męstwo uwielbia wyzwania. Przejdźmy zatem do sedna sprawy.

- To nie za moim sercem gonisz, Doktorze Bluszcz - odparłam, podczas gdy on przeszył mnie zupełnie innym organem. - Prawda? - Nie odpowiedział. - Prawda?

Tak oto rozpoczął się taniec. To był taniec - uderzanie. Taniec zamaczanie. Było mi dobrze. Próbowałam chwycić się wolnej poduszki, ale zanim zdołałam to zrobić, mój kochanek wykonał tak głębokie i silne pchnięcie, że jego siła uderzyła moim nadgarstkiem w wezłowie łóżka.

Mój Tank roztrzaskał się na kawałki. Na całe mnóstwo malutkich kawałków. Po moim ramieniu posypały się odłamki szkła, metalu i plastiku. Niektóre z nich wpadły mi pod pachę, inne zasypały sobą prześcieradło, a jeszcze inne wpadły pomiędzy materac i wezłowie.

Dr Bluszcz najwyraźniej niczego nie zauważył. Był oszalały z podniecenia.

- O BOŻE - jęknęłam. - O BOŻE. OBOŻEOBOŻE-OBOŻEOBOŻEOBOŻE!

Jak na mężczyznę przystało, Dr Bluszcz nie miał pojęcia, dlaczego nagle tak desperacko wzywam imienia Pana. Zrozumiał, kiedy wyciągnęłam ku niemu nadgarstek, na którym zostały tylko pusta, złocona oprawka i czarny pasek z aligatora.

- Tak? - spytał. - O co... o jasna cholera! - Chwilę później sturlał się ze mnie i desperacko starał się pozbierać stłuczone kawałki. Ja w tym czasie oplakiwałam zniszczony zegarek. - Boże, tak mi przykro. Kupię ci nowy albo może uda nam się go naprawić.

- Nie możesz kupić mi nowego, ty niewrażliwa, miażdżąca zegarki świniu! - wrzasnęłam na niego. - Przewiozłam ten zegarek przez OCEAN! WIOZŁAM GO TU PRZEZ TYSIĄCE MIL! Mój kochanek, Bub, PODAROWAŁ mi ten zegarek! Jak zamierzasz go naprawić? No? Jak?

I wiecie, co powiedział?

- Miałaś kochanka o imieniu Bub?

## Rozdział 8

### Po Prostu Idealna, Dzinsowa Kurtka

Macie w swojej szafie dużo dzinsu? Ja nie. Bynajmniej nie dlatego, że jestem minimalistką, że potrafię się kontrolować albo nie mam w szafie wystarczająco dużo miejsca. Prawdopodobnie mam go dużo więcej niż wy. Zresztą nawet gdybym nie miała, jestem kobietą. *Zawsze* potrafię znaleźć miejsce w moich wypchanych po brzegi szafach i dołożyć do nich coś, co muszę mieć i bez czego nie mogłabym żyć. Po części jest to możliwe, ponieważ mam moje szafy wyłącznie dla siebie (dzięki Bogu), lecz przede wszystkim dlatego, że w ubiegłym roku mój najlepszy przyjaciel Billy zmienił moją garderobę i życie, kupując mi na święto Hanukkah wieszaki Huggable. Wieszaki Huggable to najwspanialszy wynalazek od czasu TaB. Naprawdę. Są do tego stopnia znakomite. Zostały stworzone przez Joy Mangano, absolutnie uroczą kobietę z Long Island - rozwódkę, matkę i filigranową brunetkę. Billy zobaczył Joy i jej wieszaki w Telemarkecie, czyli tam, gdzie ląduje znaczna większość jego zarobków.

Kiedy po raz pierwszy otworzyłam mój „Sześćdziesięcioczęściowy Zestaw Wieszaków”, nie załapałam, o co chodzi. Dostałam wieszaki. Ładne - pokryte ślicznym,

aksamitnym płótnem w kolorze kości słoniowej z eleganckimi, złotymi haczykami. I co z tego? Przecież byłam już posiadaczką 755 000 wieszaków firmy Container Store, a każdy wie, że to właśnie one są najlepsze:

- Białe, plastikowe, szerokie wieszaki (29 pensów za sztukę; prawdziwa okazja, zważywszy na to, że są niezniszczalne i świetnie wyglądają).

- Antypoślizgowe wieszaki do spodni i spódnic (3,49\$ za sztukę; drogie - to prawda, ale człowiek ma w swej szafie zawsze więcej sukienek i bluzek niż spodni i spódnic).

- Wieszaki z dociskaczami (trzy sztuki w cenie 6,99\$; również drogie, ale idealne do jedwabiu, satyny, rayonu i innych tkanin, które ześlizgują się z normalnych wieszaków. Stalowe, pokryte taką samą pianką, jaką stosuje się do obijania kierownicy w rowerach i motorach).

- Mosiężne wieszaki (3,99\$ za sztukę; używam ich wyłącznie do płaszczy. Świetnie się prezentują, kiedy wieszasz na nich płaszcze i szale swoich gości).

- Czyż te wieszaczki nie są BAJECZNE? - spytał Billy. - To jedyny prezent, którego moja mama natychmiast nie zwróciła!

To dało mi do myślenia. Matka Billy'ego - Louise, jest wybredną Włoszką z Queens. Tacy ludzie nigdy się nie wygłupiają. Dlatego postanowiłam dać szansę moim wieszakom. Poszłam do pokoju gościnnego, który jest także moim biurem oraz dużą wnęką ubraniową, w której przechowuję wiosenną i letnią garderobę, i przeprowadziłam test. Wybrałam jedwabną haleczkę od Isaaca Mizrahi w kolorze złamanej bieli, w jasnozielone groszki, i zawiesiłam ją na wieszaku Huggable, przeznaczonym do koszul (to ten rodzaj wieszaka, w którym nie ma poziomego prę-

ta). Stałam i czekałam, aż haleczka spadnie na podłogę. Jeśli nie powieszę jej na wieszaku z dociskaczami, zawsze spada. Ale tym razem było inaczej. Odczekałam chwilę i delikatnie rozhuściłam wieszak. Nic się nie stało. Haleczka nie tylko nie spadła, ona się nawet nie ześlizgnęła. Jejku.

Następnie zrobiłam coś, co robię automatycznie w takiej sytuacji: rozdzieliłam wiszące w szafie ubrania, aby znaleźć pośród nich miejsce na kolejny wieszak. I wiecie co? Wieszak Huggable był tak cienki i miał tak wąski haczyk, że bez trudu wślizgnął się pomiędzy ubrania. Nie musiałam niczego wciskać na siłę! Moje serce podskoczyło z radości, a ja sama poczułam, że stoję właśnie na progu garderobianego objawienia.

Pobiegłam do sypialni, w której znajduje się kolejna szafa, pełna jesiennych i zimowych ubrań. Nie jest to duża szafa. Kiedy wprowadziłam się do mieszkania, natychmiast kupiłam podwójne pręty ubraniowe firmy Container Store (9,99\$ za sztukę). To stalowe, chromowane haczyki z drewnianymi prętami. Umieszcza się je nad istniejącym już prętem i w ten oto sposób człowiek podwaja przestrzeń użytkową swojej szafy. Cudowne. Kiedy tylko wyjmie się podwójne pręty, szafa na powrót staje się mała i zagracona. Następnie wyszarpnęłam spomiędzy ubrań niezwykle szykowne, uszyte z czarnej wełny, spodnie-rurki i zdjęłam je z antypoślizgowego wieszaka, na którym wisały do tej pory. Ostrożnie złożyłam nogawki i powiesiłam spodnie na wieszaku Huggable do garniturów. Efekt był taki sam, jak w przypadku haleczki od Isaaca. Moje spodnie nawet nie drgnęły i bez trudu wślizgnęły się pomiędzy inne ubrania. Joy Mangano!

Myślę, że jesteś włoskim geniuszem! Oto do New Jersey zbliżał się prawdziwy renesans!

Ale zaraz. Chwileczkę, pani Mangano. Jest jeszcze kwestia spódnicy. Przecież ja posiadam *mnóstwo* spódnic. Pobiełam pędem do wiosenno-letniej szafy, gdzie przechowuję większość z nich. Jak twoje wieszaki poradzą sobie ze spódnicą? Pogrzebałam w telemarketowym pudełku i tam znalazłam odpowiedź. Ta kobieta myślała o wszystkim, łącznie z dwunastoma paczkami małych klipsów w kolorze wieszaków! Wystarczyło przymocować klipsy do wieszaka i jednym ruchem dopasować je do talii.

Natychmiast wypróbowałam parę na mojej ulubionej spódnicy, którą nabyłam na Anthropologie i którą nazywam saładową spódnicą. Ta ręcznie robiona, bawełniana spódniczka jest istnym arcydziełem zielonej sztuki. Wygląda jak spadające kaskadami, wycięte w półokrągłe ząbki, ozdobione ząbkowaną tasiemką, marszczone liście rzymskiej sałaty.

Widząc, jak idealnie trzyma się na wieszaku i klipsach, uścisnęłam Billyego.

- Czyż te wieszaki nie są BAJECZNE? - spytałam, miażdżąc go w uścisku. - Odmieniły całe moje życie! Nigdy nie przypuszczałam, że coś takiego może się wydarzyć!

- Daj spokój, Laleczko - odparł. - JA jestem tym, który odmienił twoje życie.

Billy zawsze nazywa mnie Laleczką. - Lala - bum, lala - bum, lala - bum, Lala - bum - bum - czka.

Podczas gdy Billy spędzał czas przyklejony do telemar-ke-  
towych prezentów „last minute”, ja spędziłam długi, świąteczny tydzień sam na sam z moją szafą. To jeden

z głównych plusów bycia Żydem w okresie świąt Bożego Narodzenia. Człowiek może ze spokojną głową rozpocząć wiosenne porządki. Na początek pozbyłam się starych plastikowych wieszaków i zastąpiłam je nowymi, cieniutkimi wieszakami Huggable. Znacie powiedzenie „Żeby było lepiej, musi być gorzej”? Zanim skończyłam zmieniać wieszaki w dziewięćdziesięciu pięciu wiosenno-letnich bluzeczkach, spódnicach i spodniach, wewnątrz mojej szafy i najbliższe otoczenie przypominało krajobraz po bitwie. Ale, ale! Składzik wiszących na wieszakach ubrań wyraźnie się skurczył. Nie liczebnie (Boże broń, abym kiedykolwiek pozbyła się jakichkolwiek ubrań), ale objętościowo. Podwoiłam, a nawet potroiłam pojemność mojej szafy! To było niesamowite. Bez kitu. Te nowe wieszaki czyniły cuda! Teraz mogłam kupować znacznie więcej, bo właśnie zdobyłam dodatkowe miejsce na ubrania!

Zgarnęłam na stertę pięćdziesiąt dziewięć rurkowatych, antypoślizgowych wieszaków na spódnice i spodnie oraz wieszaki z dociskaczami. Zapakowałam je wszystkie do ekstradużych, plastikowych worków na śmieci i usunęłam z przejścia. Byłam wykończona. Nalałam do szklanki świeżą porcję TaB z lodem, odpaliłam Par-liamenta i oceniłam sytuację. Potrzebowałam PRZYNAJMNIJ kolejnych 754 941 wieszaków Huggable na koszule i garsonki, *plus* nieograniczoną ilość dodatkowych klipsów dla reszty mojej garderoby. (Chociaż moje nowe wieszaczki ważyły tyle co nic i są wystarczająco mocne, by powiesić na nich najcięższy, zimowy płaszcz lub całkiem mały, różowy płaszczyk, postanowiłam, że w szafie z płaszczami zachowam ciężkie, mosiężne wieszaki. Podoba mi się sposób, w jaki komponują się z szafą,



a przy tym potrafią wydawać z siebie miły dźwięk, podobny do maleńkich dzwoneczków).

Weszłam na [www.hsn.com](http://www.hsn.com) i patrząc na ceny, doznałam prawdziwego szoku. Sześćdziesiąt wieszaków za cenę 74,95\$ lub sto dwadzieścia wieszaków w cenie 149,95\$. To prawie 1,35\$ za wieszak! No i jeszcze to: 19,95\$ za każdą paczkę dwudziestu klipsów. Joy Mangano, dlaczego mi to robisz? Przecież to istny, szafowy spisek. Nic dziwnego, że jesteś taka bogata, a ja nie. Musiałam zacząć powoli. Zarówno Rzym, jak i moje nowe wieszaki nie powstały przecież w ciągu jednego dnia. Zamówiłam 120 wieszaków obitych aksamitnym płótnem, wpisałam numer mojej biednej karty kredytowej, datę ważności, nacisnęłam ENTER, zamknęłam oczy na wypadek rozczarowania i... karta przeszła. Byłam tak podekscytowana i czułam taką ulgę, że zamówiłam trzy dodatkowe zestawy stu dwudziestu wieszaków i kolejne sto sztuk klipsów. Wybrałam opcję superszybkiej dostawy, co oznaczało, że za dodatkową opłatą 31,45\$ moje wieszaczki Huggable dotrą do mnie już za czterdzieści osiem godzin. Postanowiłam również, że mój portier - Louie, który jest wspaniałym facetem i będzie musiał podpisać wszystkie te ciężkie pudła oraz pomóc mi wnieść je do mieszkania, stanie się idealnym spadkobiercą porzuconych przeze mnie wieszaków firmy Container Store.

Wróćmy jednak do dżinsów. Sama posiadam kilka sztuk, jednak prawie nigdy ich nie noszę. Uwielbiam dżinsy na innych ludziach, ale nie na sobie. Dla mnie są one niewygodne - zimne zimą, gorące latem, a materiał się nie porusza, nawet jeśli dodają do niego odrobinę lycry. Niebieskie dżinsy są zbyt... zdecydowane.

Osobiście uważam, że nadają się wyłącznie do jednej rzeczy i tą jedyną rzeczą jest seks. Dżinsy są seksowne; co do tego nie ma dwóch zdań. Jeśli więc jesteście zdecydowani w sprawach seksu, powinniście je nosić. Ja sama jestem w tej kwestii dość zdecydowana, jednak wolę bardziej przewiewne i mniej oczywiste opcje. To jak joga. I spodnie do jogi. Sami wiecie, co takiego można w nich zrobić. Mniej sztywności, więcej „pozycji na pieska”. Przecież dobrze wiecie, o czym mówię.

Jedyną rzeczą, co do której jestem bardzo zdecydowana i na którą mam zawsze wielką ochotę, jest dżinsowa kurtka. *Uwielbiam* dżinsowe kurtki (powieszona na ładnych, mosiężnych wieszakach). Uwielbiam wszystko, co dotyczy dżinsowych kurtek. Ich nieodłączne, swobodne, ponadczasowe mankiety, które zawsze można wywinąć. Lubię sposób, w jaki „rozluźniają” nawet najbardziej elegancki strój. To, jak można zakładać kolejne rzeczy zarówno na nie, jak i pod nie. Sposób, w jaki na pokładzie samolotu zmieniają się w poduszki lub koce. To, że się nie gniołają nawet wówczas, gdy niefrasobliwie przerzucisz je przez ramię albo zawiązesz wokół bioder. Fakt, że pasują do wszystkiego, czy to do bikini, bermudów, czy też czarnej sukienki z odkrytymi plecami. Mam kilka takich kurtek.

Właściwie mam ich dziewięć. Kiedyś myślałam, że wystarczy mi osiem, ale się myliłam. Oto te, które miałam, kiedy spotkałam Romantycznego, Rosyjskiego Rudzielca. Dla ułatwienia posortowałam je według koloru.

Trzy, tak ciemnogrnatowe, że prawie czarne:

- GAP - 67% bawełny, 33% poliestru. Sięga połowy biodra i ma zwykły kołnierz. Z przodu i na mankietach znajdują się płaskie, srebrne guziczki. Nie ma

kieszeni. (Nie lubimy kurteczek bez kieszeni). Skrojona na podobieństwo eleganckiej marynarki odpowiedniej na spotkania biznesowe. Elegancka, choć trochę się jej obawiam. Nie jestem pewna dlaczego.

- Niedbała, ciężowa wersja GaPa (naprawdę). 100% bawełny. Nie ma kołnierza, a zamiast guzików są srebrne zatrzaski. Z ledwością zakrywa pupę. Posiada ukośne kieszenie (ha!) i stylowe, długie mankiety z trzema srebrnymi, pionowymi zatrzaskami. Idealna na dni, kiedy czujesz się naprawdę gruba.

- Isaac Mizrahi. Absolutnie słodka, zabawna, dopasowana i leciutka. 100% bawełny. Sięga zaledwie do talii (można ją regulować dzięki dwóm malowanym, srebrnym guziczkom). Z przodu zapinana na płaskie, malowane, srebrne guziki. Posiada jasnopomarańczowe przeszycia i cudownie postrzępione szwy (w okolicach kołnierza, z przodu, na dole i przy mankietach), które przypominają sztuczne futro. UWIELBIAM ją. Ale Isa-acu? Dlaczego nie pomyślałeś o kieszeniach?

Delikatnie wytarte, błękitne:

- H&M LOGG. Cienka, stuprocentowa bawełna. Delikatnie wybielona. Dekolt w szpic, bez kołnierza. Długość sięgająca talii, niestety bez kieszeni (ale to przecież H&M. Zapłaciłam za nią 20\$, więc czego tu się spodziewać?). Do tego płaskie, srebrne guziczki i beżowe przeszycia. Dobra na siedzenie przy basenie. To dżinsowa kurtka, którą można chlorować.

- LizWears. 97% bawełny, 3% spandeksu. Maleńka, niezwykle kusa i dopasowana kurtka z dekoltem w szpic,

253

rażąco żółtymi szwami, guzikami, które wyglądają jak stare pensówki i ukośnymi kieszeniami po bokach. Bardzo słodka i wygodna. Do tego przypomina kurtkę, którą Jessica Lange nosiła do minispódniczek i długich, odkrytych nóg w

„Zbrodniach serca”. Jak Pauline Kael napisała niegdyś o kurtce Jessiki: „Coraz bardziej podoba mi się jej spłowiały džins; Jessica nosi go niczym odznakę honorową”.

- ET VOUS. Gruby, miękki materiał. 100% bawełny, co czyni tę kurtkę naprawdę niezwykłą. Kolor nie jest ani za ciemny, ani za jasny. Dżins, z którego ją uszyto, nie jest ani za ciężki, ani za lekki. Oto, jak we Francji przedstawia się amerykańską kowbojkę. Krój kurtki przypomina kokon (można pod niego założyć mnóstwo innych rzeczy). No i jeszcze te dodatki: bufiaste rękawy, głębokie na 21 cm, bliźniacze kieszenie z klapkami (na piersiach), głębokie, boczne kieszenie i srebrne guziczki, z wytłoczonymi na nich maleńkimi, pięcioramiennymi gwiazdkami. Nie mam pojęcia, w jaki sposób Ann Taylor zdobyła tę kurtkę ET VOUS. To najstarsza kurtka z mojej kolekcji i zdecydowanie moja ulubiona. Przez ostatnie lata nosiłam ją tak często, że ostatnio musiałam oddać ją do kompletnej renowacji.

Letnia, biała kurteczka:

- Musiałam ją mieć. To GAP. 95% bawełny, 2% lycry. Jest to kurteczka z kołnierzem, lśniącymi, srebrnymi guziczkami, białymi szwami, naszytymi na piersiach kieszonkami z klapką, bocznymi kieszonkami na ściągacze. Długa do połowy biodra. Idealna.

Kurteczka z jaskrawożółtego, wytartego dżinsu (znana także jako wyjściowy płaszczyk):

- Dobrze. Technicznie rzecz biorąc, to wcale nie jest kurtka. Mimo to wygląda jak kurtka, jest uszyta z dżinsu i należy do kategorii ubrań określanych mianem „odzieży wierzchniej”. Poza tym, jest zbyt słodka, by o niej nie wspomnieć. Wyprodukowana przez Cotton Colors. 100% bawełny. Długa do kolan, posiada kołnierz, srebrne zatrzaski, cztery naszywane kieszenie (dwie na piersi i dwie na biodrach), ukośne kieszenie po bokach (to nam się podoba) i rozcięcie z tyłu.

Właśnie tę kurtkę miałam na sobie, wybierając wieprzowinę i orzeszki piniowe w Whole Foods. Była wiosna, a moje szafy wreszcie wypełniły się wieszakami Huggable. Były teraz tak doskonale zorganizowane i jednolite, tak czyste i eleganckie, że aby uwierzyć, trzeba było je zobaczyć.

Rozentuzjasmowana takim stanem rzeczy postanowiłam zorganizować małą kubańską imprezę, z wdzięcznym przesłaniem „Wyjdźmy z szafy”, wysokokalorycznym jedzeniem, w towarzystwie Billy'ego i mojej najlepszej przyjaciółki z Jersey - Eman.

Moje menu: *puerco asado* (pieczona połówka wieprzowa), *frijoles negros con arroz blanco* (czarna fasola z białym ryżem), *plátanos maduros fritos* (smażone, dojrzałe orzeszki piniowe), rogalce nadziewane gu-ajawą (podawane do obiadu, jako dodatek do chleba) i *flan de coco con fresas frescas* (słodki sos z mleka kokosowego i karmelu, przystrojony świeżymi truskawkami).

Chociaż tradycyjną, kubańską sałatką jest *ensalada de aguacate* (drobno pokrojone awokado, drobno posiekane biała cebulka i świeża pietruszka, sól, pieprz, hiszpańska oliwa z oliwek i świeżo wyciśnięty sok z cytryny), ja stworzyłam zupełnie inną sałatkę. Nie jest ona ani trochę kubańska, ale smakuje rewelacyjnie i gdybym jej nie zrobiła, Billy i Eman chyba by oszaleli. Był to kulinarny odpowiednik sałatowej spódnicy, do którego zainspirowała mnie sałatka w Capital Creations - wyśmienitej pizzerii w Raleigh w Północnej Karolinie. Mieszkałam tam kiedyś i wiercie mi, ta sałatka z balsamicznym sosem wi-negret jest naprawdę niewiarygodnie pyszna. Naturalnie pizza też jest dobra, ale sałatka... o mój Boże.

W tamtych czasach spotykałam się z niezwykle skąpym facetem, który jęczał, kiedy przyszło mu zapłacić 8,20\$ za - jak to uroczo ujął - „pieprzone, drogie chwasty”. Jakież to miłe.

Tak więc, przeanalizowałam składniki i wymyśliłam własną wersję, którą od tamtej pory lubiłam znacznie bardziej od tego pospolitego gbura.

Do sałatki:

Liście sałaty (około garść na osobę; trzy, jeśli zapraszasz do siebie Billyego i Eman);

Cienko pokrojona, mała, czerwona cebulka;

Kozi ser (wystarczająco dużo, aby czuć go było w każdym kęsie);

Prażone orzeszki piniowe (orzeszki piec przez około pięć minut w temperaturze 350°, powinno być ich dużo, ale należy uważać, ponieważ łatwo się przypalają);

Grzanki z masłem czosnkowym.

Do ekstatycznego sosu winegret: (przepis na około pół szklanki; w razie potrzeby, można dodawać podwójną lub potrójną ilość składników)

**2 łyżki stołowe octu balsamicznego;**

**3 łyżki stołowe oleju roślinnego; 3 łyżki stołowe oliwy z oliwek; 1/2 łyżeczki soli;**

**Świeżo zmielony, czarny pieprz; 1 wyciśnięty ząbek czosnku.**

Wszystkie składniki połączyć w mikserze. Schłodzić przez kilka godzin lub odstawić na noc. Sos powinien być gęsty, prawie jak gęsta śmietana. W żadnym wypadku NIE należy używać robota kuchennego ani trzepaczki. Ten pierwszy zamieni twoje dzieło w rzadką papkę, a przy drugim zmęczysz sobie rękę.

A więc jestem sobie w Whole Foods przygnębiona faktem, że ich doskonała połówka wieprzowa (której przy apetycie Billyego potrzebuję aż 2,5 kg) oraz orzeszki piniowe nawagę kosztują 10,99\$. Wszystko inne zdążyłam już kupić w zwykłym sklepie.

Uwielbiam Whole Foods (zresztą, kto ich nie kocha?), ale drzę na samą myśl, ile kosztowałyby mnie ta kolacja, gdybym kupiła u nich wszystko, czego potrzebuję. Mimo to, czułam się szczęśliwa. Był piękny dzień, a ja byłam ubrana w moją wytartą, żółtą kurteczkę, biały top, naciągane, czarne, frotowe dzwony z białymi, pionowymi paskami i zewnętrznymi szwami, czarne, skórzane klapki

na skórzanych podeszwach, brylantowe kolczyki i czarne okulary przeciwsłoneczne. Jakby tego było mało, moje usta były naprawdę czerwone, a w dłoniach trzymałam czarną, nylonową torbę na zakupy firmy Banana.

Obsługujący mnie przy kasie rudowłosa mężczyzna z bujnymi, rudymi wąsami, powiedział, że kolor mojej kurtki przypomina mu piosenkę Coldplay pod tytułem „Yellow”: *Spójrz na gwiazdy, jak lśnią dla ciebie i wszystkiego, czego dotkniesz. Są takie żółte.*

- Czy to przypadkiem nie rosyjski akcent słyszę w tej brytyjskiej piosence? - spytałam.

- *Da* - odparł. - Dobra jesteś.

- Wyróżniasz się - powiedziałam i nie chodziło tu o akcent. Byliśmy w New Jersey. Tu każdy ma jakiś akcent. Wyróżniało go to, że był jedynym kasjerem, który nie miał tatuaży, licznych kolczyków, warkoczyków, dredów, końskiego ogona czy ogolonej na łyso głowy.

- A ty, Panno Żółta, możesz mówić do mnie Smirnoff.

- Jesteś wódką? - spytałam ze śmiechem.

- Dla ciebie mógłbym nią być. Wypiłabyś mnie i upiłabyś się mną.

Chryste. To tak się poznaje ludzi? Stojąc w kolejce w Whole Foods z zamiarem kupienia wartego 55\$ kawałka świni, który jest ci potrzebny, aby uczcić zakup wieszaków?

Smirnoff był naprawdę miły. Wyglądał na mojego rówieśnika, choć może był kilka lat starszy. W dodatku pochodził z byłego ZSRR. Jakby to było, gdyby ktoś zaśpiewał z brytyjskim akcentem piosenkę o ZSRR? *Pozwól, niech usłyszę dźwięk twej bałatajki. Chodź, ogrzej*



*swoich towarzyszy*. Hmm. Urodziłam się na Kubie. Może moglibyśmy wzajemnie doprowadzić się do międzykulturowego upojenia.

- Jestem Gigi - powiedziałam.

- Naprawdę? - spytał. - Tak.

- W Moskwie mieliśmy małego pieska o imieniu Gigi. Był taki słodki.

- Jasne. Każdy miał kiedyś maleńkiego pieska o imieniu Gigi.

- Tak, ale nie w Moskwie. Może napiłabyś się ze mną soku Jamba Juice? Niedługo będę miał przerwę. To tylko kilka minut.

- Chętnie - odparłam, wręczając mu moją kartę kredytową i celowo nie patrząc na cenę - ale kupiłam wieprzowinę. Muszę ją zanieść do domu.

- Wrócisz?

- Mieszkam aż w Hackensack. Nie przychodzę tu zbyt często.

- Wróc - poprosił, patrząc na mnie czułym wzrokiem. - Gigi. - Sposób, w jaki wypowiedział moje imię, był przeuroczy.

- Dobrze - odparłam. - Wrócę.

- Kiedy?

- Nie wiem.

- Jutro?

- Nie, jutro nie mogę. W przyszłym tygodniu.

- Dobrze. Pójdziemy na kawę. Mieszkam niedaleko stąd. Z rodzicami i siostrą. Nie minął nawet miesiąc odkąd jesteśmy w Stanach. Azyl polityczny. Pomogła nam New Jersey Reform.

- Naprawdę? „Komitet Ocalenia Rosyjskich Żydów”?
- *Da. A ty ocalisz mnie.*
- Przed czym?
- Światem bez koloru żółtego.

Moja impreza „Wyjdźmy z szafy” okazała się prawdziwym strzałem w dziesiątkę. Billy i Eman piali z zachwytem nad moimi szafami w stylu Huggable i kubańską sałatką. (W trakcie kolacji ani słowem nie wspomniałam o Smirnoffie w obawie, że Billy mógłby mi go ukraść).

Kiedy w końcu zabrałam się za sprzątanie, zobaczyłam leżący na kuchennym blacie paragon z Whole Foods. Rachunek wynosił 23,73\$. Jak to możliwe? Smirnoff policzył mi za różne towary, ale nie za wieprzową poledwicę. Podstępny, mały Rusek. Czy on kompletnie oszalał? Może myślał, że wciąż ma do czynienia z moskiewskim, czarnym rynkiem? Może należał do rosyjskiej mafii? A może chodziło tu o prawdziwą miłość?

W następnym tygodniu wróciłam do Whole Foods. Smirnoff już tam był, śmiejąc się i zagadując klientów, ubrany w popelinową, kraciastą, zieloną koszulę od Lacoste z wywiniętymi rękawami, ciemnogrnatowe dżinsy Levi's 501 i granatowe, obszyte jutą, płócienne espadryle. Sama słodycz. Tylko nieliczni mężczyźni mogą pozwolić sobie na noszenie espadryli. Podobnie rzecz się ma z sandałami. Jeśli mężczyzna jest uczciwy - a zakładałam, że pomimo swej przedziwnej wrażliwości i uprzejmości, taki właśnie był Smirnoff - z pewnością nie jest on Amerykaninem.

Stałam na samym końcu długiej kolejki do kasy Smirnoffa, w której - o dziwo - stały wyłącznie kobiety. Czy zauważyłam wcześniej jego pełne usta? Te, na które patrzyłam teraz, wyglądały jak usta Angeliny Jolie i szłam o zakład, że świetnie całowały.

- Gigi! - wykrzyknął Smirnoff. - Wróciłaś!
- Wróciłam na Jamba Juice - odparłam.
- W zielonej spódnicy.
- Ona wcale nie jest zielona. Jest sałatowa.

Tak, wyjęłam z szafy sałatową spódnicę. Założyłam do niej delikatnie wytartą, błękitną kurtkę od LOGG, biały podkoszulek bez rękawów, biały, koronkowy stanik, długie do kostki sandały z wielbłądziej skóry, z wyplatanyimi cholewkami i obitymi skórą koturnami, długi, złoty naszyjnik z wisiorkiem w kształcie kiści winogron, którego lśniące, żółte kamyczki idealnie pasowały do spódnicy (do kompletu mam jeszcze kolczyki, ale są one tak ciężkie, że nie mogę ich nosić), klasyczne, białe okulary z masy perłowej z ciemnozielonymi szklami (odpowiadające kolorem spódnicy), moją ulubioną, ponadczasową torbę z rafii, projektu Helen Kamiński i oczywiście miałam czerwone usta Chanel. Wiem. Wyglądałam porażająco. Dziękuję. Choć może powinnam powiedzieć *cnacuóo* (spa - SEE - bah).

- To zajmie mi tylko kilka minut - powiedział Smirnoff. - Spotkamy się na zewnątrz.

Kolejny, piękny, wiosenny dzień. Przed sklepem stały dziesiątki donic z liliami. Ich zapach był odurzający. Chwilę później pojawił się Smirnoff, trzymający w dłoniach dwa papierowe kubki soku. Usiedliśmy w słońcu, na małej, drewnianej ławeczce, stuknęliśmy się kubkami

i jednomyślnie sięgnęliśmy po papierosa. Palił Parliamenty 100. Nikt nie pali Parliamentów 100. Z wyjątkiem nas.

- Wiesz, to zabawne - powiedziałam, częstując się jego papierosem. Podał mi ogień, a następnie sam odpalił papierosa.  
- Czuję, jak gdybym cię znała. - Mówiąc to, pociągnęłam łyk ananasowo-truskawkowo-bananowego soku. Jego smak wybornie komponował się ze smakiem papierosa.

- *Da* - odparł, wypuszczając długą smugę dymu.  
- Poczulem to samo, kiedy zobaczyłem cię w zeszłym tygodniu.

- Naprawdę?

- *Da*. Studiowałem psychologię na Uniwersytecie Moskiewskim. Wcześniej studiowali tam Czechow, Kan-dinsky i Gorbaczow.

- A Dostojewski? On też tam studiował?

- *Nyet*.

- Tołstoj?

- *Nyet*.

- Chagall?

- *Nyet*. Znasz się na rosyjskich artystach - odparł. - I na ubraniach. Podoba mi się to, co masz na sobie. - Jakież to krzepiące. Heteroseksualny facet, który naprawdę dostrzega moje ciuchy.

Po twarzy Smirnoffa prześlizgnął się snop późnopołudniowego światła, rozświetlając głębię jego zielonych oczu, rude brwi i rzęsy oraz widoczne na bladej twarzy, nieliczne blizny, które najwyraźniej były pozostałością po młodzieńczym trądziku.

- Wiem wszystko, mój drogi - powiedziałam. - Za wyjątkiem tego, czego nie wiem.

- Zamierzałem poślubić dziewczynę, którą znałem od bardzo dawna, ale nic z tego nie wyszło - odparł. - Zacząłem więc pracować w firmie mojego ojca.

- To znaczy?

- Różne takie. Przede wszystkim nieruchomości. Jak do tej pory wciąż jestem sam.

- Ja też.

- Rosyjskie kobiety... nie odpowiadały mi. Potrafią mówić wyłącznie o pieniądzach. Szukają Amerykanów, którzy się z nimi ożenią, po to, by mogły wyjechać do Stanów. Tylko moja matka i siostra są naprawdę dobre. To Żydówki. Ty też?

- Tak, ja też należę do plemienia - przyznałam.

Roześmiał się i dotknął mojego ramienia. Przez chwilę zdawało mi się, że słońce zaczęło mocniej grzać. Wstałam i zdjęłam kurtkę.

- Zakochałem się w tym niebieskim dzinsie - powiedział, wskazując na moją kurtkę. - Mogę przymierzyć?

- Przymierzyć *moją* kurtkę?

- Mmm - odparł, podnosząc się z ławki. - Czemu nie?

- Hmm, nie wiem, czy będzie na ciebie pasować - powiedziałam niepewnie, podając mu to, o co prosił.

Smirnoff przymierzył kurteczkę, gasząc najpierw papierosa. Trzeba przyznać, że miał proporcjonalną budowę ciała; nie był zbyt wysoki i przy wzroście około 175 cm, ważył około 70 kg. Ja jestem dużo niższa i lżejsza, ale zdawało się, że moja kurtka prawie na niego pasuje.

- Cześć! - krzyknęła do niego sprzedawczyni z Whole Foods. Miała dredy i zmierzała właśnie w kierunku swego samochodu. - To twoja siostra?

- *Nyet*, to moja Gigi - odparł.

- Naprawdę? Wyglądacie jak bliźniaki - odkrzyknęła dziewczyna. - Do zobaczenia. Fajna kurtka.

- Nie policzyłeś mi za wieprzowinę - powiedziałam.

- To chyba dobrze, prawda? - uśmiechnął się.

- Wiesz co? Wcale nie. Chodzi o to, że jestem wolnym strzelcem pracującym dla magazynu. Albo uczuję, albo głoduję. Tak więc doceniam to, co zrobiłeś, ale...

- Dziś wieczorem idziemy na kolację, tak? - przerwał mi, zdejmując kurtkę. - Rosjanie mają wielki sentyment do pisarzy. Musisz o tym wiedzieć. To część naszej historii. Lubisz francuskie naleśniki?

- Myślałam, że pochodzisz ze stepów - odparłam. Słyszac to, roześmiał się i odparł:

- Francuskie naleśniki są jak domowe rosyjskie bliny, z tą różnicą, że nie są ani blinami, ani nie są domowe. -Mówiac to, wyglądał na przygnębionego.

Przypuszczam, że to, co dla jednych jest francuskim naleśnikiem, dla innych jest naleśnikiem z mąki gryczanej.

Miałam rację co do ust Smirnoffa. Późnym wieczorem tego samego dnia dotknęłam ich opuszkami palców, a po zjedzeniu naleśników przytuliłam do nich swoje usta. Smirnoff i ja czuliśmy się jak para kochanków, którzy schodzą się po długich latach rozłąki. Był tak podobny do mnie. Może chodziło tu o rosyjskie korzenie - mój dziadek ze strony matki - Borys, był Rosjaninem - a może po prostu natychmiast coś między nami zaiskrzyło.

Bycie ze Smirnoffem w łóżku (a od czasu do czasu także poza łóżkiem) było czymś naturalnym i niesamowitym.

Smirnoff uwielbiał długie, wspólne kąpiele z mnóstwem piany i trzygodzinne rozmowy o niczym. Zauważał dosłownie wszystko i bez przerwy prawił mi komplementy na temat ubrań, włosów, dodatków, a nawet makijażu. Wieczorami wklepywał w nasze usta balsam, wmaso-wywał w moje dłonie mleczko kosmetyczne i chuchał na nie. Czułam się, jak gdybym miała starszą siostrę i brała udział w piżamowym przyjęciu, tyle że nie byliśmy ze sobą spokrewnieni, a on miał penisa.

- Myślę, że przysłały go tutaj duchy biednych, martwych Romanowów - zwierzyłam się swojej przyjaciółce, Eman, kiedy Smirnoff był w pracy. Choć Billy wciąż jeszcze nie miał okazji poznać mojego uroczego rudzielca, Eman miała to szczęście i muszę przyznać, że oboje przypadli sobie do gustu. Nic dziwnego, w końcu ich ojcowie urodzili się w Rosji. Smirnoff powiedział Eman, że była sobowtórem Sofii Coppoli, a ja dodałam, że Sofia powinna być z tego powodu niezwykle szczęśliwa.

- Jest uroczy - stwierdziła Eman, dopalając Marlboro Light i zalewając szklanę lodu świeżą porcją TaB i dietetycznej Pepsi. Zaczęłyśmy tak robić w drodze eksperymentu, kiedy ceny TaB skoczyły do góry, jednak z czasem naprawdę pokochałyśmy tę mieszankę. Kiedy złączy się te dwa napoje, smak Pepsi staje się łagodniejszy, a orzeźwiający smak TaB nabiera intensywnej głębi.

- No to jak? Powinnyśmy zacząć rozglądać się za białymi rozetkami?

- Kocham go - odparłam, wyciągając z lodówki półmisek „naleśników”.

Wymyśliłam tę wariację francuskich naleśników, by zaspokoić tęsknotę Smirnoffa za rodzimymi blinami. Co

jest z tymi Rosjanami? Są tacy nieszczęśliwi i posepni. W ich duszach panuje wieczna zima. Weźmy dla przykładu Grete Garbo w „Ninoczce”: *Jestem taka szczęśliwa! Jestem taka szczęśliwa. Nikt bezkarnie nie może być tak szczęśliwy!*

Tego właśnie Rosjanie nienawidzą w Rosji. Dlatego przyjeżdżają tu, a kiedy już tu są, mówią wyłącznie o tym, jak bardzo tęsknią za ojczyzną. Mimo to nigdy tam nie wracają.

Nawet mój ożywiony, a od czasu do czasu kreskówkowy chłopak miewał wewnętrzne ataki syberyjskiej ciemności, kiedy wyłącznie uważał się nad sobą. W takich chwilach bez końca słuchał Barbry Streisand, śpiewającej „The Way We Were”, upijał się swoim alkoholowym imiennikiem i rozpaczał nad utraconą ojczyzną.

Żeby podnieść go na duchu, częstowałam go naleśnikami własnej roboty, głęboko wierząc, że cukier nie wyrządzi mu żadnej krzywdy. Smirnoff pożerał je, zapalał Parliamanta, odyskiwał dobre samopoczucie i na powrót zagłębiał się w mglistych, akwarelowych wspomnieniach. Przypominałam mu słowa Tolstoja: „Jeśli chcesz być szczęśliwy, bądź szczęśliwy”. Innymi słowy, chciałam mu uświadomić, że szczęście zależy wyłącznie od nas samych. Smirnoff patrzył wówczas na mnie swoimi dużymi, głębokimi, wilgotnymi oczami i wracał do swej tęsknoty za Matką Rosją.

Ale... Jego nastrój nijak nie wpływał na moje naleśniki. Wręcz odwrotnie. Te zyskały sobie tak wielką popularność, że w końcu postanowiłam kupić termostatyczny opiekacz o stałej temperaturze i cudownej powierzchni,



do której nic nie przywierało. To fantastyczne urządzenie, choć w kuchni nie ma zbyt wielu zastosowań.

A teraz przepis na naleśniki. (Ewentualnie możecie użyć ośmiocalowej patelni, ale to psuje całą zabawę).

Naleśniki (18 sztuk):

**1 szklanka przesianej, uniwersalnej mąki;**

**2 łyżki stołowe cukru;**

**3 duże jaja;**

**1/4 małej łyżeczki soli;**

**1/4 filiżanki śmietany kremówki;**

**1 łyżka roztopionego masła;**

**1 1/2 łyżki koniaku;**

**1 filiżanka pełnotłustego mleka.**

Ubij mąkę i cukier z jajami, dodaj sól. Rozrzedź mieszanekę śmietaną. Dodaj roztopione masło i koniak. Dobrze wymieszaj i rozcieńcz mlekiem do uzyskania rzadkiego, jednolitego ciasta. Przepędź przez sitko. (Ciasto można pozostawić na noc w lodówce). Jeśli masz urządzenie do robienia naleśników (tak jak ja), postępuj dokładnie tak, jak piszą w instrukcji obsługi. Jeśli jednak nie jesteś szczęśliwym posiadaczem tego cudownego urządzenia, podgrzej patelnię na średnim ogniu i posmaruj ją odrobiną roztopionego masła. Wlej dwie łyżki ciasta i poruszaj patelnię, aby ciasto przykryło dno. Kiedy tylko naleśnik zacznie nabierać złocistej barwy (trzydzieści do czterdziestu sekund), użyj łopatkę, by przewrócić go na drugą stronę i nie zdejmuj z ognia przez kolejne dwadzieścia sekund. Każdy kolejny naleśnik przykrywaj

papierowym ręcznikiem, w przeciwnym razie posklejają się i przez kilka godzin będziesz musiała je rozdzielać.

Nadzienie:

Podaję przybliżone proporcje; nie żałujcie ich tak, jak ja i rozgrzejcie piekarnik do 180°.

**1 szesnastouncjowe opakowanie śmietany;**

**2 kawałki niesolonego masła - roztopić;**

**3 filiżanki białego cukru kryształu.**

Wyłóż dużą blachę do pieczenia folią aluminiową. Wylej na nią tak dużo roztopionego masła, aby równo pokryło całą powierzchnię, łącznie z krawędziami. A teraz główna zasada dotycząca naleśników: posmaruj każdy naleśnik średnią warstwą śmietany, śmietanę polej jedną łyżką roztopionego masła i posyp wszystko wystarczającą ilością cukru (około łyżeczki), który zatrzyma na naleśniku roztopione masło. Zwiń naleśnik, ułóż go na blasze, po raz kolejny polej roztopionym masłem i jeszcze raz posyp cukrem. Powtarzaj czynność, aż przygotujesz w ten sposób wszystkie naleśniki. Następnie piecz je w piekarniku przez około pół godziny. Naleśniki będą gotowe, gdy przybiorą brązową, karmelową barwę. Przez kolejną godzinę pozwól, aby wystygły, ponieważ najlepiej smakują na zimno w temperaturze pokojowej.

- To chyba najlepsza rzecz, jaką KIEDYKOLWIEK zrobiłaś - stwierdziła Eman, delikatnie trzymając naleśnik między palcami i wgryzając się w niego niczym wygłodniała niedźwiedzica. - Chryste, jakie to dobre. Czy on aby na pewno na nie zasługuje?

- W końcu to on zainspirował mnie do ich przygotowania - odparłam. - Seks z nim jest równie inspirujący, zwłaszcza wtedy, gdy nie nachodzą go samobójcze myśli. Do tego wiecznie przynosi do domu homary za sześć dolarów i filigranowe filety za trzy dolary.

- Niektórzy melancholijni faceci potrafią być romantyczni i uczuciowi - przyznała optymistycznie Eman. - Pomyśl tylko o wielkich rosyjskich pianistach i kompozytorach. Rubinsteinie, Musorgskim, Czajkowskim, Rachmaninowie, Strawińskim. Wszyscy cierpieli na depresję. Zupełnie, jakby byli obrzezani.

- Smirnoff jest obrzezany - odparłam. - Nie o to tu chodzi. Są inne problemy. Przynajmniej jeden.

- Oni wszyscy mają jakieś problemy - stwierdziła Eman, sięgając po trzeciego naleśnika. - Każda kobieta przyciąga inny typ nieudacznika. Pytanie brzmi, czy Smirnoff jest typem nieudacznika, za którego mogłabyś wyjść?

- Obawiam się, że chciałby przymierzyć moją suknię ślubną.

- Co takiego?

- On lubi moje ubrania.

- Podoba mu się to, co zakładasz?

- On lubi *nosić* to, co zakładam. Na przykład dzinsowe kurtki. Nie ma chyba takiej, której by nie przymierzył. Oczywiście zakłada je tylko w domu. Po prostu narzuca je na siebie. To trochę dziwne jak na faceta.

- Nawet to maleństwo od Isaaca? - wykrzyknęła Eman. - Z frędzlami?

Eman zna dosłownie każdą część mojej garderoby. Ma fotograficzną pamięć i często pożyczam jej moje ciuchy. Dobrze więc było, aby wiedziała na czym stoi.

- Isaaca darzy szczególną sympatią. Mówi, że pomarańczowe szwy pasują kolorem do jego włosów.

- Mój Boże!

- Ale nosi je tylko po domu. Gdzie indziej wyglądałby jak gej.

- Dzielisz się ciuchami ze swoim facetem?

- To nie mój pomysł! Pewnego dnia nakryłam go, jak przechadzał się po domu w kurtce od ET VOUS...

- Nie. Tylko nie ET VOUS!

- Tak! Do tego miał na sobie mój granatowy podkoszulek i madrasowe slipki!

- Te słodkie, kraciaste slipki z gumką?

- Wyglądały na nim jak krótkie, damskie szorty! To jakiś koszmar. Bogu niech będą dzięki, że ma za duże stopy, aby wbić się w moje buty!

- Powinnaś dziękować Bogu. Wyobrażasz sobie, jak wciska na nogi metaliczne, grafitowe sandały, dla których tak bardzo nadwreżyłaś swój budżet? Te, które zamierzam po tobie odziedziczyć i w których zamierzam chodzić do końca mojego życia.

- Kocham mężczyzn, ale kocham też moje ubrania - odparłam. - Po prostu nie lubię facetów w moich ubraniach.

- To mi wygląda na transa.

- Na co?

- Transa. Halo! *Transwestytcę*.

- CO TAKIEGO? On wcale TAKI nie jest! Oszalałaś.

- Powiedziałaś, że przysłały go tutaj duchy Romanowów. Chyba w szlafroku Anastazji. Przebranej za faceta. Wiedziałaś, że Anastazja nosiła bieliznę swego ojca?

- Odbija ci po tych naleśnikach.  
- *Tran* - syl - wa - niaaa!  
- Przestań - odparłam ze śmiechem. - Przerażasz mnie!  
- Przynajmniej wiemy, że jest hetero. To lepsze, niż gdyby był jakąś gejowską drag queen w damskich ciuchach albo transseksualistą. Boże broń! Wiem, co powinnaś zrobić. Znajdź jakąś superkobietą, dzinsową kurtkę; coś jeszcze bardziej kobiecego od Isaaca i jego frędzelków i zobacz, co robi.

- To szaleństwo! Chcesz powiedzieć, że mam iść na zakupy i kupić coś, co odstraszy mojego faceta, zamiast go zachęcić? Nigdy tego nie robiłam! To wbrew wszystkiemu, co przez całe życie...

- Mogę przed wyjściem dostać kilka tych naleśników?

Mając do wyboru 131 rozmaitych sklepów, uderzyłam do Garden State Plaża, ponieważ tylko Nordstrom ma idealne, dzinsowe kurtki. Oczywiście. Nordstrom jest cudowny. (Zawsze żałuję, że nie mają swojego sklepu w Nowym Jorku).

Najpierw musiałam zawęzić swój wybór do dwóch różnych dzinsowych kurtek. Obie były słodkie, uszyte z błękitnej bawełny wypranej z naturalnym pumeksem i kosztowały poniżej 100\$.

Pierwsza pochodziła z kolekcji Cynthii Max. Nie miała ani zamka, ani guzików, na piersi posiadała kieszonki z klapkami (ale nie miała żadnych bocznych kieszeni). Z boku i na rękawach miała niewielkie rozcięcia, a wokół kołnierza, kieszeni i mankietów zdobiły ją delikatne marszczenia.

Druga, z kolekcji Rafaelli, była dopasowana, kusa, w tradycyjnym stylu, z matowymi, złotymi guziczkami, na których widniało logo kreatora. Jakby tego było mało, kurteczka posiadała ukośne, boczne kieszenie (tak!), zaszewki z przodu i z tyłu oraz czarny, aksamitny kołnierz.

Obie były przepiękne. Marszczenia? Zbyt słodkie! Czarny aksamit? Wyglądał pięknie w połączeniu z wytartym dżinsem, ale przez pół roku nie mogłabym go założyć. Z drugiej strony, lubię kieszenie. Dlatego postawiłam na czarny aksamit.

Smirnoff w życiu nie założyłby czarnego aksamitu, zwłaszcza gdybym przypięła do niego broszkę, którą zresztą już wcześniej wybrałam.

Była to broszka o rozmiarach i wyglądzie strusiego jaja, ozdobiona złotym filigranem (dzięki czemu złote guziki staną się jeszcze bardziej widoczne), kryształami górskimi i prostokątnym gagatem (który podkreśli czerń aksamitnego kołnierza).

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam, jak trzymam moją nową kurtkę w dłoniach, potrząsam nią i krzyczę: „Smirnoff! Chodź! NAKAZUJĘ ci założyć To!”.

Podeszłam na palcach do drzwi sypialni i zobaczyłam go. Stał przed ogromnym lustrem w moich różowych, merceryzowanych, bawełnianych figach z szerokim, koronkowym paskiem. Oprócz tego nie miał na sobie kompletnie NIC. Stał tam z przekrzywioną głową, tuląc do tyłka moją sałatową spódnicę. Ze wszystkich spódnic we wszystkich miastach świata wybrał akurat tę jedyną.

Nie sądzę.

- Dobra kolego - powiedziałam. - Tym razem posunąłeś się za daleko. Oddaj spódnicę.

- Chciałem ją tylko przymierzyć - odparł. - Jest taka bajecznie piękna.

- Oddaj mi sałatową spódnicę. Dziękuję. Teraz oddaj mi figi. Dziękuję. Teraz odsuń się jak najdalej od spódnicy i majtek. Cofaj się powoli, a nikomu nie stanie się krzywda.

- Co jest w torbie od Nordstroma? - spytał podekscytowany. - Coś nowego?

- Tak - odparłam z westchnieniem. - Kupiłam ci nową, dzinsową kurtkę.

## Rozdział 9

### Czarne, Jedwabne, Pantofle Bez Piet

Szef Kuchni był wspaniałym kochankiem. Uosabiał z entuzjazmem dużego, aroganckiego, męskiego, południowego patriarchy, z odwagą i wielką charyzmą w stylu Tennessee Williamsa. Tak samo zresztą podchodził do gotowania. Ten pełnoetatowy kucharz, niepełnoetatowy aktor i notoryczny flirtiarz pochodził z Luizjany, gdzie chłopcy odróżniają avocado od muffuletty na długo przed tym, zanim na ich twarzach pojawią się pierwsze włoski.

W wieku czterdziestu kilku lat mój Szef Kuchni miał ogoloną głowę, maleńki rubin w prawym uchu, a na tyłku tatuaż przedstawiający Królika Bugsa.

To właśnie ten królik najbardziej mnie urzekał. *Le lapin*. Tatuaż lub jak kto woli „tat”, był według Mistrza hołdem złożonym jego ulubionemu bohaterowi „Zwariowanych Melodii” oraz ulubionemu danie - duszonej poledwiczce z królika z wędzoną kiełbasą i karmelizo-wanymi cebulkami z aromatycznym ryżem.

Właśnie to danie przygotował dla mnie na naszej pierwszej, oficjalnej randce, która odbyła się w moim mieszkaniu. Nigdy wcześniej nie umawiałam się



z kucharzem i nie sądziłam, że kiedykolwiek dam się upolować na królika. Kiedy jednak wzięłam do ust pierwszy, niepewny kęs, omal nie zemdlałam z wrażenia. To było coś nieopisanie pysznego. Nie dbając o nic, łapczywie wchłonełam wszystko, co miałam na talerzu, jak gdybym miała przed sobą ostatni ziemski posiłek. Byłam jak jedna z tych małych, laboratoryjnych myszy, które goniąc za pożywieniem, wciskają się między kraty, aż w końcu zdychają z wycieńczenia. Byłam jak moja kotka Lilly, która jest tak uzależniona od kociej karmy, że zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam z nią iść do dobrego terapeuty. Byłam jak Scarlett O'Hara w czasie miodowego miesiąca z Rhettiem Butlerem. „Jeśli nie przestaniesz być takim obżartuchem - powiedział Rhett do swej młodej małżonki - staniesz się tak gruba, jak kubańskie kobiety, a wtedy się z tobą rozwiodę”.

Jako że sama jestem Kubanką, osobiście wolałabym nie słyszeć tej uwagi. Mimo to odpuściłam Rhettowi i wiecie co? W ogóle mnie to nie obchodziło! Wcale się tym nie przejmowałam! Jadłam i mdlałam, jadłam i mdlałam.

Przez cały ten czas Szef Kuchni obserwował mnie z brodą wciśniętą w pięść i zachłannym wzrokiem, który sprawia, że czujesz się naga, nawet jeśli jesteś w pełnym rynsztunku. Nie, żebym miała na sobie aż tak wiele: czarny koronkowy stanik od Banana Republic, pasujące do niego majteczki, lekką, półprzezroczystą, przewiewną, czarną sukienkę w malowane kwiaty śliwy (również od Banana Republic) w orientalnym, azjatyckim stylu z jedwabną haleczką i ośmicalowymi rozcięciami po obu stronach. Delikatne, cynowe kolczyki, pasujące kształtem do widocznych na sukience kwiatowych motywów

i, jeśli uznać je za ubrania - a Bóg mi świadkiem, że tak właśnie robię - perfumy COCO, czerwone usta i czerwone paznokcie u stóp.

Zasada brzmi: jeśli zamierzasz ubrać się na czarno (czyli w ulubionym kolorze Szefa Kuchni) - koniecznie MUSISZ rozjaśnić tę czerń czymś ekstremalnie czerwonym.

Skoro mówimy już o ekstremalnych rzeczach, musicie wiedzieć, że Szef i ja mieliśmy ekstremalne i nienasycone apetyty. Wszystko, co nas otaczało, było chemiczne i kaloryczne. Jednak cóż może być lepsze od przygotowanego z pasją smakowitego jedzenia?

Zawsze lubiłam ludzi z Luizjany; zwłaszcza kucharzy. Kiedy byłam małą dziewczynką, uwielbiałam obserwować Justina Wilsona - kucharza z Luizjany, a zarazem potomka emigrantów z Akadii, dawnej francuskiej kolonii w Kanadzie. Jak urzeczona wpatrywałam się w jego duży brzuch i szelki, kiedy używając gwary, mówił „się masz?” i „garantujem”, a następnie przygotowywał wielkie pudełka apetycznych, tuczających przysmaków, takich jak: kurczaki, jambalaya z kiełbasą i masą migdałową.

Na przestrzeni lat poznałam wielu takich kucharzy, a nawet napisałam o nich kilka artykułów. Parę lat temu w Północnej Karolinie był jeden taki, który pochodził z Nowego Orleanu, do złudzenia przypominał mojego Szefa Kuchni i był młodszą i szczuplejszą kopią Burla Ives, skrzyżowanego z Jimmym Buffetem.

Zastanawiałam się, czy to aby nie jakiś genetyczny wypadek. A może cały sekret tkwił w wodzie z Luizjany? Kto wie? Oprócz podobieństwa są także inne rzeczy, które niewątpliwie łączą mężczyzn z Luizjany. Wszyscy oni zdają się być pełni wigoru, zabawni i łobuzerscy.

Potężny mężczyzna, który czuje się dobrze w swojej skórze i zabiega o twoje względy, serwując pyszną potrawkę z małży lub kurczaka podawaną z ryżem - oto właśnie kąsek dla mnie. Jeśli chodzi o Szefa Kuchni, byłam jego zwierzyną - zającem. On natomiast był ogarem.

Tamtej nocy, kiedy w końcu odsapnęłam, zaspokoiliam głód i bez sił opadłam na krzesło, wyciągnął swoją potężną łapę i sunąc nią poprzez przepaść dzielącą nas, leżącą na stole owocowej ceraty, pochwycił moją rękę. Skórę miał szorstką (prawdopodobnie od gotowania), ale mimo to podobała mi się.

- Zadowolona, *chere*<sup>7</sup>. - spytał retorycznie.

- Szalenie - mruknęłam błogim głosem. Boże. Byłam tak napchana, że nawet oddychanie sprawiało mi nie lada kłopot. Miałam wrażenie, że zjadając Królika Bugsa, zrobiłam z siebie niezłą świnię.

- Jeszcze wina? - spytał, sięgając po Pinot Noir.

- Czemu nie - odparłam. Odpaliłam papierosa od jednej ze świec, które wcześniej postawiłam na stole i dopiłam wino, podczas gdy Szef Kuchni wstawił wodę na kawę i zaczął przeglądać moją kolekcję płyt.

Chwilę później zdecydował się na Bonnie Raitt „The Glow”. Był to jeden z moich ulubionych albumów. Bardzo niedoceniony przez krytyków. Otwierający album butny kawałek o nazwie „I Thank You”, był niczym orzeźwiający tonik, który swą świeżością oczyszcza podniebienie i umysł. „Teraz wiem, o czym mówią dziewczyny, kiedy twierdzą, że jesteś... Ooo... Chcę ci podziękować kochanie, dziękuję ci skarbie...”

Mężczyzna, który nie jest dobrze zbudowany, potrafi czasem sprawić, że tak właśnie o nim pomyślisz. Szef

Kuchni zdecydowanie potrafił wyrabiać z kobietami takie rzeczy. Miał na to swoje swobodne, nieśpieszne, wolne od uprzedzeń, dobroduszne i zabawne sposoby. Na przykład prześmieszne, sprośne żarty i anegdoty o Boudreauxie i Thibodeauxie - poczciwych staruszkach z Luizjany, którzy mieszkali w bagnistych odgałęzieniach rzeki. Dzięki swojemu inteligentnemu, prostolinijnemu erotyzmowi i ciemnym, migdałowym oczom, Szef Kuchni był błyskotliwy i jak najbardziej realny.

Był mężczyzną, z którym pragnęłam rozmawiać do końca życia, czekając na przygotowywane przez niego przysmaki. Będąc w jego towarzystwie, wirowałam, puchłam i skakałam z podniecenia, a kiedy już byliśmy razem, czułam się ciepła, uległa i słodka, niczym kar-melizowane cebulki w potrawce z królika albo nasączone szampanem rodzynki w ryżowym puddingu *riz au lait*. Chciałam z nim jeść, rozmawiać, iść do łóżka i zostać tam na wieczność. Marzyłam o kawie z dodatkiem cykorii, bajglach i namiętnych pocałunkach o poranku oraz jeszcze większej ilości kawy, bajgli i namiętym seksie, który trwałby przynajmniej do lunchu.

- Ależ nie, Madame, dziś wieczorem to ja się tobą zajmuję - rzekł Szef Kuchni, kiedy dźwignęłam się od stołu, aby zrobić miejsce na kawę i deser. - Usiądź sobie i posłuchaj muzyki.

Kim był ten facet? Jak tu go nie kochać? Przecież takich egzemplarzy nie produkują na północ od linii Mason-Dixon. Mniejsza o to. Liczy się fakt, że w tym momencie Bonnie zaczęła właśnie śpiewać: „Czuję to... Oto jestem... potrzebuję przyjaciela. Potrzebuję kogoś...”.

Jeśli jedzenie jest muzyką miłości, nie żałujcie sobie!

Dosłownie opędzlowaliśmy całą miskę schłodzonego puddingu. Wypiliśmy gorącą czarną kawę i rozmawialiśmy, rozmawialiśmy, rozmawialiśmy, podczas gdy ja paliłam, paliłam i paliłam. Siedząc przy blasku świec, słuchałam prawdziwych opowieści o tym, jak mój ukochany dorastał w Breaux Bridge, w parafii świętego Marcina, gdzie każdego roku odbywa się festiwal raków.

Dziadzio mojego kucharza i jego tatko zabierali go na polowania w rejonie bagien. To dopiero były magiczna mokradła; pełne zwisającego z drzew hiszpańskiego mchu, majestatycznych, bezlistnych cyprysów i krzyczących swym zachrypniętym głosem brązowych pelikanów, które krążyły nad czarną wodą w poszukiwaniu ryb. To właśnie tam mój ukochany nauczył się łapać sumy, bassy, no i naturalnie raki. Strzelał do kaczek (krzyżówek, dzikich kaczek i cyraneczek). Strzelał do aligatorów. Strzelał do żółwi. Nocą strzelał na własnym podwórku do królików i pomagał babci przygotowywać pikantny sos z królika lub „skandalicznie dobry” pikantny sos żółwiowo--aligatorowy. Opowiedział mi o swej żonie, która dawno, dawno temu zginęła w wypadku nieopodal Lake Charles, o miłości do południowej literatury, a także o swym nowym powołaniu i kolejnej obsesji - gotowaniu.

Nigdy nie znałam nikogo takiego jak on. Ten facet mnie olśniewał.

Niebawem Szef Kuchni wyciągnął ku mnie swoją rękę, poderwał mnie na boscie stopy i poprowadził do sypialni, gdzie przy dźwiękach ostatniego utworu odtńczyliśmy powolny taniec. To był mój ulubiony utwór. Boski, spokojny, przejmujący, smutny i bardzo, bardzo głęboki „(Going) Wild For You Baby”. Wgniała mnie w ziemię za

każdym razem, kiedy go słyszę. „W nocy, kiedy nie mogę zasnąć, moje łzy wydają się takie tandetne, tracę kontrolę nad zmysłami. Czuję, że szaleję za tobą, kochanie”.

Tańczyliśmy albo po prostu poruszaliśmy się rytmicznie jeszcze długo po tym, jak płyta dobiegła końca. Oprócz jednej, skwierczącej świecy cały pokój pogrążony był w ciemności. W końcu, stopniowo przestaliśmy się kiwać, jednak wciąż tkwiliśmy w zachłannym, milczącym uścisku.

- Podniecasz mnie - szepnął i delikatnie mnie pocałował.

Delikatnie. Mocno. Delikatnie. Naprawdę mocno. Wszystko, co robił, było takie właściwe. Nikt nie całował mnie z taką wprawą od... lat. Jego pocałunki zdawały się mnie rozpuszczać. Był bezpośredni, choć zbłąkany, leniwy, a mimo to nagły. Męski. Namiętny. Głodny mojego ciała.

Tak oto właśnie tej czulej, wiosennej nocy facet z Lu-izjany z sekretnym, króliczym tatuażem, został moim kochankiem.

Właśnie o to chodzi, kiedy umawiasz się z intelektualistą, który w dodatku jest kucharzem. Musisz naprawdę kochać mężczyznę, który czyta i gotuje, a on to samo robi dla ciebie.

Mój cajuńsko-kreolski<sup>16</sup> kochanek był wschodzącą, środkowoatlantycką gwiazdą i lokalną legendą. Miał stopień magistra i doktora z południowoamerykańskiej

---

<sup>16</sup> Cajun - francuskojęzyczna grupa etniczna, zamieszkująca wybrzeże Zatoki Meksykańskiej w USA.

literatury i opanował do perfekcji kulinarne tajniki Luizjany. Porzucił nauczanie o Walkerze Percym i Flannery O'Connor na rzecz waniliowych lodów z likierem bananowym i zasmażki. Po śmierci jednego z dalekich krewnych, który zostawił mu w spadku niewielką fortunę, otworzył malutką szkołę gotowania, nieopodal mojego domu.

Kiedy weszłam tam po raz pierwszy, poczułam tabasco zmieszane z... podsmażaną cebulką, selerem i papryką. Była to tak zwana święta trójca luizjańskiej kuchni. Z głośników płynął głos Hanka Williamsa Juniora, śpiewającego o jambalayi - cieście z krabów i czymś, co nazy-walfilé (nie mylić z *filetem*) w gęstej zupie ze strączkami ketmii. Wszędzie dookoła leżały produkty spożywcze przywiezione zapewne przez handlarzy z Luizjany. Była tam także zamrażarka pełna kielbasy z aligatora.

Przez chwilę poczułam się, jak gdybym była w zupełnie innym kraju.

- *Bonjour!* - rzekł SzeF Kuchni, wychodząc z zaplecza. - *Bienvenue!* - Mówiąc to, wytarł ręce w niewielki ręcznik, na którym widniały dziesiątki miniaturowych aligatorów. On sam miał na sobie błękitny fartuszek z namalowanym, gigantycznym, czerwonym krabem. Krab miał ludzką głowę, okrytą białym toczkiem. Widoczny pod nim napis głosił: *Laissez les bon temps rouler!*

- Podobają mi się te buty - dodał SzeF ochryłym, uwodzicielskim głosem. - Są cholernie seksowne.

- Dzięki - odparłam. - Tak przy okazji, mam na imię Gigi, a to moje buty w stylu Minnie Mouse.

- Założę się, że czarne byłyby równie zadziwiające, *chère* - stwierdził z przekonaniem, wciąż trzymając

mnie za rękę. - Lubię wszystko, co czarne albo przyciemnione.

Tego dnia miałam na sobie piękne, różowo-czerwone zamszowe czółenka od Ann Taylor o wdzięcznej nazwie Azalie, z okrągłymi noskami i dziesięciocentymetrowymi obcasami. Uwielbiałam te buty. Były tak urocze, niepraktyczne i zadziwiająco wygodne, że kupiłam drugą parę w kolorze Błękitna Czapla - boskim, głębokim turkusie.

Co jest z tą Ann Tay-Tay (oto, jak ja i moja przyjaciółka Sharyn zwykłyśmy mawiać o Ann Taylor)? Zdarzają się jej chwilowe przebłyски cukierkowego geniuszu i prawdziwe eksplozje gwiazd, kiedy masz ochotę kupić każdy z jej produktów - zwłaszcza buty i biżuterię. I wtedy - sama nie wiem dlaczego - coś się dzieje i Ann znów powraca do przeciętnych, paskudnych, zapiętych po samą szyję, sztywniackich, rządowych beżów. Powiadam ci, Ann Tay-Tay, daj sobie z tym spokój! Zacerpnij trochę energii zawartej w TaB! Zabaw się! OBUDŹ się! Pokaż kobietom, że istnieją inne kolory poza jasnym brązem, umiarkowanym brązem i ciemnym brązem! Zwłaszcza wiosną. Poważnie. Właśnie otrzymałam nowy katalog od Talbots i - NIE ŚMIJCIE SIĘ - mają tam trzy tysiące rozmaitych rzeczy w radosnych, soczystych kolorach miodu, dzikiego arbuza, słodkiej cytryny i szafranowej pomarańczy. Aż chce się je zjeść.

Powodem, dla którego miałam na sobie tak piękne buty, był fakt, że wcześniej tego samego dnia byłam na śniadaniu z jednym z redaktorów. Chodziło o artykuł, który miałam napisać, tak więc musiałam się trochę wystroić.



Założyłam swoje czółenka, do tego trzynaście rozmaitych kolorów szminki Chanel (dokładnie tyle potrzebowałam, by uzyskać odcień, który idealnie komponował się z kolorem butów), wykrochmaloną, bawełniano--spandeksową koszulę od Isaaca Mizrahi w pionowe, biało-czarne paski z wywijanymi mankietami w czarne i białe kropki (cóż za słodycz!), sięgającą tuż przed kolano, płóciennie-rayonową spódnicę od Ann Taylor z uroczą plisą z tyłu, moje ukochane perłowo-srebrne kolczyki od Ann Taylor, zegarek firmy Fossil z czarnym paseczkiem imitującym skórę aligatora i srebrno-białym cyferblatem, ciężką, srebrną bransoletę od DKNY, na której dyndała radośnie przywieszka w kształcie serduszka (bardzo podobna do klasycznej przywieszki od Tiffany ego), dwa sznury pereł i pasujące do nich bransoletki, które do złudzenia przypominały powiększone ziarenka ryżu z wystawy w American Museum of Natural History i gigantyczną, kwiecistą torbę od GaPa w kolorze metalizowanego srebra. Oto, jak biurowa i oficjalna potrafię się stać.

- To całkiem fajne miejsce - zauważyłam. - Podoba mi się. Pachnie... pikantnie.

- A już myślałem, że tylko ja gustuję w pikantnych rzeczach - odparł, mierząc mnie od stóp do głów. - Głodna?

- Coś bym zjadła.

- Przygotowywałem właśnie coś na wieczór, kiedy wpadłaś tu niczym maleńki kociak w bucikach Minnie Mouse. Jak na razie lokal jest otwarty wyłącznie w godzinach obiadu i to też nie na długo.

Wymawiał „długo” jak „dłuhó” - powoli i melodyjnie. Uwielbiam południowe akcenty; uważam, że są naprawdę urocze.

- Chodź, siadaj. No nie stój tak. - Mówiąc to, poprowadził mnie wśród maleńkich stoliczków w kierunku otwartej kuchni, panoramicznego baru i stojących przy nim krzeseł.

- Lubisz piwo? Mam tu kilka butelek Abity. A może kieliszek wina? Dobrego Pinot Blanc?

- Chyba skuszę się na wino - odparłam, podziwiając wnętrze.

Chwilę później zmienił płytę i podał mi opakowanie. „Irma Thomas Live! Simply The Best”.

- Nigdy o niej nie słyszałam.

- Powinnaś się wstydić. Irma to prawdziwa królowa. Wie o niej każdy, kto zna się na R&B. To nowoorleańska królowa soulu.

- Zawsze myślałam, że to Aretha była albo jest królową soulu.

- Po prostu Aretha miała lepszego agenta - odparł, podając mi kieliszek chłodnego białego wina.

- Po raz pierwszy widziałem występ Ir my, kiedy byłem nastolatkiem. Zakradłem się wtedy do jednego z klubów w Nowym Orleanie. Była gwiazdą wieczoru. Jeśli dobrze pamiętam, była zaledwie kilka lat starsza ode mnie i była w zaawansowanej ciąży. Śpiewała w duecie z Bonnie Raitt. Kiedyś w Nowy Rok widziałem je obie w telewizji.

- Naprawdę? Bonnie? Uwielbiam Bonnie!

- Dobrze już, teraz siedź cicho. Delektuj się winem, posłuchaj Ir my, a ja zajmę się twoim lunchem.

Chwilę później z głośników popłynął miękki, kobiecy głos. „Teraz przejdziemy do... *It's Raining*, powiedziałaś skarbie? A więc zmoknijmy". Po tych słowach zaczęła śpiewać zadymioną, zmysłową i seksowną piosenkę w stylu R&B: „Pada tak mocno, wygląda na to, że będzie tak lalo przez całą noc/Właśnie w takich chwilach uwielbiam trzymać cię w ramionach... ale myślę, że dzisiejszej nocy trochę zaszaleję".

Podczas gdy w kuchni atmosfera stawała się coraz bardziej gorąca, odpaliłam Parliamanta i pociągnęłam łyk Pinot Blanc. Jego smak był lekki i owocowy. Następnie zaczęłam przeglądać zamkniętą w rozmaitych butelkach, pokazaną kolekcję pikantnych sosów:

- Blair's Sudden Death („To jest To")
- Blair's Death („Poczuj żar... poczuj, jak wracasz do życia")
- Blair's After Death („Dla twardzieli")
- Red Hot Mama („Zaprańnij Ognia")
- Mean Devil Woman („Dawno temu na terenach zalewowych na południu Stanów urodziła się Podła Diablica. Była tak ognista, że aligatory czmychały na jej widok, bagna wrzały, a mężczyźni stawali w ogniu. Cajuns zamknęli jej esencję w butelce, aby każdy, kto się ośmieli, mógł jej użyć...")
- Calido's Batch Nr 114 („Cierpienie jest piękne")
- Calido's Batch Nr 37 („Jest taki punkt, w którym rozkosz i ból splatają się w jedno. Drzwi do nowego wymiaru zmysłowej euforii, gdzie ogień pali i staje się ukojeniem. Gdzie żar pochłania każdą cząsteczkę twego ciała. Kiedy przekroczysz tę granicę, otworzysz butelkę i dotkniesz nią ust, nie będzie już powrotu")

- Hot Sauce From Heli („Zemsta Diabła")
- Café Louisiane Hotter'n Heli („Uwolnij Demona")
- Uderz Mnie w Tyłek i Nazwij Mnie Sally („Duży Chet

był naprawdę złym facetem. Należał do tych ludzi, którzy nie wahając się, ukradną kalece drewnianą nogę i dla zabawy schowają babci protezę. Nie było więc niespodzianką, kiedy jego żona dodała do bimbru pikantny sos własnej roboty. Po pierwszym łyku Duży Chet osunął się na kolana i zawołał: *UDERZ MNIE W TYŁEK I NAZWJ} MNIE SALLY!"*).

- Żartujesz sobie? - Powiedziałam, podnosząc butelkę z sosem i przyglądając się etykietce. - Przecież chłopiec na obrazku ma spuszczone spodnie, a jego policzki aż płoną z czerwoności. Czy to możliwe?

- Ależ tak, moja droga. To właśnie „Uderz Mnie w Tyłek".

- Mój Boże, proszę, powiedz mi, że tego nie używasz. Przecież nie ma nawet południa.

- Tych dziwacznych sosów używam przede wszystkim do zabawy. Do pikantnego sosu z kurczaka, który właśnie będziemy jeść, najlepszy jest sos Crystal. - Mówiąc to, wręczył mi buteleczkę pieprzowo-czosnkowego sosu Crystal. - To produkt oparty na bazie octu. Robią go w Baumer Foods. Są na rynku od 1923 roku i zaczęli od produkcji dżemów i galaretek. Mają niesamowity, neonowy szyld na Interstate 10 West. To prawdziwa ikona Nowego Orleanu.

- Tylko raz byłam w Nowym Orleanie. W 2001 roku. Byłam druzną na ślubie mojej przyjaciółki Gwen w City Park, nieopodal latających koników.

- Latające koniki, ach tak.

- Tak. Malowane kucyki. Karuzela. Cała rodzina Gwen pochodzi z Nowego Orleanu. Gdzie ten neonowy szyld?

- Zaraz za centrum miasta, po prawej stronie, idąc w kierunku Baton Rouge i lotniska. To ogromny neon przedstawiający gościa przebranego za kucharza, który miesza w wielkiej kadzi pełnej truskawkowego dżemu.

Przegapiłam pikantny sos Katrina Storm Sauce <sup>17</sup> (kategoria smaku: 5, kategoria pikanterii: 3. Etykieta gwarantowała, że sos ten doda smak życiu każdego człowieka!).

- Mmm... - powiedziałam. - To jest... Boże. Nie wiem, co powiedzieć.

- Kupiłem go, kiedy w ubiegłym roku pojechałem na Boże Narodzenie do Nowego Orleanu - odparł Szef Kuchni, pociągając łyka Abity. - Katrina. Cóż za pieprzony pożeracz serc. Nikt z moich bliskich nie ucierpiał, ale znam ludzi, którzy... W każdym razie często tam wracam. Pomagam, jak tylko się da. Naprawdę często zdarza mi się tęsknić za domem i wciąż nie jestem pewien, czy chcę tu zostać na stałe. Wracając jednak do Baumer Sauce, o których ci opowiadałem. W czasie huraganu fabryka dość mocno ucierpiała. Dlatego teraz przenoszą się do Reserve w parafii Świętego Jana. To na wschodnim brzegu Mississippi, na północny zachód od Nowego Orleanu.

Nagle za oknem usłyszałam potężny grzmot, rozdzierający trzask i słoneczne, błękitne niebo zmieniło się w oszalałą burzę.

---

<sup>17</sup> Huragan Katrina w 2005 roku doprowadził do katastrofalnej powodzi w Nowym Orleanie.

„Kap, kap... Powracają wspomnienia, kiedy byłeś tu ze mną/Liczę każdą kroplę/Zaraz w nich utonę...”

Mistrz przyniósł parujące miseczki aromatycznego ryżu, polał go pikantnym sosem z kurczaka i wyciągając drugi barowy stołek, przysiadł się do mnie.

- *Bon appétit, cher* - powiedział, uderzając butelką piwa w mój kieliszek z winem.

- *Merci* - odparłam, wkładając do ust pierwszy kęs. Litości! - O. Mój. Boże. To jest... O. Mój. Boże. To takie pyszne! Troszeczkę pikantne, ale idealne.

- Cóż, jak to się mówi, niektórzy lubią ostro sobie podjeść.

Słyszając to, delikatnie uderzyłam go w ramię.

- To niewiarygodne! - krzyknęłam.

- Cieszę się, że ci smakuje - odparł z uśmiechem, który obudził we mnie absolutnie nieprzyzwoite myśli. Chciałam rzucić go na podłogę i skakać na nim jak dziki, kubański króliczek. Najpierw jednak musiałam skończyć swoje *Poulet Piquant*. Jedzenie było zbyt dobre: smażony kurczak duszony na wolnym ogniu w prawdziwym rosolu, obłany sosem pomidorowym, w skład którego wchodziła święta trójca najlepszych przypraw (cebulki, seler i papryczka o wydłużonych strąkach), ze świeżych pomidorów, czosnku, pikantnych papryczek, pieprzu cayenne i innych, równie cudownych składników.

- Dobijasz mnie - powiedziałam. - Wiesz, z czego zwykle składa się mój lunch? Z dwóch chrupiących batoników Quaker Crunchy Granola, jednego ciasteczka od Nature Valley o smaku bananowym lub orzechowym, trzydziestu siedmiu puszek TaB zmieszanych czasami

z dietetyczną Pepsi i trzynastu Parlamentów. Wszystko to zjadam, siedząc przy komputerze i pilnując, żebym wyrobiła się w terminie. To wszystko, co robię. Moje życie to jeden wielki termin.

- To niedobrze - odparł. - Każdy potrzebuje trochę odetchnąć. Zabawić się.

- Wiem! Uderz mnie w tyłek i nazwij nudziarą, ale jestem w trakcie pisania książki i rozmaitych artykułów. W ogóle nie mam życia.

- Naprawdę? Chciałbym o tym usłyszeć. Może przy kawie i odrobinie słodczy. Nie mogę pozwolić, aby przygotowany przeze mnie Storyville się zmarnował.

- Co takiego?

- Storyville to nowoorleańska dzielnica rozkoszy. Deser, o którym mówię, jest tak rozkosznie pyszny, że nie mogłem wymyślić dla niego lepszej nazwy.

Ja mogłam. Zwierzęcy seks. Pomyślcie tylko: czekoladowo-czekoladowe ciastko z orzechów włoskich oblane pyszną, gęstą czekoladą, likierem maraskino i wiśniowym sokiem Grand-Marnier-Courvoisier. Na wypadek gdyby to okazało się niedostatecznie sprośne, Mistrz przyprószył boki figlarną waniliową posypką.

- Nie zjem tego wszystkiego! - zauważyłam. - W przeciwnym razie będą musieli mnie hospitalizować.

- Jedz, ile chcesz, skarbie. Mam talerze na wynos. - Słyszając to, spojrzałam na niego z lekkim zdziwieniem.

- Torby na wynos. - Uśmiechnęłam się i zatopiłam widelec w ciastku. Och. Och. Ochhh.

- Uderzyłabym cię w tyłek i nazwała Sally - zauważyłam - ale zaraz... no cóż.

- Zaraz, co?

Poczułam, jak się czerwienię. To musiały być wiśnie. Moja twarz płonęła, podczas gdy reszta mojego ciała nabierała rumieńców w kolorze butów Minnie Mouse.

- Mogę prosić o szklankę mrożonej wody? - spytałam.

- Do diabła, możesz dostać nawet całą butelkę. W lodówce mam kilka butelek wody Evian. - W odpowiedzi szaleńczo pokiwałam głową. - Wszystko w porządku?

- Tak, tak. Po prostu... dzięki. - Wypiłam wodę wprost z butelki i delikatnie przetałam usta wierzchem dłoni. Czułam, że talia spódnicy zaczyna mnie dusić. Chciałam zedrzeć z siebie wszystkie ubrania. Potrzebowałam drzemki. Potrzebowałam...

„Tak mocno pada/Rozpadało się tak nagle/Chciałabym kochanie, żeby deszcz już ustał”.

- Powinnam iść - powiedziałam, czując, że mam ochotę na coś zupełnie innego. - To było... cóż. Prawdziwe doznanie. Cudowne. Jesteś bardzo... hojny. O Boże, chciałam powiedzieć utalentowany. Zdolny. Wiesz, co mam na myśli.

- Chyba rozumiem.

- Dziękuję za niesamowity lunch. Myślę, że był to najlepszy lunch, jaki jadłam w życiu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł z uśmiechem. - Kiedy cię znowu zobaczę, *cheń* Pędzącą jak królik w deszczu?

- Cóż - powiedziałam, wyglądając przez okno i zdejmując buty - za tydzień? Dokładnie tyle będę potrzebowała, by przetrwać ten lunch. Masz może jakąś



plastikową torbę albo coś innego, do czego mogłabym je wrzucić? To zamsz, a na zewnątrz wciąż leje.

- Myślę, że mogę zaspokoić twoje żądze, Madame -odparł. - Pozwól, że spakuję również kawałek kurczaka w sosie pikantnym i Storyville. Nie chciałbym, żeby artyści wychodzili z mojego lokalu głodni. Poza tym nigdy nie wiadomo, kiedy znowu poczujesz ochotę na coś pikantnego.

Mistrz Kuchni był w trakcie opróżniania i odnawiania ogromnego, oszałamiającego strychu z wysokim sklepieniem i rzędami okien, za którymi nie było niczego prócz nieba. Strych znajdował się w charakterystycznym, dziesięciopiętrowym magazynie z końca ubiegłego wieku z ogromną windą, podobną do tej, w której Michael Douglas i Glenn Close w „Fatalnym zauroczeniu” uprawiali zwierzęcy seks. Strych był miejski, naturalistyczny, historyczny, romantyczny i niewątpliwie nadawał się do wielu rzeczy. Ale. Mistrz Kuchni był facetem. Dlatego jego domowe priorytety - za wyjątkiem kuchni - były jak najbardziej błędne.

Zacznijmy może od przyjaznej dziewczynom łazienki. W łazience nie było prysznic, jedynie maleńka (czterdziestoośmiocalowa) biała, antyczna wanna, która choć urocza, nie miała nawet prysznic. To dobre dla kogoś łysego, nie dla osoby z moim uczesaniem. No i gdzie ja miałam niby położyć wszystkie kosmetyki do włosów? Musicie bowiem wiedzieć, że po umyciu i odżywieniu włosów, potrzebuję dobrych dwudziestu minut, aby je rozczesać, wysuszyć suszarką z dyfuzorem, nałożyć odżywkę chroniącą kolor, kolejną, zwiększającą puszy-

stość loków, podnoszącą włosy u nasady i jeszcze jedną, wzmacniającą, podzielić wszystko na równe pasemka, upiąć i nadać całości idealny blask. Do czegoś takiego potrzeba naprawdę całego arsenału rozmaitych produktów: ochronnego sprayu z proteinami firmy TIGI, modelującej maseczki firmy KMS, balsamu do loków również od KMS, pianki unoszącej włosy u nasady, brylantyny od Catwalk, mgiełki i lakieru do włosów firmy Sebastian Sharper i kolejnej mgiełki (tym razem od Rust), nadającej włosom zdrowe lśnienie.

Wiem, że ilość tych kosmetyków wydaje się oszałamiająca i wcale nie twierdzę, że taka nie jest. Jeśli jednak pomnę choćby jeden z nich, wyglądam jak biały bliźniak Dona Kinga<sup>18</sup>. I wierzcie mi, że kosmetyki do pielęgnacji włosów nie były moim jedynym problemem. Gdzie niby miałam położyć pudełeczko ze szklami kontaktowymi, płyn do czyszczenia szkieł i odżywkę? Albo wszystkie kosmetyki do skóry i ciała? Nie mówiąc już o pięciu milionach kosmetyków, których potrzebowałam do makijażu.

Nie, zdecydowanie lepiej było zostać u siebie, pośród przyjaznych kobiecie półek, szafek, no i w towarzystwie dwóch, oddzielnych łazienek.

Z początku nie wiedziałam, jak przedstawić mojej kotce - Lilly - ten nowy autorytet. Do tej pory miała wyłącznie jedną mamusię, która całymi dniami siedziała z nią w domu, troszczyła się o nią i spała z nią i tylko z nią na cudownym materacu firmy Tempur-Pedic.

---

<sup>18</sup> Kontrowersyjny, amerykański promotor boksu, słynący także z kontrowersyjnej fryzury.

Mój stary materac przez lata umierał straszną, powolną śmiercią. Jeśli dobrze pamiętam, był to prezent od moich rodziców, który kupili mi go do pierwszego mieszkania, a więc mówimy tu o naprawdę zamierzchłych czasach. Był podobny do moich byłych facetów, choć zdecydowanie mniej twardy. Kilka miesięcy przed spotkaniem Szefa wyrzuciłam z domu swojego poprzedniego faceta i postanowiłam, że wraz z nim wyrzucę także mój stary materac. Zrobiłam to mniej więcej tak samo, jak Farrah Fawcett w filmie „Płonące łóżko”, choć zdecydowanie mniej widowiskowo i gwiazdorsko.

Znacznie lepiej wyszło mi uwalenie się na moim nowym materacu od Tempur-Pedic, kiedy to poprosiłam mojego gejowskiego przyjaciela - Billy'ego, aby przetestował go razem ze mną. Chwilę później leżeliśmy na nim oboje.

- Czyż nie jest fantastyczny? - spytałam. - Zupełnie jakby trzymał cię w swych ramionach. To jak stan nieważkości. Jak spacer w chmurach.

- Nie rozumiem - odparł Billy. - Przecież on wcale nie jest wygodny.

- Nie doceniasz niczego, co jest dobre albo szwedzkie! A oto tu właśnie chodzi. To prawdziwa, szwedzka rewolucja w dziedzinie snu, która przybyła do nas wprost z kraju polarnego słońca. Tak przynajmniej powiedział przystojniak w Brookstone, kiedy wypróbowałam materac w centrum handlowym. Któreś z nas powinno się z nim umówić.

- Dzieje się z tobą coś naprawdę złego.

- Tempur-Pedic jest zrobiony z nowoczesnej, zaprojektowanej przez NASA, ergonomicznej pianki z wyjąt-

kowymi otworkami, tak więc poddaje się i dopasowuje do ciała - odparłam, przedrzeźniając przystojniaka ze Sleep System.

- Widzisz ślad, jaki zostawia na nim twoje ciało? Kiedy zejdziesz, natychmiast się zapelni. Zobacz, mogę przewracać się na swojej połówie, a twoja nawet się nie poruszy. Jest idealny dla ludzi cierpiących na bezsenność, którzy w dodatku mają problemy z kręgosłupem.

- Tak, idealny dla BOGATYCH ludzi, którzy mają problemy z kręgosłupem.

- Leżąc na nim, czuję się jak w niebie.

- Ja czuję się dziwnie - odparł Billy. - Jakbyśmy tonęli w Bałtyku. Mówiłaś, że jest szwedzki, tak? Ha, ha, ha.

- Głuptasie, nie toniemy w żadnym morzu. Dajemy odetchnąć punktom uciskowym.

- Dziękuję ci, Patty Hearst<sup>19</sup>. Wypiłaś za dużo Kool-Aid<sup>20</sup> i cierpisz na syndrom sztokholmski<sup>21</sup>.

- Sleep System ma dwudziestoletnią gwarancję, a do tego dorzucają za darmo dodatkową poduszkę pod szyję. Widzisz? To się nazywa anatomiczna wygoda dla twojego kręgosłupa. Spójrz tylko na tę poduszkę. Połóż na niej głowę. Wyczuwalne w niej nierówności podtrzymują głowę, szyję i ramiona, aby twój kręgosłup odpowiednio się ułożył, i zapewniają doskonały sen.

---

<sup>19</sup> Wnuczka amerykańskiego wydawcy Williama Randolpha Hearsta, która w roku 1974 została uprowadzona przez Symbione-se Liberation Army.

<sup>20</sup> Kool-Aid - popularny w Ameryce napój w proszku.

<sup>21</sup> Stan psychiczny pojawiający się u ofiar porwania i zakładników, którzy odczuwają solidarność i sympatię ze swymi porwaczami.

- Zzz.

Billy jest wyjątkiem od każdej, gejowskiej reguły. Normalny gej POKOCHAŁBY Tempur-Pedic. Heteroseksualne kotki to zupełnie inna sprawa. Lilly kompletnie oszalała po stracie starego materaca. Do tego sposób, w jaki Tempur-Pedic uginał się pod jej maleńkimi łapkami, sprawił, że przez kolejne dni bojkotowała zarówno jego, jak i mnie.

Później - jak to kobiety - postanowiła zmienić zdanie i wkrótce nie można jej było z niego zdjąć. Widzicie? Ci łebscy Szwedzi są naprawdę dobrzy! Cajuno-Kreole też. Mój Szef Kuchni wkrótce przekonał się do materaca niczym aligator do bagien.

Jeśli chodzi o Lilly, ta zakochała się w Szefie od pierwszego wejrzenia, czyli od momentu, kiedy wziął ją na rękę, utulił niczym dziecko i nazywał „swoim słodkim, ślicznym maleństwem” tak długo, aż jej pomruki zamieniły się w ekstatyczne pojękiwania. Później nakarmił ją odrobiną swej specjalności, opartej na słynnym daniu z cudownej, cajuńskiej restauracji rodem z Breaux Bridge: smażonymi w głębokim tłuszczu nuggetami z suma, serwowanymi z aromatycznym ryżem Creole Rice i potrawką z krabów.

Wszystko było przepyszne.

Tak przynajmniej wywnioskowałam z pomrukiwań Lilly.

- Jest uroczy! - szepnęła Gwen.

Było późne popołudnie, kiedy przyjechałyśmy na zajęcia z gotowania, które Szef Kuchni organizował kilka razy w miesiącu. Gwen - analityk finansowy z Dystryk-

tu Kolumbii - wpadła na weekend z wizytą i nie mogła doczekać się spotkania z moim nowym dżentelmenem i swoim luizjańskim ziomkiem.

- Tak - odszepnęłam. - Popatrz tylko na te kobiety. Będą walczyły między sobą, by stać się matkami jego dziecka, zanim na dobre zabierzemy się za chlebowy pudding z sosem z whisky.

- Witaj - powiedział Szef, biorąc mnie w ramiona i całując w usta. - A to musi być pani Gwen. Wyglądasz bosko! Jak Alicia Keys, choć znacznie lepiej. Halle Berry powinna mieć się na baczności!

- Prawdziwy z ciebie flirciarz - odparła Gwen. Czy ona się zarumieniła? - Miło w końcu cię poznać. Wiele o tobie słyszałam.

- Wzajemnie - rzekł z uśmiechem. - Gigi opowiadała mi o twoim ślubie przy latających konikach. Wciąż jesteś mężatką?

- Jeszcze tak - odparła.

- Szkoda, szkoda - przyznał. - Wszystkie najlepsze dziewczyny są jeszcze zameżne. Za wyjątkiem mojej panny. Ale jej i tak nigdzie nie puszczę.

Słyszając to, Gwen uniosła brwi i uśmiechnęła się do mnie.

- W tych letnich sukienkach i sandałach wyglądacie po prostu ślicznie - ciągnął Szef. Chwilę później krzyknął do swoich dwóch praktykantek. - Ashley? Maggie? Czy byłybyście tak miłe i przyniosły tym paniom - pani Gwen, czy pije pani wino? - jakieś dobre, schłodzone Pinot Blanc? Ja muszę się przygotować. Najpierw jednak chciałem zapytać, czy nie zechciałybyście rzucić okiem na moje garnki?

- Jasne - odparła Gwen. W tym momencie równie dobrze mógłby ją poprosić, aby podpałiła swoje włosy, a ona bez słowa pobiegłaby po zapalki.

- Ooo! - zauważyła po chwili. - Masz świetne garnki!

- W rzeczy samej - odparł z dumą. - Pod tym względem ufam wyłącznie firmie Magnalite. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie w ogóle pamiętam, jest dzień, w którym moja babcia uczyła mnie gotować w nich ryż i fasolę. Nauczyła mnie podstaw kuchni cajuńsko-kreolskiej, a kiedy już je pojąłem, zacząłem improwizować, eksperymentując z różnymi kolorami, smakami i konsystencją. Oto moja osobista święta trójca. Kiedy jest się biednym, trzeba kombinować i cieszyć się tym, co akurat jest pod ręką. Mieliśmy wówczas krewetki, ostrygi, kraby...

Gwen pociągnęła nosem i zakryła usta dłonią. Chwilę później w jej oczach pojawiły się łzy. Nagle znalazłam się w Gotyckiej Strefie Mroku na południu Stanów. Dlaczego skorupiaki doprowadziły Gwen do płaczu? Ashley i Maggie przyniosły nasze wino i zaczęły ustawiać na stoliczkach matowe, mlecznozielone wazoniki z gałązkami świeżo ściętych magnolii.

Razem z Gwen weszliśmy do kuchni i stuknęliśmy się kieliszkami z Szefem Kuchni, podczas gdy z głośników popłynęło „How Glad I Am” Nancy Wilson.

„Moja miłość jest bez dna, moja miłość nie ma końca... Nie mogę przestać cię kochać... i nie wiesz nawet, jak mi z tym dobrze”.

Mój chłopak otwierał jedną drewnianą szafkę za drugą, odkrywając przed nami kolejne zestawy wysłu-

zonych, grubych, odlewanych z aluminium garnków. Tysiące razy widziałam, jak używał tych rondli, patelni, palenisk i naczyń żaroodpornych z grubymi, czarnymi uchwytyami, nigdy jednak o nich nie myślałam.

- Boże, masz je wszystkie! - wykrzyknęła Gwen. - Skoro posiadasz garnki Magnalite, wiem, że naprawdę znasz się na rzeczy.

- Ha, ha, ha - odparł. - Dokładnie, skarbie. Mają przynajmniej pięćdziesiąt lat. Dostałem je od babci, wszystkie, co do jednego.

- Tak to właśnie jest - przytaknęła Gwen, której znowu zbierało się na płacz. - One są wieczne.

- O co tu chodzi? - wtrąciłam. - Proszę, oświećcie mnie. To nie moja wina, że jestem tu jedyną jankeską.

- Pozwól, że opowiem ci, jak istotne są dla nas te garnki - odparła Gwen, która z wdzięcznością przyjęła podaną jej chusteczkę. Chwilę później ochłonęła i - podczas gdy Szeff bez reszty oddał się zasmażce - zaczęła swą opowieść.

- Ludzie zapisują te garnki w testamencie swoim dzieciom. To coś niesamowitego. Żadna szanująca się południowa kuchnia nie funkcjonuje bez garnków Magnalite. To podstawa. Po prostu musisz, musisz je mieć.

- Och - bąknęłam.

- Moja mama straciła wszystkie garnki w czasie powodzi - ciągnęła Gwen. - Był to prezent, który dostała od swojej matki w dniu ślubu.

Nagle w kawiarni zapadła głucha cisza, przerywana jedynie buczeniem wentylatorów i głosem Nancy Wilson. „Moja miłość nie zna granic, dlatego z każdym dniem jest jej więcej. Stoję w jej wnętrzu i nie mogę ukryć tego, co



do ciebie czuję". Mistrz Kuchni zdjął zasmażkę z ognia, ze zrozumieniem położył dłoń na dłoni Gwen i spojrzał na nią swym łagodnym wzrokiem.

- Mój Boże, Gwen - jęknęłam i czule objęłam swą przyjaciółkę. - Tak mi przykro. Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Zaraz po twoim telefonie mama i siostra wyjechały do Atlanty - ciągnęła Gwen. - Pamiętasz, zadzwoniłaś do mnie do pracy i powiedziałaś „Musisz zabrać stamtąd swoją rodzinę”. Oglądałaś wszystko w telewizji.

- Pamiętam.

- Tatuś chciał jednak zostać i pomóc przy ewakuacji ludzi. Wiesz, co się z nim stało.

- Co? - zapytał Szef Kuchni.

- Wylądował zupełnie sam na dachu ich domu w Gen-tilly - powiedziałam. - Byli udupieni.

- Nawet bardziej niż udupieni - dodała Gwen. - Wszystko dlatego, że niedaleko znajdowało się jezioro Pontchartrain. Nie mieli szans! Byli uwięzieni pomiędzy Wellington Avenue i Kanałem London Avenue. Wyobrażam sobie tatę siedzącego na dachu domu, ubranego w słomkowy, kowbojski kapelusz, kolorową, jedwabną koszulę z krótkim rękawem, szorty firmy Bermuda w kolorze khaki i buty od Top-Spiders...

- Czarny mężczyzna w butach od Top-Spiders - powiedziałam.

- Wiem - odparła Gwen. - Tak właśnie wyglądał mój tata, kierowca autobusów wycieczkowych, ściskający w dłoniach kubańskie cygara, butelki z wodą, lekarstwa, bo cierpiał na cukrzycę, torbę pełną przyborów toaletowych i czystej bielizny. Stał tam i krzyczał: „Pani

gubernator Blanco! Niech pani zapomni o szukaniu dla mnie nowego domu! Co możecie zrobić z moimi garnkami Magnalite?"

- Przesiedział na dachu trzy godziny, zanim w końcu uratowała go jakaś łódź strażacka - powiedziałam Szefowi.

- Nie pozwolili mu zabrać garnków - dodała Gwen. - Nie mieli jak ich zabrać, a kiedy w końcu rodzice wrócili do domu, wszystko dosłownie pływało w ściekach. Na powierzchni skażonej wody unosiły się zapleśniałe garnki i rondle. Wierście mi lub nie, ale pleśń miała pięćdziesiąt różnych odcieni! To obrzydliwe.

- Naczynia Magnalite nie są chropowate - odparł Szef. - Można je uratować. Mogliście wygotować je w jakimś wybielaczu i powinny być w porządku.

- One nie były zniszczone - ciągnęła Gwen, sącząc Pinot Blanc - ale kiedy woda opadła, przesiąkły szlamem i innymi spleśniałymi świństwami. Wyglądały okropnie. Mama nie chciała ryzykować. Zastanawiała się nawet, czy ich nie wyczyścić, ale to niemożliwe. Nigdy nie wiadomo, co dostało się pomiędzy uchwyt a garnek i czy kiedykolwiek dałoby się to usunąć. Mój szwagier kupił mamie zupełnie nowy komplet w sklepie, który zajmuje się zaopatrzeniem restauracji, jednak to nie to samo. Stare garnki Magnalite były częścią rodziny, powstawały w nich całe pokolenia potraw. Właśnie dlatego ich strata tak bardzo dotknęła moją mamę.

- Wciąż można je kupić w Wal-Mart - rzekł Szef. - W ubiegłym roku, kiedy na Boże Narodzenie byłem w Nowym Orleanie, kupiłem u nich brytfannę. Zrobiłem to tylko dlatego, że na eBay nie mieli takiej,

jakiej potrzebowalem. Wlascnie tam mozna kupic najlepsze garnki Magnalite. Co do brytfanny, to jest to prawdziwy kolos. W zyciu nie widzialem wiekszej.

- Jest wieksza od ciebie? - spyalam zartobliwie.

- To malo powiedziane - odparl.

- Przesadzasz, skarbie - droczylam sie z nim.

- Hej, Gwen, kiedy bylem nastolatkiem mialem taka dziewczynę - ciagnal SzeF, zmieniajac temat i starajac sie nas rozweselic. Wiedzialam, co zaraz nastapi. - Pieściliśmy sie kiedyś nad rozlewiskami. To byl nasz pierwszy raz. Wtedy ona spoglada na mojego ptaszka i mowi: „Komu masz zamiar dogodzic TYM maleństwem?” A ja na to „SOBIE!”

Slyszalam juz te historie, ale za kazdym razem rozbawiala mnie do łez.

Nastepnie przyszedl czas na stary dobry gwózdź programu.

- Jest sobie dzieciak, który za wszelką cenę chce stracic dziewictwo, idzie wiec do Storyville, aby zajela sie nim profesjonalistka. Kobieta bierze go na gore do swego pokoju, a kiedy dzieciak staje przed nia nagi, dziwka wybuchala śmiechem. Okazuje sie, ze jego ptaszek jest strasznie mizerny, a na samym czubku ma wytatuowane slowo Shortys. Chwile pozniej pozostale dziwki slyszala dobiegajace z pokoju spazmatyczne wrzaski. Jak oszalone pedza na gore i wrzeszcza: „O MÓJ BOŻE!” W pokoju stoi ten sam dzieciak, a na jego sterczacych czlonku widnieje napis: „Shorty’s restauracja i parking dla tirów przy autostradzie numer 80, jadac na wschod od Chattanooga w Tennessee”.

Tamtego wieczoru w restauracji było dość kameralnie - dziesięć kobiet i jeden mężczyzna. Głównie miejscowi. Każde z nich zapłaciło 65\$ (nie licząc drinków, podatku obrotowego i napiwków) po to, by się zabawić i nauczyć, jak przygotować przystawkę, danie główne i deser:

- Kurczak i Andouille Gumbo - „Gumbo” to zachodnioafrykańskie słowo oznaczające „ketmie”, a także klasyczna, cajuńska potrawka na bazie zasmażki, podawana z aromatycznym, perłowym ryżem. Pychota.

- Potrawka z kraba - żadne słowa nie są w stanie opisać tego smaku. To prawdziwe mistrzostwo cajuńskiej kuchni (oczywiście moim zdaniem), które łączy w sobie mięso z kraba, tłuszcz ze świeżo ugotowanych głów krabów (naprawdę), świętą trójcę przypraw i całą masę innych rzeczy w przepysznym, kremowym sosie, podawanym z aromatycznym ryżem.

- Nowoorleański pudding chlebowy z sosem Whisky - w tej kwestii jestem absolutnie stronnica, ponieważ spałam z twórcą tego dania. Ale poważnie, to najlepszy, pieprzony pudding chlebowy, jaki kiedykolwiek miałam w ustach (a znam się na deserach jak nikt inny). Mam bzika na punkcie orzechów, a rewelacyjny przepis Szefa Kuchni zawiera orzechy włoskie i orzechy kokosowe oraz ogromną ilość zwykłych rodzynek. Do tego diabelnie pyszny sos Whisky - *jakież to cudowne*. Masło, cukier, kondensowane mleko i tyle samo whisky Wild Turkey. Kiedy Szef ukroił Gwen gruby kawałek i polał go sosem, moja przyjaciółka poprosiła o **JESZCZE WIĘCEJ** sosu.

Słyszając to, mój ukochany wyjaśniał i mówił: „Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko”, niemalże zatopił jej deser. Po skończeniu puddingu jedyny mężczyzna spośród obecnych w restauracji gości jęknął i z zachwytem uderzył czołem w blat stołu. Co do kobiet, wszystkie wyglądały tak, jak gdyby właśnie przeżyły najlepszy w swoim życiu seks. Kilku z nich towarzyszyłam później na papierosie.

- Jejku - mruknęła Gwen, wachlując ręką zarumienioną twarz. - To było mocne. Bardzo zmysłowe. Nie chodzi tu o jedzenie, ale o sposób, w jaki je przyrządza. Musi być naprawdę dobry w łóżku.

W łóżku i w ogóle. Uśmiechnęłam się swym najlepszym i najbardziej tajemniczym uśmiechem w stylu Mona Lisy. Naturalnie Gwen miała rację. Mój Szef emanował życiem i pomysłowością zarówno w sypialni, jak i poza nią. Później, tego samego wieczoru, kiedy oboje leżeliśmy w łóżku, przytulił mnie i powiedział.

- Wiesz co, *chere*? Trochę tęsknię za domem. Cała ta rozmowa z Gwen o nowym Orleanie i...

- Jasne, rozumiem - odparłam.

- Być może tęsknię za domem bardziej niż mi się zdaje.

- Tak myślisz?

- Po prostu nagle poczułem... sam już nie wiem. Nieodpartą chęć.

- To naturalne - przyznałam. - Nagła potrzeba powrotu do korzeni?

- Cóż. Cała ta gadka o huraganie Katrina. Hmm.

- W porządku - powiedziałam, tuląc go i głaszcząc jego łysą głowę. - W porządku.

Zanim nastąpiła jesień, Szef Kuchni ogłosił, że „chce sobie zrobić przerwę i na jakiś czas wrócić do domu”. Rozmowa z Gwen, jego własny niepokój i ucieczka z mokradł Luizjany; wszystko to miało ogromny wpływ na jego decyzję. Cóż, mogłam posłuchać Thelmy Houston. Zawsze to robię, kiedy się zakocham: „Nie zostawiaj mnie w ten sposób, bo nie przeżyję, nie potrafię żyć bez twojej miłości, proszę kochanie...”. I tak dalej, bez końca. Zamiast tego, powstrzymałam się i włączyłam Stinga: „Jeśli kogoś kochasz, pozwól mu odejść”.

Sting nie pochodzi z Luizjany, ale jego pomysł był słuszny, ponieważ znając mojego Szefa Kuchni tak dobrze jak ja, jednej rzeczy mogłam być pewna: można wyciągnąć chłopca z bagien, ale nic nie wyciągnie bagien z chłopca. Jeśli ten cudowny, cajuńsko-kreolski Królik Bugs był mi przeznaczony, moje błagania o to, by został na północy albo zabrał mnie na południe, na pewno by tego nie przyspieszyły. Wiem, że to wszystko brzmi niezwykle dojrzałe, ale wiercie mi, nie o dojrzałość tu chodziło. Prawda była taka, że mój ukochany miał wystarczająco dużo pieniędzy, by jego „przerwa” trwała tak długo, jak chciał. Jakby tego było mało, nie mieszkaliśmy razem, nie byliśmy zaręczeni, a mnie gonił termin ukończenia książki.

Jak mówi mój ukochany Leonard Cohen: „Aby napisać książkę, trzeba być w jednym miejscu”. To zadziwiające, jak szybko i zdecydowanie decydujesz o swoich

priorytetach, kiedy zrozumiesz to jedno, proste zdanie. Tak więc, mężczyźni przychodzą i odchodzą, ale ja mam do napisania książkę.

W tamtym czasie miałam również do znalezienia pewną parę butów. Chciałam zaskoczyć mojego kochasia z Luizjany pożegnalnym prezentem, którego nie zapomni do końca życia. Właściwie to on sam mnie do tego zainspirował. Pewnego razu wyznał, że wyobraża sobie, że jesteśmy w kawiarnianej, damskiej toalecie, podczas gdy niczego nieświadomi klienci wyklócają się o to, do kogo tak naprawdę podobny jest mój kochanek (Paula Prudhommea, czy też Emerila Lagassea - odpowiedź brzmi: do żadnego z nich), a przy tym zażerają się pieczonymi krewetkami i serowymi wiórkami.

- W mojej fantazji odgrywasz rolę hostessy i cała jesteś ubrana na czarno - rzekł. - Przede wszystkim masz na sobie CPM-y [czyli seksowne szpilki w rodzaju Chodź, Pieprz Mnie].

Boże, uwielbiam Cajuno-Kreoli o naprawdę perwersyjnych umysłach. (Chociaż osobiście uważam to za coś zbędnego). Jestem pewna, że Jack Nicholson musi być po części Cajuno-Kreolem, ponieważ na [www.jack-nicholson.info/news/jack-adviser-diane-keaton-to-be-more-sexy.html](http://www.jack-nicholson.info/news/jack-adviser-diane-keaton-to-be-more-sexy.html), przeczytałam cytat, w którym „doradca Dianę Keaton, aby ta była bardziej rozwiązła, jeśli faktycznie chce zdobyć jego serce”.

Keaton ujawniła swoje uczucia względem Jacka w „Oprah Winfrey Show”. Powiedziała: „On jest mężczyzną, którego kocham, a który nie czuje tego samego względem mnie”. Jakiś czas później Nicholson odpowiedział na jej wyznanie w „New York Daily News”: „Wszyscy kochają Dianę Keaton, ja również”. Następnie żartobliwie poradził Dianę, aby „zainwestowała w wyuzdany seks. Może niezbyt wyuzdany, ale przynajmniej

interesujący".

Damska toaleta w restauracji i buty w stylu CPM? Moim skromnym zdaniem, nie było w tym nic wyuzdanego, ale trzeba przyznać, że propozycja brzmiała niezwykle kusząco. Czy jednak była na tyle kusząca, by mój mężczyzna rozmyślił się i został? Cóż... prawdopodobnie nie. Dzięki temu mogliśmy jednak uczynić nasze rozstanie czymś naprawdę niezapomnianym. Wiedziałam nawet, czego mi było potrzeba. Czegoś czarnego. Jedwabnego. Z paseczkami. Bez pięt. Bez palców. Na wysokim obcasie. Nic nie mówi: „Spotkaj się ze mną w łazience, zanim dobierzemy się do Francuskiego Deseru Lodowego z Pralinkami" lepiej niż to.

Wiem, co sobie myślicie. Ja również o tym myślałam. Dziewczyna zamierza wejść na [www.bergdorfgood-man.com](http://www.bergdorfgood-man.com), żeby wydać setki dolarów, których nie ma, na nową parę CPM-ów, których nigdy więcej już nie założy. Ale nie. Nie zrobiłam tego. Pamiętajcie, że byłam w nastroju Sting-Zen, nie Thelma Houston-Studio 54. Nie byłam aż tak zdesperowana, dlatego przezornie zajrzałam w otchłań mojej własnej szafy. Dokładnie. Daleko z tyłu, upchnięte na dnie półki, w zakurzonej, pięcioletniej pudełku od Ann Taylor leżały Buty. Czarne. Jedwabne. Z paseczkami. Bez pięt. Bez palców. Na wysokim obcasie.

Życie jest dobre. Jedyne, co należy zrobić, to uwolnić je. Ja żyję od jednego zamówienia z wyprzedzeniem do drugiego zamówienia z wyprzedzeniem, więc dzięki Ci, Jezu, że w czasie zakupów myślę perspektywicznie.



Ponieważ dbam o buty, te ślicznotki wyglądały na zupełnie nowe i bajecznie ponadczasowe, a co najważniejsze, Szef Kuchni nigdy mnie w nich nie widział.

Teraz przyszedł czas na sukienkę, bo naturalnie musiała to być sukienka. Przecież w końcu miałam odegrać rolę szalekowej panienki do towarzystwa rodem ze Storyville: *O Boże! Cześć! Zupełnie o tobie zapomniałam! Skarbie, skarbie, skarbie, jak się masz? Nie nosiłam cię przez bardzo długi czas. Niech no na ciebie spojrzę! Czyż to nie smutne gadać do własnych ubrań?* Jednak ta sukienka zasługiwała na to, by mówić do niej i o niej. Pochodziła z kolekcji Ann (Tay-Tay) Taylor i podobnie jak buty, miała być dla mojego Szefa absolutną nowością. Była to sukienka, którą kupiłam specjalnie na ślub Gwen i nadawała się, jak żadna inna.

*Ironiczny komentarz:* na swym wieczorze panińskim Gwen poinstruowała wszystkie dziewczęta, aby ubrały się na czarno. Ubieranie się na czarno w Nowym Orleanie w maju jest tym samym, co zakładanie futer firmy Blackglama w Dolinie Śmierci. Nie polecałabym tego nikomu, ale jako druhna musiałam popierać Gwen i zgadzać się ze wszystkim, co powiedziała lub wymyśliła.

Na ślubie pojawiłam się więc w zwiewnej, lekkiej, je-dwabno-szyfonowej sukience bez rękawów, z wyciętym w szpic dekoltem i dwoma, długimi pasami jedwabiu, które w razie potrzeby można było zawiązać w elegancką kokardę lub po prostu zrobić z nich węzeł. Trzeba przyznać, że w swej niebywałej prostocie, sukienka ta była zadziwiająco piękna.

Dodatki. Przy tego rodzaju sukienkach łatwo o przesadę, zwłaszcza jeśli ktoś wychodzi z założenia: „Patrz,

jak można ją ustroić od stóp do głów!". Oczywiście istnieją chwile, gdy tylko tak można coś zdziałać, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale zaczepić się w toalecie złotą bransoletą od Faraone Menella o intymne części ciała kochanka, podczas gdy w pomieszczeniu obok ludzie czekają na swój deser? Jakoś to do mnie nie przemawia. (To prawie tak niesmaczne, jak zakładanie dżinsowej kurtki do dżinsowych spodni. Prawie).

A zatem. Postawiłam na prostotę. Skoro na ślubie Gwen wystąpiłam w czerni, a mój nowoorleański SzeF Kuchni lubił wszystko, co czarne lub przyciemnione, zdecydowałam się na pierwotny zestaw: parę naprawdę pięknych kolczyków od Stephena Dwecka ze srebrnymi obręczami, z których zwisały kiście gładkich i fasetowanych, czarnych paciorków i pasującą do nich, fasetowaną, czarną, onyksowo-hematytową bransoletkę od Meredith Frederick z błyszczącymi tu i tam srebrnymi koralikami. Oba te przedmioty pochodziły z [www.bergdorfgoodman.com](http://www.bergdorfgoodman.com).

Dlaczego tak na mnie patrzycie? Dlatego, że weszłam na tę stronę? Ponieważ powiedziałam, że tego nie zrobię? Wybaczcie, ale to było chwilę temu i nie szukałam tam BUTÓW. Nie szukałam tam też SUKIENKI. Widzicie? Potrafię się opanować. I zrobiłam to, naprawdę to zrobiłam.

„Życie jest zbyt krótkie, by trwonić je na troski. Dziś możesz tu być, a jutro może cię zabraknąć. Równie dobrze możesz zdobyć to, czego chcesz, więc żyj kochanie, żyj i bierz życie takim, jakie jest...”

Słodki tenor Aarona Neville'a wibrował w powietrzu, podczas gdy SzeF Kuchni kroił, mieszał i miksował,

zagadując jednocześnie grupę dwudziestu pięciu osób, które tego wieczoru zarezerwowały dla siebie całą restaurację. Cudownie było oglądać go w swoim żywiole, kiedy ubrany w fartuch, roztaczał dookoła swą magiczną aurę rodem z południowej Luizjany, popisując się, był zabawny i uroczy, sprawiając tym samym, że inni również czuli się podekscytowani. A to jeszcze nie wszystko: mój kochany był doskonałym nauczycielem - cierpliwym, znającym się na rzeczy, spokojnym i znajdującym ogromną przyjemność w dzieleniu się swoją wiedzą zarówno kulinarną, jak i życiową.

Był równie namiętny, jeśli chodziło o nas w toalecie jego własnej restauracji. Wszystko byłoby dobrze, gdyby mój czarny, jedwabny obcas nie zahaczył o niklowany uchwyt na papier toaletowy. Uchwyt na papier toaletowy firmy Pegasus - to dopiero była poezja. A skoro mówimy już o poezji, to prawdziwą okazał się lodowy deser z pralinkami.

Jeśli chodzi o to, co łączy mnie i Szefa Kuchni do dnia dzisiejszego, cóż... chyba już zawsze będziemy wysyłać sobie e-maile i krótkie wiadomości. Jak ujął to w jednym ze swych ostatnich maili: „Nigdy nie wykipieliśmy i nie przerodziliśmy się w bezładną bitwę na jedzenie. Po prostu stoimy gdzieś na tylnym palniku, gotując się na wolnym ogniu”.

## Rozdział 10

### Gładiator

Back In Touch nie istnieje coś takiego jak ekskluzywna moda. Właściwie to w ogóle nie jest modne miejsce. Po pierwsze, znajduje się ono w Teaneck w New Jersey, gdzie strojenie się oznacza zakładanie najlepszej, satynowej jarmułki. Po drugie, sklep ten prowadzi facet, który przez lata nie robił nic poza podcinaniem włosów, które i tak sięgają pasa. Przywiązana do lewej kostki kolorowa, tkana bransoletka? Jest tam od czasu, kiedy The Dead grali koncert w 1994 roku. Barwione metodą supełkową koszulki? Niektóre z nich pamiętają jeszcze czasy Woodstock i zostały zawiązane i ufarbowane przez jego żonę, która miała różowe włosy, a obecnie uczy w domu krawiectwa.

Oto świat Pana Chrupka. My zaglądamy do niego tylko po to, żeby ktoś nas porządnie wymasował. Chrupek ma prawdziwe imię - Allen, ale zważywszy na to, co powiedziałam wam do tej pory, nie macie wrażenia, że moje imię pasuje do niego dużo, dużo lepiej? Moim zdaniem imię „Chrupek” dużo lepiej komponuje się z całą tą ideą wolności, miłości i chrupkowatości.

Moja przygoda z Chrupkiem zaczęła się w lutym 2005 roku, kiedy to przechodząc obok skrzynek na listy, wpadłam na mojego przyjaciela - Eddiego. On i jego partner - Michael - mieszkają w Hackensack, w tym samym wieżowcu co ja. Patrząc na mnie, Eddie zauważył mimochodem, że wyglądałam na naprawdę zmęczoną. Chciał przez to delikatnie dać mi do zrozumienia, że wyglądałam jak siedem nieszczęść. Niestety, miał rację.

Ostatnie dwa katorżnicze lata spędziłam przykuta do mojego komputera, pracując nad swoją pierwszą książką. Już od dzieciństwa marzyłam, by zostać pisarką. Teraz, kiedy od spełnienia marzeń dzielił mnie zaledwie jeden mały krok, przypominałam sobie pewne powiedzenie: „Uważaj, o co prosisz, bo naprawdę możesz to dostać”. W moim przypadku wystarczy powiedzieć, że zanim to wszystko się zaczęło, byłam dużo miłszą osobą.

Przez kilka pierwszych miesięcy skomplikowanego procesu tworzenia byłam chodzącym przykładem funkcjonalności. Wstawałam wczesnym rankiem, słałam łóżko, brałam prysznic i zanim zasiadłam do pożywnego śniadania, codziennie układałam włosy. Dopiero później zakładałam Rzeczywiste Ubrania. Żadnych polarowych bluz z kapturem, bawełnianych bezrękawników, spodni do jogi czy też noszonych na gołe stopy sandałów lub japek od Dr Scholls - czyli mojego ulubionego stroju do pisania. Do tego oczywiście pełen makijaż.

Byłam również bardzo zdyscyplinowana, jeśli chodzi o jogę czy callanetics. Te uprawiałam przynajmniej raz w tygodniu. Nie potrafię funkcjonować bez regularnych ćwiczeń i rozciągania. Jeśli tylko zacznę udawać, że jest

to możliwe, moje życie nie wygląda ciekawie. Kiedy nie ćwiczę przez dwa tygodnie, moi przyjaciele zaczynają traktować mnie, jak gdybym cierpiała na poważne napięcie przedmiesiączkowe i przezornie uciekają. Ćwiczę więc przez godzinę we własnym salonie. (W budynku, w którym mieszkam, jest całkiem miłe centrum fitness, ale jedyną istotą, której pozwalam patrzeć na własne, powykręcane ciało, jest moja kotka - Lilly). Rzeczami, jakie potrzebuję, są: mata firmy Champs Sports, para starych, miękkich, różowych baletek firmy Danskin i dwa zielone, sześciokilogramowe ciężarki, które kupiłam w sklepie sportowym Nordstroma. (Po co używać paskudnych ciężarków, kiedy można mieć te urocze, zielone cacka?). Mój ojciec - emerytowany lekarz - dwadzieścia lat temu podarował mi ilustrowaną broszurkę z ćwiczeniami, na której oparłam swą sportową rutynę i którą na przestrzeni lat modyfikowałam, uszczuplałam lub wzbogacałam.

Jaka dobra dziewczynka, prawda?

Niestety taki stan rzeczy nie potrwał długo i nawet jeśli sama wierzyłam w to, że byłam nieznośnie dobra, nieuchronny proces jędzowacenia rozpoczął się na dobre.

- Spać do oporu (powód: pracowałam do późna, słuchając lejącego za oknem deszczu! Czy może być coś lepszego od dźwięku deszczu, kiedy człowiek siedzi w ciepłym, przytulnym mieszkanku, opatulony w miękkim kocu?).

- Niesłanie łóżka (powód: nie chodzi o to, że ja albo Lilly mamy coś przeciwko; po prostu przez większość dnia siedzimy w domu).

- Odwlekanie „porannego” prysznic do czasu, gdy nie skończy się kolejny odcinek „Lettermana”<sup>22</sup> (powód: wciąż przecież jestem czysta. Ślęczenie cały dzień przed komputerem nie jest żadnym fizycznym wysiłkiem).

- Nieukładanie włosów (powód: jakikolwiek. Przynajmniej je umyłam i wmasowałam odżywkę Kiehl's Crème z proteinami jedwabiu).

- Jedzenie przed śniadaniem pączków z dziurką od Dunkin' Donuts (powód: mają tam najlepszą kawę. Nie muszę się ubierać i jechać kawał drogi tylko po to, żeby kupić jedną dużą kawę o smaku migdałów. Przy tych cenach benzyny? To niedorzeczne. Będąc na miejscu, mogę wziąć pączka o smaku kokosowym i sześć Munchkinów. Zdecydowanie warto poświęcić temu chwilę czasu).

- Niedbanie o strój (powód: wyobrażacie sobie, abym gnała do Dunkin Donuts na Hackensack Avenue w moim pięknym, kusym, wełniano-nylonowym zakiecie z postrzępionymi, jedwabnymi wykończeniami, pasującej do niego spódnicy i popularnymi w latach dwudziestych bucikami, jakie nosiła Mia Farrow w „The Great Gatsby”? Przecież te buty miały spiczaste noski, trzy cieniutkie paseczki i wygięte obcasy! Wystarczy, że raz chodziłam w tym wszystkim, pracując w domu! Precz z bluzami z kapturem i im podobnym).

- Nierobienie makijażu (powód: jest taka nalepka na zderzaki samochodów: „Dziś makijaż był wyłącznie stratą czasu!” Cóż, ja potrzebuję godziny, by doprowadzić moją twarz do porządku. Naprawdę. Całą godzinę.

---

<sup>22</sup> „Late Show with David Letterman” - talk-show nadawany przez stację CBS, którego gospodarzem był znany amerykański komik David Letterman.

Mogłabym spędzić ten czas, czytając [www.pagesix.com](http://www.pagesix.com) albo śpiąc. Kiedy już KONIECZNIE muszę wyjść, żeby kupić jedzenie, którego nie dostarczą mi do domu, zakładam sztywne, czarne okulary z kontynentalnych Chin i maluję usta czerwoną szminką Gladiator. Robię to, żeby ukryć niedoskonałości mojej niemalowanej twarzy).

- Unikanie jogi (powód: nie jest normalne, aby ktoś z własnej, nieprzymuszonej woli lubił ćwiczenia. Osobiście nie mogę ćwiczyć rano, ponieważ wywołuje to u mnie mdłości. Nie mogę ćwiczyć po południu, ponieważ wtedy właśnie pracuję. Nie mogę też ćwiczyć po kolacji, bo znowu chce mi się wymiotować. Pozostaje mi tylko czas między piątą a szóstą wieczorem. *Boże, już 9:30? Naprawdę? Cholera! Czyżbym przegapiła amerykańskiego Idola?*).

Teraz widzicie, że nie tylko wyglądałam na naprawdę zmęczoną, ale autentycznie byłam zmęczona. Moje ciało - a zwłaszcza moje plecy - zupełnie zwapniało i obróciło się w kamień. Prawie jak w Biblii.

- Wiesz, czego ci potrzeba? - spytał Eddie, wyciągając ze skrzynki na listy najnowszy numer „Vanity Fair”.

- Życia? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie. - Nowego faceta? Kilku nowych facetów?

- Masażu. Ja nie potrafiłbym bez tego żyć. Właśnie dlatego chodzę na masaż raz w tygodniu. To wprost niewiarygodne! MUSISZ spróbować.

- Uwielbiam masaże i muszę przyznać, że już od wieków nikt mnie porządnie nie wymasował. Gdzie chodzisz?

- Do Teaneck. Pięć minut drogi stąd. Idziesz wzdłuż Cedar Lane aż do Water Street. Mijas Bischoff 's i jesteś



na miejscu, czyli w Back In Touch. Boże, cóż to za miejsce.

Nie znałam żadnego Back In Touch, który otwarto w 2001 roku, zanim przeprowadziłam się do New Jersey. Ale znałam Bischoffs. Każdy w okolicy je zna. Ta słodka, staroświecka „Lodziarnia, Sklep Ze Słodyczami i Lokal Serwujący Lekkie Posiłki” jest tu od 1934 roku i wciąż serwuje zabójczo dobre lody.

Kelnerzy w Bischoffs noszą prześliczne, papierowe kapelusiki w stylu retro i eleganckie muchy. To takie urocze. Zawsze pełno tam fanów futbolu z dzieciakami, dzieciaków z iPodami i ortodoksyjnych Żydów, kupujących na wynos koszerne ciastka z lodami.

Hmm. Odrobina masażu, odrobina lodów, odrobina ciasteczek i odrobina judaizmu. Co w tym złego?

Gdzieś za restauracją Empire Hunan, sklepem ogrodniczym Nail Garden, studiem Dirty Dancing and Body Shapers („Lekcje Tańca Brzucha Dostępne już TERAZ!”), za sklepem dla kolekcjonerów znaczków Bergen Stamp Collectables i pogotowiem krawieckim 1 Day Shirt Service, akademią sztuk walki Chon-Ji oraz terenem treningowym Body Building & Boxing for Men & Women jest sklep Chrupka. Widnieje na nim slogan: „Jesteś wszystkim, co masujemy!”. Idealny! Widząc go, zapragnęłam, by ktoś mnie wymasował.

Nie mam pojęcia, jak wygląda Christie Brinkley<sup>23</sup> w dzień masażu, ale wiem, jak wyglądamy my wszyscy. Żadnych różowych płaszczyków, brzoskwiniowych majteczek, czerwonych baletek, kolczyków z masy perłowej, czarnych sukienek z odkrytymi plecami, perfum COCO, bezrękawników od Cartier, żadnych idealnych, dżinsowych kurtek, czarnych,

---

Christie Brinkley - amerykańska supermodelka.

jedwabnych pantofli bez pięty. Nic z tych rzeczy. Wyglądamy - ohydnie - prawdziwie.

Ja na przykład wyglądałam jak utopiona, krótkowzroczna mysz w długim, czarnym płaszczu i białych, skórzanych adidasach firmy Keds, z białymi łapkami, mokrymi włosami i okularami. To prawdziwa kwintesencja ubioru pod tytułem PROSZĘ, ZIGNORUJ MNIE, PRZEJEDŹ OBOK I OD STÓP DO GŁÓW OCHŁAP MNIE BŁOTEM. No i co z tego? Przecież nie szłam na spotkanie z chłopakiem i nie potrzebowałam tych wszystkich gadżetów, które działają na facetów niczym magnes. W końcu masaż to doskonały sposób na odzyskanie równowagi, a nie żaden bal.

Jedynym ustępstwem, jaki poczyniłam z powodu próżności i szacunku dla samej siebie, był jak zawsze Gladiator. Gladiator jest dla mnie tym samym, co umycie zębów. To szminka od Chanel. Od CHANEL. Idealna, ciepła, jasna, pomarańczowa czerwień, która nie czyni moich różowych ust niebieskimi. Bez niej życie traci sens.

Zdaje się, że firmy kosmetyczne nie chcą już produkować ciepłych czerwieni. By się o tym przekonać, wystarczy podejść do najbliższego stoiska Bloomingdales. Wszystkim, co tam znajdziecie, będą chłodne, błękitnawe czerwienie (nie żeby przeciętny sprzedawca potrafił je rozróżnić). Dlatego właśnie gromadzę zapasy Gladiatora. Mam też inne ciepłe czerwienie; naprawdę stare, których używam, aby Gladiator mógł trwać bez końca.

Niektóre z nich troszeczkę wyschły, ale wciąż jeszcze nie zjełczały. Pure Poppy od Max Factor. Chinese Vermillion od Perspectives. #57 od Yves Saint-Laurent. Parallel Red i Classic Red od Estée Lauder oraz mój nadzwyczajny, ulubiony błyszczak - Mandarin Pop, którego mam już tylko dwie sztuki i zero szans na więcej, ponieważ już dawno wycofali go z produkcji. Do tego błyszczak Fla-reup firmy NARS, czerwona konturówka do ust firmy MAC, dwie siostrzane szminki Gladiatora - Midnight Red i Paradise (obie od Chanel), Colère od Coco, Coco Crimson, Rouge Captif/Coco Peach i błyszczak Coco Mademoiselle, w którym można znaleźć urocze, złote drobinki.

Wszystko to lub znaczną większość trzymam w nylonowej kosmetyczce od LeSportsack Travel. Uwielbiam tę malutką torebkę z podwójnym zamkiem. Została zaprojektowana przez ilustratorkę mody Sarę Schwartz - miłą, trochę szaloną dziewczynę z Nowego Jorku. Jej prace są zawsze pełne życia, dziewczęce, dowcipne i kiczowate. Kiedyś miałam zwykłą, czarną kosmetyczkę od Le-Sportsac. Wielki błąd. WIELKI. ZAWSZE używajcie radosnych, kolorowych kosmetyczek. Nauczyłam się tego, kiedy mieszkałam w Raleigh, w Północnej Karolinie. Byłam tam dziennikarką i ponieważ uwielbiałam masaże, postanowiłam napisać o Darrylu Fosterze. To fantastyczny masażysta, który pracował w szpitalu. Był również moim serdecznym przyjacielem i terapeutą.

Pewnego dnia poszłam do niego na typowy masaż-nie-z-tej-ziemi. Kiedy po wszystkim jak na skrzydłach pofrunęłam do holu, nie mogłam znaleźć kluczyków do samochodu. Zrozpaczona, postanowiłam opróżnić na

dywanie zawartość swojej czarnej torebki. Ponieważ na masaż nie zabieram ze sobą żadnych kosmetyków (oczywiście poza szminką), miałam na sobie duże, ciemne, przeciwsłoneczne okulary. Znalazłam kluczyki, wrzuciłam całą resztę z powrotem do torebki i odjechałam.

Kiedy dotarłam do domu, nie mogłam znaleźć kosmetyczki. Jeśli jesteście kobietami, wiecie, że coś takiego wywołuje prawdziwą panikę. Szukałam w samochodzie. Nic. Bez końca rozgrzebywałam zawartość torby. Nic. *Cholera*. Jak nic musiałam zostawić kosmetyczkę w holu! Ponieważ kosmetyczka była *czarna*, moja torebka była *czarna*, dywan był *czarny*, a ja byłam w *czarnych* okularach, niczym kompletnie ślepa mysz, zgubiłam kosmetyczkę. Albo ktoś ją UKRADŁ, zabierając ze sobą całą jej zawartość, czyli: świetną pęsetę od Tweezermana, najpiękniejsze etui na szkła kontaktowe, wysuwany i chowany pędzelek do pudru firmy Clinique, wysuwany i chowany pędzelek do ust Chanel, kredkę do oczu i kon-turówkę do ust w jednym (firmy Lancôme), temperówkę do obu tych rzeczy z dużą i małą dziurką, również firmy Lancôme, prasowany puder Chanel, paczkę oczyszczających chusteczek do twarzy firmy Shiseido, balsam do ust od Kiehls, niezastąpione lusterko firmy Clinique, które dostałam jako miły dodatek do zakupów.

Nie wspomnę nawet o szminkach i odpowiadających im błyszczkach, gdyż to byłoby zbyt bolesne. Zbyt tragiczne. Dlatego właśnie uważam, że powinno istnieć ubezpieczenie na kosmetyki.

Wnętrze sklepu pana Chrupka jest niebieskie. To delikatny, blady, kojący odcień błękitu. Pomieszczenie

jest dobrze oświetlone, czyste i przytulne: z biurkiem, poczekalnią, zwykłymi krzesłami, krzesłami do masażu, zapleczem, łazienką i pokojami „do sesji”, zaopatrzonymi w regulatory oświetlenia.

Tak właśnie wygląda Chrupkowe Królestwo.

Mimo iż pierwsze dziesięć lat swojej terapeutycznej kariery spędził w pobliskim salonie The Spa, Chrupek (podobnie jak siedmiu jego kolegów) specjalizował się w masażu.

W Back In Touch nie ma żadnych bajerów. Nie znajdziecie tam miniaturowych wodospadów, zabiegów kosmetycznych, manicurzystów czy pedicurzystów, ludzi, którzy usuwają włosy ze wszystkich części ciała, stylistów, szlafroków frotte, papierowych sandałów, świec, wizażystów czy nawet konkurencyjnych cen. (Sześćdziesiąt boskich minut szwedzkiego masażu kosztuje 75\$. To taniej niż tankowanie do pełna prawdziwego SUV-a). Nigdy nie przeczytacie o tym miejscu na [www.dailycandy.com](http://www.dailycandy.com). Cóż za ulga. Uwielbiam Daily Candy, ale są takie chwile, kiedy moja skrzynka odbiorcza jest naprawdę zapchana wiadomościami ze świata mody, reklamami jedzenia i picia, poradami kosmetycznymi, nowinkami ze świata sztuki, ogłoszeniami z biur podróży i linkami różnych, zabawnych serwisów. To naprawdę wyczerpujące.

Kiedy Chrupek powitał mnie w swoim królestwie, zadarłam głowę, aby na niego spojrzeć. Dosłownie. Ten facet ma prawie dwa metry wysokości i waży zaledwie 82 kilogramy. To młody, trzydziestopięcioletni mężczyzna z chudą, pociągłą twarzą, okrągłymi okularami w złotych oprawkach, maleńkimi kolczykami i obrączkami w uszach, przyprószoną siwizną, kocią bródką,

czarującym uśmiechem i najpiękniejszymi dłońmi, jakie kiedykolwiek widziałam u istoty ludzkiej. Jego dłonie mogłyby występować w reklamach. Długie, smukłe, pełne ekspresji palce, krótkie, doskonale wypiełgnowane paznokcie w kształcie litery U i jędrna, gładka, pozbawiona włosów skóra. Z takimi dłońmi mogły się równać wyłącznie dłonie Jezusa na obrazach Michała Anioła i Leonarda da Vinci. Właściwie Chrupek wygląda jak Jezus ze splecionym w warkocz końskim ogonem. To Chrupkowaty Jezus z Queens.

Skoro mówimy już o bóstwach Bóg obdarzył Chrupka nieziemską techniką masażu. Wiem, co mówię. Znam się przecież na masażu równie dobrze, jak na czerwonych szminkach. Jestem koneserem dotyku. Nawet o tym nie myślcie. Nie mówię tu o *takim* dotyku. Mówię o dotyku transcendentnym. To coś zupełnie innego. Poza tym, Chrupek ma żonę. Tak więc, poza wzajemną sympatią i niewinnym flirtowaniem, z pewnością nie jest on obiektem moich westchnień. Na tym właśnie polega urok Chrupkowego Świata.

Już sam fakt przebywania nago w ciemnym, wygodnym pokoju z płynącymi z głośników zmysłowymi, pokrętnymi i refleksyjnymi dźwiękami saksofonu Staną Getza<sup>24</sup> sprawił, że rozpłynęłam się z rozkoszy. Złożyłam swoje sztywne, umęczone ciało na stole, opierając brzuch i nogi o miękkie, piankowe poduszeczki i choć nic się jeszcze nie wydarzyło, poczułam się znacznie lepiej.

---

<sup>24</sup> Stan Getz - amerykański saksofonista jazzowy grający na saksofonie tenorowym.

Zanim przeszliśmy do właściwego masażu, Chrupek poczynił niezwykle szczegółowe notatki, dotyczące opłakanego stanu, w jakim znajdowało się moje ciało.

Właśnie skończyła pisać książkę. Niezwykle zestresowana. Spięta w okolicach ramion i na całej długości rąk. Sztywna szyja i stawy w okolicy krzyżowo-lędźwiowej. Przede wszystkim należy popracować nad górną częścią pleców, mięśniem czworobocznym, równoległobocznym i nad dźwigaczem. Uciskanie miejscowe pomaga na dźwigacz i mięśnie równoległoboczne w okolicach łopatek. Klientka mówi: „Proszę, pomóż mi. Wszystko mnie boli”.

Po wszystkim Chrupek ustalił, że zdecydowanie potrzebowałam masażu szwedzkiego połączonego z aromaterapią. Czadowo! To mi się podoba!

Kiedy wiedziałam już, na czym stoję, okryłam pupę świeżo wypranym płótnem i zanurzyłam twarz w kołysce piankowych poduszeczek. Płótno pachniało świeżością i czystością, choć może tak właśnie pachniało całe pomieszczenie. W każdym razie... ooooooch. Dobrze jest czuć się bezpiecznym, wypielegnowanym i naprawdę o siebie dbać. Od lat nie było mi tak dobrze.

- Możesz się już pokazać ludziom? - spytał Chrupek, pukając do drzwi.

- Wręcz przeciwnie, czuję się bardzo niegotowa - odparłam ze śmiechem.

Słyszając to, wszedł do pokoju, schował swój długi warkocz za dekolt koszulki firmy Hot Tuna i wetknął buteleczkę aromatycznego olejku za pas sfatygowanych, oliwkowych bojówek.

W milczeniu podciągnął zakrywające mnie prześcieradło tak, że zamiast pupy okrywało teraz moją szyję. Dotknął moich pleców rozcapierzonymi palcami i zaczął leniwie ugniatać moje ciało. Po plecach przyszła kolej na kark, ramiona i dłonie. Przy tych ostatnich znieruchomiał i przez chwilę trzymał je w swoich przepięknych rękach. Następnie znowu powrócił do pleców, jednak tym razem kierował się ku pupie, udom, łydkom i podeszwom stóp. Trzymał w dłoniach moje stopy. Aaaaaaaach!

Po krótkiej chwili niebiańskiej rozkoszy prześcieradło znów powróciło na moje biodra. Chrupek wycisnął na dłoń słodki olejek migdałowy. Ten indyjski olejek zawiera ajurwedyjskie zioła o niezwykle egzotycznych nazwach: ashwagandha, brahmi, shatavari, a także kilka znajomych nazw, takich jak: róża, rozmaryn, szałwia, bazyliia i cynamon. Cynamon ma właściwości rozgrzewające.

Dopiero teraz byliśmy naprawdę blisko siebie. Chrupek położył na mnie swe magiczne ręce artysty, powoli, długimi, płynnymi ruchami masując mój kręgosłup.

- Twoje plecy są jak granit - powiedział ściszone głosem. - Coś ty ze sobą zrobiła?

Słyszając to, nie wytrzymałam i wybuchnęłam płaczem. To było nagłe, niespodziewane i naprawdę krępujące. Moje własne łzy obnażyły mnie bardziej niż nagość. Minęło dużo czasu, odkąd ktoś dotykał mnie, nie oczekując niczego w zamian i nie mówię tu o pieniądzach,



które musiałam zapłacić Chrupkowi. Chodziło o to, że robił to wyłącznie dla mnie.

Pomyślałam o krótkim, różowym płaszczku, którego tak bardzo pragnęłam i dla którego przeszukałam wszystkie sklepy w kraju tylko po to, by zadowolić mężczyznę, który - jak sądziłam - będzie chciał mnie poślubić. Miałam w sobie tyle nadziei, tyle miłości! To jednak nie pomogło. Krótki, różowy płaszczek nie dokonał żadnego cudu. Już samo myślenie o tym sprawiło, że było mi smutno i głupio. Jak mogłam przypuszczać, że dzięki płaszczowi ktoś pokocha mnie na tyle mocno, iż będzie chciał spędzić ze mną resztę życia? I nagle uświadomiłam sobie, że przez całe swoje życie właśnie taką nadzieję pokładałam w ubraniach, biżuterii, kosmetykach, perfumach i butach. Kupowałam je dla mężczyzn, których kochałam i od których sama oczekiwałam miłości. Ja kupowałam, a oni po prostu odchodzili i im więcej o tym myślałam, tym bardziej płakałam. Billy nigdy nie potrafił tego zrozumieć.

- To dlatego, że jesteś gejem, który tak naprawdę wcale nie powinien być gejem. Gdyby tak było, na pewno byś mnie zrozumiał - mówiłam mu, na co on odpowiadał: „Próba złapania faceta na płaszczek, to jak próba złowienia ryby na ogrodowe krzesło”.

- Masz, skarbie - mruknął Chrupek, wręczając mi pudełko chusteczek.

Podniosłam wzrok i spojrzałam na niego. Ponieważ nie miałam szkieł kontaktowych ani okularów, wydał mi się nieco rozmazany.

- Dzięki - powiedziałam, łkając niczym dziecko, po czym dźwignęłam się na łokciach i wytarłam nos.

- *De nada* - odparł.

Teraz, kiedy wszystko wokół mnie odzyskało przyzwoitą ostrość, mogłam zobaczyć, że się uśmiechał.

- Mam dla ciebie coś jeszcze. - Po tych słowach wręczył mi niewielką, plastikową torebkę, która była wypełniona żelami i wyglądała jak rozplaszczona dziesięciocentówka. Torebka nazywała się Zap Pack. Żeby dokładnie ją obejrzeć, musiałam podnieść ją do oczu.

- Widzisz tamten metalowy przycisk? Podważ go, jak gdybyś chciała go złamać.

Kiedy to zrobiłam, żel zaczął musować, zmienił się w białą chmurę i stał się ciepły. To było naprawdę fajne. W ciągu zaledwie pięciu sekund cała torebka nagrzała się do temperatury 55 stopni (tak przynajmniej twierdził Chrupek) i miała zachować taką temperaturę przez najbliższe pół godziny.

- Jakie to fajne! - pisnęłam z zachwytem.

- No - odparł. - Fajne i gorące. - Po tych słowach wyjął torebkę z moich dłoni i położył ją na krzyżu. Aaaaach. - To szybsze niż kamienie, które trzeba najpierw rozgrzać w specjalnych piekarnikach. Zap Packi są dużo łatwiejszym sposobem, dzięki któremu można spotęgować uczucie ciepła i nacisku odczuwanego w trakcie masażu. Chcesz otworzyć więcej?

- Jasne! - Mówiąc to, zupełnie zapomniałam, że jeszcze chwilę temu tonęłam we łzach.

Chrupek dał mi kolejne cztery Zap Packi: dwa na podeszwy stóp (aaach, aaach) i dwa na dłonie (aaach, aaach).

- Dobra - powiedział. - Kładź się, skarbie i trzymaj mocno swoich małych przyjaciół.

Słyszając to, zacisnęłam dłonie na żelowych torebkach, podczas gdy Chrupek delikatnie naciskał, kołysał,

ugniatał, wibrował, skręcał, poklepywał, uciskał i głaskał moje ciało.

- Czy jestem najbardziej beznadziejnym przypadkiem, jaki widziałeś w swoim życiu? - spytałam.

- Wiem tylko tyle, że twoje ciało jest w fatalnej formie - odparł, pochylając się i ugniatając kciukami moje pośladki. Aaach. - Ale nie, nie jesteś najbardziej beznadziejnym przypadkiem. Nie dostąpiłaś jeszcze tego zaszczytu.

- Bogu niech będą dzięki.

- Oddychaj, skarbie. Wyduś to z siebie. Pozwól, aby twoje ciało zatraciło się w przyjemności.

- Dlaczego nie przeszkadza ci to, że jestem kompletnym wrakiem? - spytałam. - Przecież jestem...

- Ponieważ tak naprawdę wszyscy jesteśmy mięśniami i kośćmi - odparł. - Rodzimy się tacy sami. To życie decyduje o tym, co zastaniemy na stole. Masaż jest czymś instynktownym i duchowym.

- Nie o tym mówię. Chciałabym wiedzieć, dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś mnie lubił?

- Bo naprawdę cię lubię.

- Dlaczego?

- Masz miłą osobowość i wyrażasz siebie w dość zabawny sposób. Poza tym nie bierzesz wszystkiego zbyt poważnie. Posiadasz to, co ludzie nazywają radością życia. To się udziela i przemawia do mnie.

- Myślę, że jesteś niesamowity - wymamrotałam. *Na swój sposób.*

- A ty jesteś pisarką. *To dopiero jest niesamowite.*

- Naprawdę? Więc co powiesz o *tym?* To po prostu niewiarygodne.

-To?

- Aha, to.

- To się nazywa sakralne oczyszczenie. Usuwa całe napięcie z krzyża.

- Uwielbiam to. *Oczyszczenie*.

- To jak wyprzedaż.

Na dźwięk tych słów poczułam nagły przypływ radości, który wytrysnął ze mnie niczym fontanna, jak Anita Ekberg w „La Dolce Vita”; kobieca, boska i szalona; odziana w czarną, wieczorową suknię i pluskająca się o poranku w fontannie Trevi.

Poczułam się wolna.

Następnego dnia pobiegłam do mojego ulubionego Włocha, żeby opowiedzieć mu o religijnym przeżyciu, którego doznałam w obecności Drugiego Jezusa.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziałam Billyemu, kiedy zaparzył kawę i podał mi popielniczkę. - Po raz pierwszy leżałam wśród prześcieradeł i czułam się zmysłowa i spełniona.

- To świetnie, kochanie. Twój stres napędza jego interes. Ten facet dba wyłącznie o to, abyś ty miała gówniany tydzień!

- Dokładnie! Widzi mnie w opłakanym stanie, a mimo to wciąż jest dla mnie niesłychanie miły.

- Skarbie, on lubi dokładnie to, co ja. Widzi *ciebie*. Twój umysł, poczucie humoru, osobowość, to jak wyrażasz siebie.

- Do tego nie zdejmuję ubrań i mogę z nim porozmawiać o życiu. O wszystkim. On po prostu mnie absorbuje. Mogę być sobą, a on nie jest gejem i nawet z nim nie

sypiam. Boże. Czy to możliwe, aby był moim... *przyjacielem*<sup>7</sup> Nigdy wcześniej nie powiedziałam tego o żadnym facecie. Nigdy. Wiesz, jak to jest, kiedy nazywasz swojego faceta swoim najlepszym przyjacielem? Ja nigdy nikogo tak nie nazwałam. Boże. Chrupek jest moim *przyjacielem*. Nigdy wcześniej mi się to nie przydarzyło.

- Sprawia, że czujesz się ze sobą dobrze - dodał Billy, nalewając kawę do dwóch dużych kubków i prowadząc mnie do salonu. - To niesamowite. Musi ci się podobać uwaga, jaką ci poświęca.

- Mój Boże, on robi coś takiego: układa pięści w ten sposób i kładzie je po obu stronach twojej szyi. A później ugniata cię nimi. To jak, jak, jak... ruchoma podpórka na książki, tyle że to ty jesteś książką!

- Coś się dzieje z twoją fizjologią - odparł Billy, odpalając Marlboro Light. - Kiedy ktoś uważa, że jesteś atrakcyjna, cała aż łśnisz.

- Tak, ale to coś zupełnie platonicznego - powiedziałam. - My nie umawiamy się. Nie umawiamy się!

- Nieważne. Wystarczy, że sama sobie bardziej się podobasz. Masz rozszerzone źrenice... coś się dzieje z twoją skórą. Kiedy jesteś przygnębiona, tracisz kolor. Zupełnie jak po długim biegu. Czujesz się zarumieniona, jest ci dobrze i lepiej wyglądasz.

- Chrupek nazywa masaż „biernym treningiem”. Powiedział, że mimo wszystko wciąż muszę ćwiczyć jogę, ponieważ jedno nie zastępuje drugiego. Masaż i joga wzajemnie się uzupełniają. Chodzi o elastyczność. Ćwicząc jogę, ciało lepiej reaguje na masaż. Dzięki temu Chrupek potrafi ocenić, czy ktoś faktycznie ćwiczy. To znak.

- Faktycznie wydaje się być wspaniałym masażystą -stwierdził Billy. - Otwarty, kochający, hojny.

Słyszając to, pociągnęłam łyk kawy i pokiwałam głową.

- Idę do niego w przyszłym tygodniu i myślę, że jestem uzależniona. Chrupek to mój nowy nałóg. Och, szkoda, że nie widziałeś mnie wczoraj wieczorem. Żadnego makijażu, mokre włosy, wstrętne ciuchy i okulary, bo szkła kontaktowe podrażniały mi oczy. Każdej zimy mam z nimi ten sam problem. Wszystko przez brak wilgotności. I wiesz, Chrupek wcale nie jest żadnym Bradem Pittem.

- Nagle czujesz się naga, mając na sobie całe mnóstwo ubrań?

- Tak. Wszystko, co miałam na sobie, to Gladiator. A skoro już o tym mowa, muszę zrobić zapasy. Zostały mi tylko dwie sztuki.

- Widzisz? Wciąż uwielbiasz babskie bibeloty. Wciąż są dla ciebie ważne i wciąż przyciągają facetów. Nadal jesteś taka sama. Różnica polega na tym, że z nimi czy bez nich wciąż czujesz się dobrze. Wystarczy, że jesteś z tym Dupkiem.

- CHRUPKIEM.

- Miałaś tylu facetów, którzy traktowali cię jak gówno, ładny dodatek albo w ogóle byli nieosiągalni. Dupek nie jest typem mężczyzny, którego mogłabyś poślubić, ale twój lęk przed uczuciem nagości, kiedy nie masz na sobie odpowiednich ciuchów, jest jak... jak pytanie: „Dlaczego zawsze muszę to robić?”. Chcesz przez to zaimponować innym?

- Nie wiem - odparłam. - A chcę? -NIE!

- No to w porządku. Uff.  
- Kochasz modę i dla ciebie jest to świetna zabawa.  
- Dokładnie!  
- Ale skóra i włosy też potrafią być piękne. Twoja naga skóra i włosy są piękne.

- O Boże, pod koniec masażu, kiedy leżysz na plecach, Chrupek robi coś takiego, że chwyta cię za włosy i pociąga za nie, jak gdyby chciał je wyrwać. O. Mój. Boże. Jestem w jego szponach.

- Widzisz, Jane? Wcale nie musisz się stroić, żeby wyglądać pięknie i zamienić długowłosego okularnika w koszulce Hot Tuna w prawdziwego Tarzana.

Może i nie, ale zawsze będę potrzebowała więcej Gładiatora.

Kilka tygodni później Billy wyciągnął mnie na obiad do Cheesecake Factory, by z małym poślizgiem uczcić ukończenie przeze mnie pierwszej książki.

Restauracja znajduje się na Riverside Square, w eleganckim centrum handlowym, nieopodal mojego mieszkania.

Po spałaszowaniu posiłku, który (jak ładnie ujął to jeden z Włochów w filmie „Wpływ księżyca”) mógłby udusić świnie (pikantne skrzydełka, chińskie krokiety, nadziewane avocado, Grande Burrito, kurczak Madeira, wino, chleb, krojony baton Snickers, sernik i kawa), potoczyliśmy się do Bloomingdalesa, gdzie zamierzałam zaopatrzyć się w Gładiatora.

- Poczekaj - zaczęłam. - Wiesz co? Zanim kupimy szminkę, muszę jeszcze kupić tonik.

- Toner? Jaką masz drukarkę? - spytał Billy.

- TONIK! - ryknęłam. - Taki do twarzy, nie do żadnej drukarki!

Stojąc przy tonikach, przestudiowałam cztery różne rodzaje: kojący, wzmacniająco-rozświetlający, delikatnie nawilżający i oczyszczający, do cery tłustej. Hmm.

- Jak sądzisz, Billy, potrzebuję nawilżenia i rozświetlenia czy nawilżenia i zdrowego blasku?

- Masz długopis?

- Po co ci długopis?

- Bo to najgłupsze pytanie, jakie kiedykolwiek słyszałem!

- Czy mogę państwu pomóc? - spytała ekspedientka.

- Tak - odparłam, spoglądając na Billyego, który stał przed lustrem powiększającym, podziwiał swe pory i wrzeszczał: - O MÓJ BOŻE, ONE SĄ OGROMNE JAK WIELKI KANION! CZY TAM NA DNIE ŚWIECI SIĘ MALEŃKIE, ZIELONE ŚWIATEŁKO? TO STRASZNE!

- Proszę wybaczyć - zwróciłam się do sprzedawczyni - Mój chory brat został odrobinę zbyt wczesnie wypuszczony z psychiatryka. Jest zupełnie niegroźny. Naprawdę. Nie zwracajmy na niego uwagi. Potrzebuję wzmacniająco-rozświetlającego balsamu...

- Oczywiście - odparła.

- Do tego poproszę wszystkie szminki Gladiator, jakie macie w sklepie.

- Gladiator? - spytała.

- Tak - odparłam. - Chcę je wszystkie.

- Chanel zaprzestał produkcji tego odcienia kilka miesięcy temu.

- CO TAKIEGO? - wrzasnęłam.



- Proszę wybaczyć, ale moja pokrecona siostra została odrobinę zbyt wcześnie wypuszczona z psychiatryka -wtrącił Billy.

- Przykro mi - ciągnęła sprzedawczyni, która w tym momencie była już kompletnie zmieszana. - Nie mamy ani jednej sztuki Gladiatora.

- Ale to NIEMOŻLIWE! - ryknęłam. - TO nie może być prawda! Co ja teraz zrobię? Mój przyjaciel - Chrupek - uwielbia, kiedy mam na sobie Gladiatora. Billy też, poza tym używałam tej szminki od wieków i...

- Uspokój się, Jane - powiedział Billy. - Przynajmniej na kolejnym masażu ze swoim wegańskim Tarzanem będziesz idealnie wzmocniona i rozświetlona. Ha, ha, ha.

Obdzwoniłam praktycznie wszystkie domy towarowe w Stanach, które sprzedają produkty Chanel. W żadnym z nich nie mieli Gladiatora. Podczas gdy ja byłam pochłonięta pisaniem książki, Chanel po cichu zawiązało spisek, który miał na celu DOPROWADZENIE MNIE DO SZALEŃSTWA. Dobra, spróbujmy nie panikować. Może nie jest jeszcze za późno. Sytuacja nie jest jeszcze tak dramatyczna jak wówczas, gdy zgubiłam w Raleigh całą kosmetyczkę. Czego nauczył cię Chrupek? *Oddychaj. Wyduś to z siebie. Pozwól, aby twoje ciało zatraciło się w przyjemności. Aaach.*

Otworzyłam puszkę TaB, odpaliłam Parliamanta i weszłam na Internet. Odwiedziłam. Każdą. Istotną. Realną. Stronę. Nigdzie. Nie. Mieli. Gladiatora. (Najgorszy z możliwych scenariuszy: Wiedziałam, że mogę wejść na [www.threecustom.com](http://www.threecustom.com), gdzie Trae, Scott i Chad - trzech specjalistów od kolorów, potrafiło odtworzyć

każdy odcień szminki znany kobietom lub gejom i sprzedać dwie sztuki za 50\$). Ale Jestem przecież reporterką. Wiem, gdzie znaleźć odpowiednie informacje i byłam gotowa pokonać amerykański niedobór Gladiatora.

Wtedy też doznałam prawdziwego olśnienia. Nasz północny sąsiad! Kanada! Przeszukałam Internet i natknęłam się na Adrews - fajny butik w Toronto, który w swojej ofercie ma również kosmetyki Chanel. Zadzwoiłam do nich, a urocza kobieta imieniem Chisa poinformowała mnie, że ma na stanie ostatniego Gladiatora w całej Północnej Ameryce!

Kanadyjczycy zaopatrują się w Chanel bezpośrednio we Francji. A więc to była sprawka Francuzów! Gdyby Chisa miała dwadzieścia sztuk Gladiatora, kupiłabym je wszystkie, jednak w zaistniałej sytuacji przystałam na jedną, jedyną sztukę, która razem z przesyłką kosztowała mnie 38,50\$.

Kiedy w końcu otrzymałam paczkę i dosłownie rozerwałam opakowanie, znalazłam w niej nie tylko Gladiatora, ale całą masę rozmaitych próbek i króciutki liścik od Chisy, która obiecywała, że postara się załatwić więcej Gladiatorów i będzie ze mną w kontakcie.

Kocham Kanadę!

Moja druga sesja z Chrupkiem była - jeśli to w ogóle możliwe - jeszcze bardziej niesamowita od pierwszej. Po wszystkim odpłynęłam, jak gdybym była na prochach.

Siedzący za biurkiem Chrupek nie wyglądał na specjalnie szczęśliwego.

- Co ci jest? - spytałam. - Czyżby Jerry Garcia<sup>25</sup> umarł?  
- Tak, ale to było w 1995, moja Gładziutka.  
- Ach. No to o co chodzi? Przypomniałeś sobie jakieś koszmary po grzybkach halucynogennych? Fatalną partię towaru w'73?

- Nie, akurat tamta była rewelacyjna. Bardzo łagodna i przyjemna; człowiek był po niej spokojny i miał fantastyczne wizje. To towar z '75 był feralny. Mocny jak LSD.

- Oczywiście ty nic o tym nie wiesz i nie masz w tej dziedzinie żadnego doświadczenia.

- Oczywiście, że nie. No dobra, wściekam się, bo kiedy się ubierałaś, kolejny klient odwołał spotkanie.

- Cześć, Gigi - powiedziała Sue, wychodząc z innego pomieszczenia.

Sue to jedna z Chrupkowych terapeutek. Ma szafirowe włosy i prowadzi zajęcia jogi.

- Cześć, Sue - odparłam.

- Cześć, Gigi - powiedziała Shirley, która właśnie wyszła z łazienki.

Ona również jest terapeutką. Ma rude włosy, pochodzi z Puerto Rico, uwielbia karaoke i wścieka się, bo mając trzydzieści lat, nie może wziąć udziału w „Amerykańskim Idolu”. Trzeba przyznać, że ma naprawdę rewelacyjny głos. Podśledzałam ją kiedyś, jak na parkingu śpiewała a capella „Fallin'” z repertuaru Alicii Keys. Było to tego samego dnia, kiedy po raz pierwszy odwiedzi-

---

<sup>25</sup> Jerry Garcia - amerykański muzyk i kompozytor. Gitarzysta i wokalista zespołu The Grateful Dead.

łam Chrupka i przysięgam, że przez dobrą minutę byłam przekonana, że to radio albo CD.

- Cześć, Shirley - odparłam.

- Chyba będę spadał - powiedział Chrupek, wkładając swoje zamszowe buty. (Prawie żaden z terapeutów w Back In Touch nie nosi w pracy butów).

- O, Lands' End - zauważyłam. - Mokasyny na Każdą Pogodę.

- Nie, to akurat są GBX - odparł Chrupek. - „Prawo powinno zabraniać noszenia takich fajnych butów” - oto ich motto. Buty Kohl's są najlepsze. Na wyprzedaży kosztują 19,95\$, a Lands' End 29,50\$.

- To bardzo żydowskie z twojej strony, Chrupeczku. Nie miałam pojęcia.

- Hej, w końcu dorastałem w Nowym Jorku - odparł. - No to jak, Gładziutka, masz ochotę na coś do jedzenia? Myślę, że Bischoff's może być jeszcze otwarty.

- Jasne - powiedziałam. - Dałabym radę, nawet gdyby ktoś na siłę karmił mnie lodami domowej roboty.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, Chrupek znalazł jakiś patyk i dłubiąc nim w świeżo położonym chodniku, wyskrobał przed sklepem nasze inicjały.

- A to co? - spytałam ze śmiechem.

- Ogłaszam się dożywotnim dyktatorem fanklubu Gigi - odparł.

Jejku.

Usiedliśmy w jednym z boksów w Bischoff's i zamówiliśmy dwie kawy i dużą mrożoną wodę. Masaż sprawia, że człowiek nagle zaczyna odczuwać pragnienie. Pragnienie i chłód. To dobre znaki. Oznaczają, że organizm pozbywa się wszystkich toksyn czy czegoś podobnego.  
Chrupek

otworzył portfel i wyjął zdjęcia swojej jedynej córki - Aji. Na jednym z nich była jeszcze małym dzieciakiem, a na drugim miała szesnaście lat.

- Nazwaliście swoją córkę na cześć płyty Steely Dan? - spytałam.

- Płyty i piosenki - odparł, zerkając do menu. - Lubisz ciastka z pekanami? Cieplutkie?

- Jasne. Zamówmy je na spółkę.

- Dobra. Lubisz... lody Migdałowa Radość?

- Hmm, nie wiem. Nigdy ich nie jadłam. Ale sądząc po nazwie, nie mogą być złe, prawda?

Migdałowa Radość okazała się najlepszą porcją lodów, jaką kiedykolwiek jadłam. Duża porcja lodów o głębokim smaku wanilii z całym mnóstwem słodzonych, kokosowych wiórków i kruszonymi migdałami. W połączeniu z ciastkiem... aaach.

- Mam coś dla ciebie - powiedział Chrupek, grzebiąc w saszetce. - Zrobiłem to wczoraj wieczorem. Płyta Stana Getza, która ci się podobała. Pamiętasz, mówiłaś o niej.

- Boże, jakie to słodkie! Dziękuję! Ja też mam coś dla ciebie - powiedziałam, przetrząsając swoją ogromną torbę.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o nic nietrwałego - rzekł z uśmiechem.

- Tylko moje serce.

- Postaram się o tym pamiętać.

Chwilę później wyciągnęłam z torby kopertę i podałam ją Chrupkowi. W środku był artykuł z „Vogue”, mówiący o tym, jak w przyszłości masaże staną się czymś przestarzałym, a masażyści zostaną zastąpieni przez ma-

szyny. Do artykułu dołączono fotografię modelki, która leżała na czymś, co do złudzenia przypominało linię produkcyjną.

- Mmm, skóra i kości - rzekł z dezaprobatą Chrupek. Następnie potrząsnął głową. - Wygląda jak manekin.

Zważywszy na to, że właśnie odkładałam pięć miliardów kalorii, było to niezwykle trafne spostrzeżenie.

- Opowiedziałam mojemu przyjacielowi, Billyemu, jak bardzo jesteś za pan brat ze stresem - zaczęłam.

- Tak. Stres to mój przyjaciel. No, może nie do końca przyjaciel, ale z pewnością współpracownik. To coś zupełnie przeciwnego. Masaż jest jak antidotum na przekleństwa cywilizowanego świata.

- Masz na myśli to, że świat potrafi być taki okrutny?

- Tak. Zacząłem wierzyć w karmiczne efekty moich działań. Wszystko jest ze sobą powiązane i powoli zaczynam wierzyć, że na świecie istnieje niezmierny ocean rzeczy, które w jakiś sposób łączą się ze sobą. Weźmy na przykład ciało. Dorastałem, zaczytując się w powieściach fantastycznych, gdzie ludzkie umysły posiadały nadnaturalne zdolności, a bohaterowie nosili zegarki, które miały wmontowane radia.

- Dick Trący?

- Tak. Czytałem taką książkę Michaela Talbota zatytułowaną „Holograficzny wszechświat” i pomyślałem: „Do cholery, przecież właśnie tak się czuję. Jejku”. Wszystko układa się w jedną całość, jak to możliwe? Jak ludzie mogą traktować nienawiść i przemoc jako coś naturalnego? Siły światła i ciemności. Ale przecież tym właśnie jest yin i yang.

-Tak samo jak lody i ciastka. Zamierzasz zjeść ten ostatni kawałek?

- Jest twój, Gładziutka.

- Dzięki.

- Dlatego właśnie zdecydowałem się pomagać ludziom. To wielka odpowiedzialność.

- Zmieniłeś MOJE życie - odparłam. - Te lody! Cóż za rozkosz!

- Jedynymi klientami, którzy doprowadzają mnie do szału, są ludzie z nadmiernym owłosieniem...

- To chyba nie mój przypadek.

- Nie, i dlatego nazywam cię Gładziutką.

- Wiem.

- Ludzie, którzy w trakcie masażu rozmawiają przez komórki...

- Chyba ŻARTUJESZ!

- I ludzie, którzy zawsze mówią ci, co masz robić.

- Tak zwany Typ A. Osoby, które wiecznie kontrolują innych.

- Dokładnie. A zatem, skoro mówimy o kontrolowaniu...

-Tak?

- Twoja szminka.

- NIGDY nie zrezygnuję z mojej szminki. NIGDY. Wiesz, nazywa się Gladiator. „To, co robimy w życiu, odbija się echem w wieczności”. Nie wiem, co stało się z Russellem Crowe, ale wiem, że jestem posiadaczką ostatniej szminki Gladiator w całej Północnej Ameryce.

- Ona do ciebie pasuje, wiesz?

- A zatem, w czym problem?

- Pralnia skarży się, że nie może sprać z prześcieradeł odcisków twoich ust. Nie potrzebujesz Gladiatora, kiedy przychodzisz na masaż.

- Tak, ale wówczas będę zupełnie naga - odparłam.

- To takie straszne, Gładziutka?

- No... nie. Choć brzmi trochę przerażająco. Skoro jednak nalegasz...

- Dziękuję.

Pocałowałam policzek Chrupka swymi nieumalowanymi ustami i jestem pewna, że pozostawiłam na nim ślad. Jednak po lodach, ciastku, kawie i wodzie; był to ślad, który należało poczuć, nie zobaczyć.



## Podziękowania

Na pewno znacie pisarzy a la Thoreau, którzy pisząc książkę, zamykają się w pozbawionych elektryczności leśnych chatkach i z nikim nie rozmawiają. Ja również tak robię, choć to zupełnie do mnie niepodobne! Pisanie książki to akt samotności, choć z drugiej strony wcale tak nie jest. Potrzeba kilku ważnych osób, które w trakcie pisania będą ściągały cię na ziemię, a zarazem dodawały ci skrzydeł.

Chciałabym zacząć od podziękowania mężczyznom. Kochani, naprawdę mnie wykańczacie. Kompletnie was nie rozumiem (i myślę, że działa to w obie strony), ale muszę przyznać, że na przestrzeni lat staliście się dla mnie nieograniczonym źródłem inspiracji. To wy popchnęliście mnie do kupna krótkiego, różowego płaszczyka, który sprawił, że powstała ta książka. Książka o krótkim, różowym płaszczyku i o mężczyznach. Teraz przyszedł czas na przyjaciół. Jestem szczęśliwa i zaszczycona, że istnieją w moim życiu ludzie, którzy oprócz tego, że są doskonale ubrani, są również zabójczo dobrymi redaktorami:

Peggy Hackman: najlepsza przyjaciółka i redaktorka.

Jim Jaime" M. Naughton: również przyjaciel i redaktor.

Steve Padilla: patrz wyżej.

W alfabetycznej kolejności dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję: Lilly Anders, Judith Bachman, Katherine Beitner, Kimberly Berg, Christopher *Mi Abogado por Siempre* Bolen, Katherine „Kat” Börner, Joan Breiter, Elizabeth DeVita-Raeburn, Michelle Diminguez, Bill Ervolino, Annie Ford-Doyle, Shanita Furjanic, Jonathan „Johnny” Gordon, Maryellen Gordon, Mary Hadar, Allen Heinlein, Macarena Hernández, Michael Hill, Bruce Kahn, Robert Kelley, Tammy Leopold, Elizabeth Lloren-te, Ana Menendez, Gwen Mitchell, Beth Neelman-Silfin, Emanuel Ory, Manny Roman, Dana Rosen, Bill Smart,' Mitch Tuchman, Sharyn „La Shar” Vane oraz Eman „Brastrap Petunia” Varoqua.

Bardzo wyjątkowe i serdeczne podziękowania dla: Moich rewelacyjnych, eleganckich, inteligentnych i niezwykle stylowych agentek: Jane Dystel i Miriam Goderich.

Mojej redaktorce i wydawcy: Rene Alegria. Projektantce okładki: Janet M. Evans-Scanlon. Mojej genialnej, starszej pani redaktor: Marinie „Ass Saver” Padakis.

Mojej cudownej specjalistce od spraw reklamy: Shelby „La Mensch” Meizlik.

Mojej (nieobecnej, ale niezapomnianej) specjalistce od marketingu: Elanie Stein.

Pamięci ukochanego przyjaciela - Joe McClellana (znanego również jako Tío Pepe), który kochał mnie i zawsze we mnie wierzył.

Pamięci Dr. Marvina Adlanda - najlepszego w świecie psychiatry i humanisty, który nigdy we mnie nie zwątpił i powiedział kiedyś takie słowa: „Dar pisania jest czymś cudownym; czymś, co należy cenić i pielęgnować”.

Mojej mamie - Anie Anders - jedynej (i ulubionej) dziewczynie z okładki.

Pamięci mojego przystojnego, eleganckiego, dobrego i słodkiego taty - Dawida Andersa. *Te quiero mucho, Papi.*